JÓZEF WASOWSKI
(WIDZ)

HEREZJE

WARSZAWA 1930
Nakładem księgarni F. Hoesicka

HEREZJE

JÓZEF WASOWSKI
(WIDZ)

HEREZJE

PRACA / DOM / WIARA / WYCHOWANIE / WOLNOŚĆ
ŚWIAT FANATYCZNY / MUZEUM / MASKARADA / SŁOWO
PUBLICZNE / OPOWIADANIA PRAWDZIWE / SYLWETKI
RÓŻNE SPRAWY

WARSZAWA — 1930
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

WSTĘP

WIELKIE KOŁO. Powiadali ojcowie, dziadowie, pradziadowie: czyń każdy w swem kółku, co każe duch Boży, a całość sama się złoży. Ale całość wciąż się jakoś złożyć nie chce, chociaż w kółku robi każdy, co może.

W swojem kółku, w swoim domku.

Ustawia mebelki, krząta się, śmieci i sprząta, śmieci i sprząta... Pracuje, buduje, myśli o przyszłości. Wygrywa, przegrywa. Budzi się, zasypia, budzi się i znowu zasypia...

Jak to w kółku, jak to w domku.

Zapłacze, roześmieje się, albo krzyknie, potem się uspokoi. Kogoś skrzywdzi, komuś zrobi coś dobrego. Żyje i umiera. Był i niema go. W kółku miejsce zajmuje kto inny i tak dalej — i tak ciągle. Wieczne kółko.

Ale ono zazębia się o drugie, dziesiąte, setne i tysiączne, a wszystkie zawarte są w ogromnem kole. W tem dopiero — wielkiem, potężnem — rozpostarł się duch Boży.

„Czyń każdy w swem kółku“... Lecz wszystko zależy od wszystkiego w mechanizmie świata.

Co ci przyjdzie z tego, że jak wolterowski Kandyd zasiałeś swój ogródek, że rośnie ci twoja kapusta dla

radości żołądka i twoje kwiateczki dla rozkoszy oczów, kiedy oto między państwami, między narodami wybucha wojna straszliwa i niesie nieszczęście wszędzie, gdzie ktoś coś czynił w swojem kółku...

Już się radujesz, żeś urządził swoją wyspę szczęścia, a tu rodzi się burza społeczna i niszczy ci wszystko.

I co masz z tego, żeś całemi latami budował spokój twego domu, skoro przychodzą potęgi niedobre i walą ci twój budynek i wciskają się w twoje życie, gną cię, jak wiatr ugina trzcinę?

W nieprzezornych, zapatrzonych w swoje kółka, niebezpieczeństwa różne uderzają nagle, niespodziewanie i ciosem fatalnym, przed którym nic w kółku ostać się nie może.

Szukamy tedy — harmonji. Harmonji pomiędzy kółkami i kołem.

Czem natchnienia etyczne, religijne, społeczne? Czem myśl reformatorów i rewolucjonistów? Czem marzenie utopisty? Poszukiwaniem harmonji. Tworzeniem wielkiego koła, w którem działają kółka i kółeczka bez wzajemnej krzywdy.

Duch praw idzie w tym kierunku: wyprostowania przeciwieństw między ludźmi, klasami społecznemi, narodami. Po to sądy, trybunały, po to — Liga Narodów.

Żeby ludziom było lepiej, nie wystarczy filozofja mysiej nory. Innej trzeba tu nauki. Trzeba przykazania: czyń każdy dla wielkiego koła, co każe duch Boży, żeby ci się nie połamały kółka i kółeczka.

NIE WSZYSTKO JUŻ BYŁO. Mylił się Ben Akiba, kiedy mówił: „Wszystko to już było“. Nie miał słuszności, jeśli w swej sentencji chciał zaprzeczyć postępowi świata.

Tak, naturalnie, nic nowego pod słońcem, jeśli chodzi o hasła ideowe, postulaty humanitarne, drogowskazy etyczne lub idee podstawowe walki z naturą.

Równość, wolność, sprawiedliwość? Dwa tysiące lat temu pisał Seneka, że wszyscy ludzie są równi, a w liście do Nerona, że niewolnik jest takim samym człowiekiem, jak każdy inny.

Ingerencja państwa, regulująca życie obywateli we wszystkich dziedzinach? Nie odkrywamy Ameryki. Dość przypomnieć system państwowy w „Politei“ Platona.

Ograniczenie własności prywatnej? Nawet jej zniesienie? Ależ o tem pisał już Tomasz Morus w połowie XV-go stulecia.

Sprawiedliwy podział dóbr? Nic nowego. Zajrzyjmy do pism wielkiego utopisty z przed stu laty, Karola Fouriera.

Liga Narodów? Już na początku XVIII stulecia marzył o niej opat de Saint-Pierre, a potem Saint-Simon, u nas — Staszic.

Aeroplan? W „Civitas solis“ Campanelli obywatele uprawiają sztukę fruwania, a od utopji Campanelli minęło blisko czterysta lat.

Radio? Już Fourier przewidywał, że ludzie będą porozumiewali się w sposób nieznający przeszkód czasu i przestrzeni. Więc to... stary pomysł.

Ale życie to nietylko pomysły. Zmiany ogromne, nowiny największe stąd płyną, że owe stare, pradawne idee przyoblekają się w rzeczywistość.

Seneka bronił niewolników, ale niewolnictwo zaczęto likwidować dopiero dziewiętnaście stuleci po nim. Najmitów broniono od zamierzchłych czasów, ale zdobycze socjalne klasy robotniczej większe są w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, niż w ciągu paruset lat minionych. Wyzysk pracy inny był przy budowie piramidy Cheopsa lub starorzymskich akweduktów, niż w zakładach Forda.

W „Politei" Platona wyłożony jest cały system ingerencji państwa w życiu społecznem, ale wielu stuleci potrzeba było, żeby rola państwa była dziś taka, jaka jest.

W idei wywłaszczenia i sprawiedliwego podziału dóbr nic niema nowego, ale dużo czasu upłynąć musiało, zanim niektóre „utopijne" pomysły Morusa zaczęły się realizować.

Myśl o Lidze Narodów kiełkowała dawno, ale sama instytucja powstała dopiero po wszechświatowej wojnie.

Ludzie fruwali w wyobraźni Campanelli, nawet przed nim jeszcze, bo w starogreckiej legendzie o locie Ikara w towarzystwie syna. Ale ze świata wyobraźni sprawa przeszła do rzeczywistości dopiero za

naszych czasów, które ujrzały aeroplan. Tak samo — radio.

I tak we wszystkich dziedzinach ludzkiego życia: idee stare, zdobycze nowe, oblicze rzeczywiste świata dawnym czasom nieznane.

[illegible]

PRACA

„CIĘŻARY". Nakazy ustawodawstwa socjalnego przemysłowcy nazywają „ciężarami". Nakazy, podyktowane przez elementarne zasady ludzkości. Możnaby powiedzieć, że dziesięcioro przykazań to również „ciężar" dla ludzi, którzy w walce o byt i o użycie nie chcieliby mieć żadnych przeszkód moralności i sumienia.

Do dziedziny, która stanowiła jeden wielki obraz potwornego wyzysku, a często i świadomej zbrodni, „wtrąciło się" państwo i wprowadza tu radykalne zmiany.

Komu z fabrykantów przyszło na myśl, naprzykład, że skoro używanie bieli ołowianej przy robotach malarskich działa zabójczo na zdrowie robotnika, to trzeba obrać inny system produkcji? Ponieważ takie myśli obce są przemysłowcom, wkroczyło tu państwo. Bieli ołowianej przy robotach malarskich używać już niewolno. Do przestrzegania zakazów takich zmusza się przemysłowców, który racjom humanitarnym przeciwstawiają rzekome racje gospodarcze. „Sentymentem" w języku „gospodarczym" nazywa się wszystko, co walczy z nieludzkimi warunkami pracy. Ustawodawstwo społeczne godzi interes gospodarczy z interesem ludzkim. Nadużycia

i zbrodnie nie są niezbędne dla normalnego rozwoju przemysłu i handlu. Życie gospodarcze u swych podstaw nie wymaga krzywdy ludzkiej. Robotnik może nie ginąć w pohańbieniu fizycznem i moralnem, nie jest to warunek dobrego rozwoju przedsiębiorstw.

Kiedy w całej Europie przeciętny dzień roboczy trwał 12 do 14 godzin na dobę, przemysłowcy twierdzili, że taki czas pracy w żaden sposób nie da się skrócić, bo groziłoby to ruiną życia gospodarczego. Wszystkie dzisiejsze argumenty przeciwko ośmiogodzinnemu dniowi pracy przytaczano i wówczas. Demokracja wywalczyła ośmiogodzinny dzień pracy, który przy racjonalnej jej organizacji daje dobrą kalkulację i lepszą wydajność siły roboczej. Postulaty inne, dotyczące warunków pracy, przyjmują się powoli wobec oporu klas posiadających, którym wydaje się, że wydatki zapobiegające zbrodniczemu stosunkowi do klasy robotniczej, są tylko zbytkiem.

Zjawia się inspektor pracy w takiej a takiej fabryce i stwierdza śmiertelny wypadek spowodowany nakładaniem pasów na koła transmisyjne rękami, albo wypadek zdarcia włosów i skóry na głowie z tego samego powodu. Inspektor żąda, by fabryka posiadała przyrządy (specjalne drążki) do nakładania tych pasów. Wydatek groszowy, a zabezpieczający życie ludzkie, lekceważone przez fabrykanta. Inspektor wydaje również nakaz osłaniania głów robotnic czepkami lub siatkami, częste bowiem są wypadki pochwycenia za warkocz, który nawija się na ruchomy wałek.

Skutkiem licznych wypadków oparzeń nóg i rąk roztopionem żelazem w odlewniach, inspektorzy polecają wydawanie giserom specjalnego obuwia i rękawic. W przemyśle papierniczym, w tekturowniach i papierniach, w celu zabezpieczenia robotników od stania na mokrej podłodze zażądano zastosowania odpowiednich urządzeń, odprowadzających wodę lub ułożenia na podłodze drewnianych krat.

W przemyśle włókienniczym i chemicznym zlecenia inspektorów pracy dotyczą głównie przewietrzania, usuwania odpadków i kurzu, doprowadzenia do porządku umywalni, ustawiania spluwaczek oraz zabezpieczania dźwigów, przewodów parowych silników i pędni.

Czy te zlecenia są niesłuszne i „nadmiernie" kosztowne?

W rafinerjach nafty, tam, gdzie kotły destylacyjne opala się odpadkami kwasu siarkowego, pozostałymi po rafinacji ropy, zażądał inspektor pracy odpowiedniego odkwaszania lub neutralizowania tych odpadków, aby palacze nie byli narażeni na oddychanie powietrzem zanieczyszczonem parą kwasu siarkowego. W szlifierniach nakazano stosowanie pochłaniaczy pyłu, bez których robotnicy w krótkim czasie zapadają na ciężką chorobę płuc.

Czy środki przymusowe, mające na celu usuwanie wydzielających się przy produkcji gazów, pary, pyłu, opiłków, rujnujących zdrowie robotnika, czy te środki szkodzą rozwojowi życia gospodarczego?

W jednej z większych fabryk stwierdzono maso-

we otrucie podczas pracy przy pokrywaniu minją ołowianą wielkich przestrzeni. Czy zbyt natrętny był inspektor pracy, który zarządził natychmiast szereg środków ostrożności, jako to: mycie rąk przed posiłkiem, wydawanie biletów do kąpieli itp.?

A jeżeli, stwierdzając niedostateczną przestronność lokali fabrycznych, inspektor żąda, by ten brak kompensować wzmocnionem takich lokali przewietrzaniem, żeby robotnicy nie pracowali w zaduchu, czy to żądanie nieusprawiedliwione?

Wyboje w podłogach fabrycznych powodują częste wypadki, zwłaszcza jeżeli znajdują się w przejściach pomiędzy maszynami. Zjawia się inspektor pracy i żąda naprawy podłogi. Czy postępuje niesłusznie? Albo — domagając się zabezpieczenia kół transmisyjnych i pasów, osłony pił tarczowych, przewodów elektrycznych, trybów?

Inspektor pracy pilnuje również przestrzegania szeregu ustaw, nie pozwala na pracę nocną kobiet i młodocianych, zarządza rewizje, a zdarza mu się niekiedy, że go w największych fabrykach oszukują i na chwilę inspekcji ukrywają dzieci i kobiety.

Walka o te ulepszenia odbywa się z trudem. Walka, naprzykład, o umywalnię i ręcznik w fabryce, dobrze charakteryzuje ludzi, którzy się takim żądaniom opierają.

PRZESZŁOŚĆ. W pracy p. t. „Dzień roboczy" (wydanej pod pseudonimem Warszawianin w r. 1891) podał Edward Abramowski szereg cyfr o dniu

roboczym w Polsce. „Z tego przeglądu — pisał — możemy łatwo zauważyć, że zaledwie jaka dziesiąta część polskich robotników ma 10-godzinny i 11-godzinny dzień roboczy, podczas gdy cała reszta, stanowiąca znacznie przeważającą większość klasy robotniczej pracuje 12 lub 15 godzin na dobę... 15-godzinny dzień roboczy istnieje w przędzalniach bawełny i wełny, wogóle w fabrykach, obrabiających rzeczy włókniste".

W Anglji, wskutek krwawych walk robotniczych, rząd zmuszony był w roku 1833 do wydania pierwszego prawa fabrycznego, które stanowiło, że dzień roboczy dorosłych nie może trwać dłużej nad 15 godzin (przedtem dochodził do 18 godzin). W roku 1844 prawo angielskie ograniczyło pracę kobiet do 12 godzin na dobę, w roku 1847 — do 11. Od roku 1848-go zaczyna być wprowadzany 10 godzinny dzień roboczy.

Sto lat temu wydarzył się w Norymberdze interesujący strajk: robotnicy walczyli o skrócenie dnia roboczego (12-godzinnego) raz na tydzień, żeby móc chodzić do łaźni. Przegrali.

ZMIANA. Były czasy, kiedy prawo ustanawiało maximum płacy roboczej. W Anglji do roku 1813-go przetrwało takie prawo, wiążące kapitalistów, żeby nikt nie odważył się podnieść płac głodowych i w ten sposób „zdemoralizować" najemników. Dziś, w epoce innej, do dawnych niepodobnej, powstało zagad-

nienie ustawowego minimum płacy, które zapewni człowiekowi pracującemu zaspokojenie potrzeb elementarnych. W części XIII-tej Traktatu Wersalskiego czytamy, między innemi:

„Zważywszy, że pewne warunki pracy są dla wielkiej liczby ludzi niesprawiedliwe, powodują nędzę i niedostatek, co rodzi niezadowolenie, zagrażające pokojowi i harmonji społecznej powszechnej;

„Zważywszy, że polepszenie powyższych warunków jest rzeczą pilną, w szczególności, o ile dotyczy unormowania godzin pracy, warunków najmu siły roboczej, walki z bezrobociem, zagwarantowania zarobku, zapewniającego warunki przyzwoitego utrzymania, ochrony pracowników na wypadek choroby wogóle oraz chorób zawodowych i nieszczęśliwych wypadków, spowodowanych przez pracę, ochrony pracy dzieci i kobiet, ubezpieczenia na wypadek starości i niezdolności do pracy, uznania zasady wolności zrzeszania się;

„Wysokie Układające się Strony ustanowiły dla osiągnięcia tego podniosłego celu stałą organizację przyłączoną do organizacji Ligi Narodów i powierzają jej opracowania metod i zasad, które ten cel urzeczywistnią.

„Z pomiędzy tych metod i celów Wys. Ukł. się Strony uważają za szczególnie pilne i ważne: 1) zasadę naczelną, iż praca nie może być uważana za zwykły towar lub przedmiot handlu, 2) prawo zrzeszania się pracowników lub przedsiębiorców 3) płacenie pracownikom zarobku, zapewniającego im poziom życia przyzwoitego według pojęć panujących w danym kraju i w danym czasie".

Klasa robotnicza dużo krwi przelała w walce o zwycięstwo zasad, uznanych i zaleconych przez Traktat Wersalski.

DLA WIĘKSZEJ SZCZĘŚLIWOŚCI. Książka ś. p. d-ra Józefa Zielińskiego p. t. „Hygjena pracy" zawiera stronice wstrząsające. Powstały z gniewu dobroci i z wiary, że wszystkie zbrodnie będą ze świata pracy usunięte. Już niejedno zwycięstwo osiągnięto dzięki solidarnemu wysiłkowi upośledzonych, dzięki pracy nad ich uświadomieniem, czego żądać mogą.

Powtarzamy nieustannie, że praca jest podstawą dobrobytu i powinna być podstawą szczęścia jednostki, społeczeństwa, państwa. Lecz to dopiero — pół myśli. Myśl zaś dokończona, rozumna i odpowiedzialna domaga się określenia warunków owej pracy, która dać ma dobrobyt i szczęście. Najlżejsza nawet praca, spełniana w warunkach niedobrych, nietylko szczęścia nie daje, lecz oddala człowieka od minimum zadowolenia, albo wręcz trzyma go w udręce i niedoli. Apoteoza pracy bez myśli o tem, jak się ta praca odbywa, jest pustym frazesem w ustach ludzi albo pozbawionych wyobraźni, albo niewiedzących, jak wyglądał i jak dziś jeszcze, mimo wielu reform, wygląda obraz pracy najemnej, zarówno fizycznej, jak umysłowej.

W zbiorze pism ś. p. Józefa Zielińskiego zaznajamiamy się z tym obrazem, tak jeszcze okropnym.

Jest to ta część wiedzy o życiu, którą dobrze poznać trzeba, żeby rozumieć sprawę socjalną naszych czasów.

Istnieje przesąd, który głosi, że skoro pewne działy produkcji są dla zdrowia szkodliwe i dla życia niebezpieczne, to jest ta tragedja nie do usunięcia. Przecież — powiadają niektórzy — nie zlikwidujemy hut szklanych dlatego, że kurz i opiłki szklane odbierają zdrowie robotnikowi i prowadzą go do przedwczesnej śmierci. Przecież — mówią — nie usuniemy ołowiu z różnych fabrykacji, chociaż wiemy, że to trucizna. Otóż rozwój, doświadczenia i postęp hygjeny pracy przeczą twierdzeniu o nieodzowności tej tragedji. To, co zamęcza, niszczy, zatruwa i zabija, daje się usunąć, są też sposoby, które neutralizują chorobotwórcze lub śmiercionośne czynniki w świecie pracy. Skoro są, stosowanie ich staje się jednym z pierwszych nakazów moralności społecznej, lekceważenie ich — przestępstwem, które prawo karać musi. Po tej też linji sprawa się rozwija. Oto wzbogacenie etyki, pogłębienie moralności, objęcie nakazami etycznemi tych dziedzin życia, które wymykały się z pod rygorów moralnych.

W przepisach zabezpieczających robotnika od przemęczenia, w nakazach i ustawach, usuwających odeń niebezpieczeństwo strasznych chorób zawodowych, zatrucia i śmierci, tworzy się nowe ustawodawstwo w obronie sił najemnych. Przez to samo powiększa się suma szczęśliwości człowieka na ziemi. Walka o hygjenę pracy — najszerzej pojęta — jest

tedy walką o prawo do szczęścia, którego niema tam, gdzie jest męka fizyczna i choroba.

Stąd taki zapał, taki entuzjazm w pismach Józefa Zielińskiego. Jest to książka wzniosła. Książka o cierpieniach i niedolach świata pracy, o krzywdzie i niesprawiedliwości, zarazem o sposobach usunięcia zła, hańbiącego rodzaj ludzki.

PRACA I WYTCHNIENIE. Więcej jest w świecie pracy jarzma i przymusu, niż tych zajęć, które spełniać można z entuzjazmem lub zamiłowaniem. Nie szukajmy entuzjazmu w pracy komornika, albo zamiłowania przy sprzedawaniu marek pocztowych. Nie żądajmy radości podczas pracy w dusznym szybie kopalnianym, nie domagajmy się uśmiechu podczas noszenia ciężarów, kiedy z człowieka pot się leje i serce bije mu zbyt szybko. Większości zajęć ludzkich obcą jest przyjemność. Zwłaszcza w dziedzinie pracy fizycznej. Tu nie podczas, ale po pracy może człowiek szukać chwil jaśniejszych w życiu. Pracownik fizyczny ma ich zresztą tak niewiele, bowiem jego środki materjalne zwężają do minimum sferę przeżyć dobrych, pogodnych, szczęśliwych.

Praca umysłowa w niewielu też stosunkowo wypadkach daje zadowolenie moralne. Jeśli to jest praca twórcza, jeśli odpowiada potrzebie wewnętrznej, jeśli płynie z tego niepokoju, który nie opuszcza pewnej ilości ludzi twórczych, może być podstawą szczęścia, ulgą i radością.

Praca umysłowa, choć nie twórcza, może dać do-

bre samopoczucie, jeśli odpowiada szczerym upodobaniom. Ale i to wypadek niezbyt częsty. Bodaj większość pracowników umysłowych znalazła się przy takiem lub innem zajęciu, w takim lub innym zawodzie przez przypadek lub nieporozumienie. A to — błąd tragiczny: trwać całe życie przy pracy niewłaściwie obranej. Błąd idący od lat najwcześniejszych, bo z omyłki w wychowaniu domowem i w szkole. Zawinili rodzice, zawinił nauczyciel. Wielki cień pada na życie wielu ludzi od błędów w wychowaniu, niedoceniającem indywidualnych upodobań dziecka i młodzieńca. Dobrze napisał Emerson do tego typu ojca, którego imię jest miljon: „Usiłujesz urobić swego syna na obraz i podobieństwo twoje, a przecież jeden człowiek twego gatunku wystarcza światu najzupełniej".

Z każdej pracy, niewłaściwie obranej, wyziera melancholja, monotonja, nuda, a one sączą w duszę smutek, rozczarowanie i zgryźliwość. Sokratesowskie „poznaj samego siebie" najżywotniejsze ma zastosowanie w tej sprawie: jaki zawód odpowiada ci najlepiej?

Swett Marden w głośnej, acz powierzchownej książce „Siła woli i powodzenie" przytacza z gazety następujące ogłoszenie: „Poszukuje zajęcia drukarz, który posiada uzdolnienie do zarządzania każdym działem drukarni lub zakładu wydawniczego. Może miewać odczyty naukowe. Może uczyć malarstwa ściennego i literatury, geometrji i trygonometrji oraz wielu innych nauk. Posiada doświadczenie jako kaznodzieja. Gotów jest również objąć miejsce basa lub tenora w chórach kościelnych"... Dodatek: „Przyjąłby zajęcie drwala za wynagrodzeniem niższem, niż powszechnie przyjęte". Swett Marden nadmienia, że widać, ten przypisek dał ogłaszającemu się zajęcie, bo anons taki nie ukazał się już więcej...

W tym dowcipie mamy może nieco przejaskrawioną prawdę, ale przecież prawdę o wielu ludziach, którzy robią to a to, mogliby zaś robić zupełnie co innego.

Więc w pracy fizycznej — przeważnie szary trud, bez nadziei na jakąkolwiek dobrą zmianę, wbrew tanim pociechom i zachętom, że przecież Newton pasał owce, Molier był najpierw tapicerem, a Edison sprzedawał gazety na ulicach Chicago. Przytłaczająca większość pastuchów, tapicerów i sprzedawców gazet nie podniesie się nigdy na drabinie społecznej.

A znów w świecie pracy umysłowej — jak się rzekło — największe obszary to panowanie przypadku lub nieporozumienia.

Dobre prawo próżnowania, odpoczynku, zabawy, albo spokoju i ciszy przeradza się u niezadowolonych z pracy... w ucieczkę od złej rzeczywistości. Innym jest odpoczynek człowieka, któremu praca daje zadowolenie moralne. To dopiero odpoczynek prawdziwy, dobra przemiana materji duchowej, radosne prawo do lenistwa, do używania życia, o czem tak pięknie i mądrze pisał u nas niezapomniany Edward Abramowski: „W oczach moralisty burżuazyjnego prawo do próżnowania mogą mieć wyłącznie na-

tury uprzywilejowane talentem lub inteligencją twórczą umysłu, gdyż dla nich otwierają się drzwi prowadzące do krain olimpijskich, nasza zaś zasada pracy chce otworzyć je wszystkim bez wyjątku i najprostszego człowieka uważa za dostatecznie godnego, by na swój sposób korzystał z tego, co dać może atmosfera swobody, wyzwolenia się duszy z pod brzemienia pracy i zabiegów powszednich“ („Pisma“ tom I „Etyka a rewolucja“).

Minęły bezpowrotnie czasy, kiedy trzymano się tezy Katona: „Niewolnik może tylko pracować albo spać“.

SOLIDARYZM. Hasło solidaryzmu nie może oznaczać domagania się ofiary ze strony nędzy na rzecz bogactwa, nie jest nauką rekina, udzieloną ofierze, już spoczywającej w jego brzuchu, żeby zachowywała się spokojnie.

Walka klas tam tylko słabnie, poczucie solidaryzmu gospodarczego tam tylko się wzmaga, gdzie następuje poprawa w położeniu klasy robotniczej. Dopóki klasa ta nie posiada pewnego minimum warunków materjalnego i kulturalnego bytu, nie może odczuwać solidarności w stosunku kapitału i pracy. Twierdzenie, że gdzie bogaci się przedsiębiorca, tam dzieje się dobrze pracownikom, nie jest zgodne z prawdą, przeczą temu obrazy nędzy najstraszliwszej pracowników, zajętych w przedsiębiorstwach przynoszących doskonałe zyski. Interes pracy zaczyna się godzić z interesem kapitału dopiero wówczas, kiedy taki kontrast nie istnieje. Dopóki zaś istnieje, apelowanie do poświęcenia i do uczuć „obywatelskich“ nędzarza nie na wiele się przyda.

Solidaryzm nie może zrodzić się pomiędzy dwiema stronami, z których jedna żyje w pognębieniu materjalnem i moralnem, druga zaś panuje nad pierwszą niepodzielnie, bez żadnych granic i hamulców w systemach wyzysku.

P. dr. Jan Bobrzyński w broszurze p. t. „Odrodzenie państwa przez objektywizm gospodarczy“ atakuje ustawodawstwo socjalne, które rzekomo krępuje rozwój życia gospodarczego, zabija inicjatywę prywatną, nakłada „pęta demagogiczne“ na wolność jednostki, dążącej do „podnoszenia swego osobistego zarobku“. A więc: „Temu systemowi należy wydać walkę na śmierć i życie, w imię prawdziwego wyzwolenia obywatela“.

P. dr. Bobrzyński ani jednem słowem nie wspomina o tych reformach na korzyść klasy pracującej, któreby uznał za słuszne. Nie powiada: robotnikowi należy się to a to, przemysł powinien iść na takie a takie ustępstwa. Nie określa p. Bobrzyński warunków, któreby umożliwiły „harmonję wszystkich warstw społecznych“. Przeciwstawia się wszelkiej ingerencji państwa, ustawodawstwo socjalne potępia w czambuł. Możnaby sądzić, że broszura p. d-ra Bobrzyńskiego wydana została conajmniej kilkadziesiąt lat temu, tymczasem dopiero co wyszła z druku. Przypomina bowiem najstarsze argumenty i wywody „laisser-faire'yzmu“, jest jakby echem ideologji, któ-

ra straciła już wszelkie realne podstawy. Przecież minęła ta epoka, kiedy, naprzykład, lord Shaftes Bury prowadził w parlamencie angielskim czternastoletnią (1833—1847) walkę o ustawę, ograniczającą pracę małoletnich do 10 godzin na dobę. (Przemysłowcy angielscy bronili się tymi samymi argumentami, jakie wysuwa przemysł dzisiejszy w walce z ingerencją państwa i z każdą dosłownie reformą w świecie pracy).

Ingerencja państwa rozrasta się tam, gdzie ze strony t. zw. sfer gospodarczych nie powstała inicjatywa na drodze poprawy bytu i warunków pracy klasy robotniczej, gdzie organizacja pracy ma formy najbardziej zacofane, a eksploatacja siły roboczej przeczy nietylko pojęciom humanitarnym, ale i — na dalszą metę — interesowi społecznemu oraz zdrowemu rozwojowi życia gospodarczego. Gdyby nie ta znienawidzona ingerencja państwa, dbającego właśnie o „solidarność interesów wszystkich warstw społecznych", walka klas zaostrzyłaby się u nas niepomiernie. Ustawodawstwo socjalne w takich warunkach osłabia walkę klas i zapobiega tym wybuchom, które niszczą ład społeczny i życie gospodarcze.

DOM

DOM. Dobre ognisko domowe jest twierdzą, której bronimy przez cały ciąg życia. Jest opoką moralną. Jest państewkiem prywatnem, które ma swoje prawa, swoją konstytucję, swoje dążenia i plany dalekie. Również — swoje tajemnice.

To państewko utrzymuje się z trudem i wciąż odpierać musi ciosy zzewnątrz zadawane. Lecz jeśli rzetelnie jest zbudowane, ostaje się mimo różne przeciwności, wstrząsy, niespodzianki. Jest bowiem w życiu potęga, której nie mogą złamać wichry złego losu: dobry stosunek człowieka do człowieka, w swej dobroci wzmożony przez wspólnotę rodzinną, opierającą się o miłość, przyjaźń, zaufanie, te wartości elementarne, bez których tak trudno żyć na świecie.

Ognisko domowe, jeśli dobre, czyli nie komedja, nie spekulacja, nie gwałt i przymus, jeno przybytek dobrej woli, szczerości, przywiązania, to wyspa ukojenia, oaza na pustyni moralnej, schronienie, czasem nawet szczęście.

Czytacie w pismach reakcyjnych, słyszycie zresztą w różnych środowiskach wszechstanowej kołtunerji, że postępowcy, radykali, wolnomyśliciele to ci, którzy największe swoje wysiłki kierują przeciw

instytucji rodziny. W polemice o ślubach i rozwodach cywilnych tę najczęściej powtarzano bzdurę. Te dzieci szatana chcą zburzyć ognisko domowe! Te masony chcą zniszczyć rodzinę! Owóż nie jest to prawda. Bunt przeciw instytucji rodziny mógłby powstać tylko wśród warjatów. Byłby to bunt przeciw życiu i jego najgłębszym, najtrwalszym prawom przyrodniczym. Owszem, postępowcy, radykali, wolnomyśliciele, dużo obalają, sporo bożków pakują do lamusa historji, likwidują różne fikcje, usuwają niejedną z tych rzeczy, które się wydawały nietykalnem tabu, ale rodziny zniszczyć nie chcą. Nie są tak niekonsekwentni. Sami się żenią i sami płodzą dzieci, pragną przytem, żeby w domu było im przyjemnie, żeby ich ognisko domowe rozwijało się pomyślnie.

Możnaby z większą słusznością powiedzieć, że raczej ci „obrońcy" instytucji małżeńskiej, którzy nic nie chcą zmienić w niej na lepsze, którzy walczą o utrzymanie wieczystego status quo w tem, co złe, fałszywe, sztuczne, zakłamane, że to oni właśnie podkopują zdrowy byt rodziny, bo jej wzmocnienie wymaga — że użyję określenia dla jednych miłego, dla drugich przykrego — energicznej sanacji.

Wypada stąd, że owe przeklęte masony są dobrymi przyjaciółmi ogniska domowego, które chcą wznieść na wyższy poziom moralny, czyli — innemi słowy — bo to jest to samo — wprowadzić je w sferę prawdy i wolności.

Aż dziwnie słowa takie brzmieć muszą w uszach zacofańców: radykalizm obrońcą rodziny. Pewno,

że brzmią dziwnie, jeśli się ktoś nasłuchał głupawych insynuacji i wziął je na serjo. A właśnie, właśnie: myśl radykalna wyzwala rodzinę z tych pęt, które narzuca jej bezradosny, bezduszny, ponury, wrogi szczęściu duch średniowiecza, działający wszystkimi pomysłami fałszu i obłudy. Wyzwala w imię dobra ogniska domowego. Dla tryumfu serc. Dla radości rozumu. A tak to ognisko wyzwalając, ulepsza je, uszlachetnia, dodaje siły. I niech to w różnych uszach brzmi sobie, jak chce, ale trzeba powiedzieć, że instytucja rodziny zagrożona jest przez tych jej obrońców, który wbrew wymaganiom życia, rozsądku i etyki, chcą ją nagwałt utrzymać w formach przebrzmiałych, obstawić nakazami i przepisami, które straciły sens, dusić atmosferą, w której nie można normalnie oddychać. Działają więc rozkładowo, bowiem, co się nie ulepsza zgodnie z wymaganiami życia, to słabnie, psuje się, dezorganizuje. To też z okopów reakcji i ze wszystkich posterunków, na których stoją i wykrzykują swoje kłamstwa świętoszki, obłudnicy i fanatycy nienaruszalności starych form, płynie jad anarchji.

Doszliśmy do sedna rzeczy: kto przeciwstawia się na całej linji postępowi, każdej zmianie, wszelkiej reformie, czyli przeciwstawia się rzeczywistości, powoduje rozkład i najgorsze eksplozje. To tak, jak z żywiołem wody: kiedy wzbiera, a niema dość szerokiego i głębokiego łożyska, niszczy dobytek ludzki, zalewa pola, wsi i miasta. „Regulacja" życia obyczajowego tak samo jest ważna, jak regulacja rzek.

Pierwsza — żeby nie było anarchji, druga — żeby nie było powodzi. A już się samo przez się rozumie, że owe „regulacje“ muszą być dokonywane nie po staremu, lecz nowocześnie, zgodnie z potrzebami dzisiejszemi i z tą umiejętnością, jakiej się rozum ludzki zdołał dopracować. I niech temu nie przeszkadzają reakcyjni sprzymierzeńcy anarchizmu. Dążymy do tego, żeby przeszkadzali jaknajmniej. Staramy się też osłabić ich walkę z dobrem rodziny.

DRAMAT ZŁEGO WYCHOWANIA. Publiczność teatralna opowiadała, że w sztuce Włodzimierza Perzyńskiego „Dziękuję za służbę“ poruszone są jakieś podstawowe zagadnienia małżeństwa — prawo do rozwodu, sprawa wolności kobiety, tragedja wiecznego konfliktu pomiędzy rodzicami i dziećmi i t. p. Dramat pani Granickiej ma być też echem dramatu ibsenowskiej Nory, przetransponowanego na dzisiejsze czasy.

W utworze p. Perzyńskiego nie widzę żadnych podstawowych zagadnień, lecz obraz pewnej sytuacji, pewnych okoliczności, w jakie wplątało się kilka głupich osób. Sprawa nie stoi tu w ten sposób, żeby zrodziła pytanie: czy kobieta po wychowaniu dzieci ma prawo opuścić dom, jeśli widzi, że już nikomu z najbliższych nie jest „potrzebna“? Pytanie jest inne: czy żona złego chama i matka ordynarnych dorosłych dzieci ma do końca życia zrezygnować ze swego szczęścia w imię utrzymania fikcji „gniazda rodzinnego?“

Pytanie: potrzebna czy niepotrzebna? — nie mogłoby powstać w atmosferze normalnych, ludzkich uczuć. Człowiek bliski jest „potrzebny“, choćby nie miał nic do „załatwienia“, choćby nie spełniał żadnej konkretnej pracy w prowadzeniu domu, choćby każdy z członków tego domu szedł swoimi drogami, a nawet wówczas, kiedy ich dzielą najskrajniejsze różnice w poglądach. Jest „potrzebny“ dlatego, że jest bliski.

W sztuce p. Perzyńskiego niema konfliktu poglądów, niema jakiegoś starcia się t. zw. „dwóch światów“. Dzisiaj każdą awanturę rodzinną kładzie się na karb „czasów powojennych“, którym przeciwstawia się dawne obyczaje, idealizując je bez udziału rozumu i pamięci. Rodzina powojenna jest naogół szczęśliwsza przez to, że wyzwala się z pod brzemienia kłamstw konwencjonalnych, że odrzuca fałsz i obłudę, że jej cementem jest i może być tylko uczucie, a nie umowa podtrzymywana przez terror opinji, nie impreza gospodarczo-handlowa, w której suma posagu odgrywała rolę naczelną. Rodzina powojenna jest szlachetniejsza nadewszystko dzięki usamodzielnianiu się kobiety, która w wypadkach coraz liczniejszych nie jest zmuszona do roli niewolnicy swego męża. Wzrost liczby rozwodów nie świadczy o postępach „anarchji“, lecz o tem, że ludzie chcą żyć prawdą i że nie widzą powodu, dla którego do samej śmierci mają ulegać klątwie nieporozumienia i złego doboru. Żona „dziękuje za służbę“ a mąż za „panowanie“, bo ani służba, ani władza nie są funkcjami

nakazanemi przez powojenne małżeństwo. Rodzina powojenna, targana warunkami życia cięższymi niż dawniej, umacnia jednak walor miłości i przyjaźni, najwyższy wówczas, kiedy łączy ludzi równych sobie w prawach i obowiązkach

Dramat państwa Granickich w sztuce p. Perzyńskiego nie jest dramatem rodziny powojennej, jak to mówi publiczność teatralna i jak to napisali niektórzy krytycy. Po wszystkie czasy żyli ludzie tacy, jak profesor Granicki. Jest to typ raczej przedwojenny. Cała jego „mądrość" wyraża się w pogardzaniu kobietą. I to właśnie trąci myszką. Wszystkie jego aforyzmy nadają się do dawnych „Kolców". Każdy idjota chce mieć uczucie, że istnieje jeszcze niższa od niego odmiana gatunku ludzkiego i za taką pragnie uważać kobietę. A profesor Granicki, znakomity szekspirolog, jest idjota. Zarazem — człowiek źle wychowany, cham. Wytrzymać z takim chamem dwadzieścia parę lat — to zaiste bohaterstwo.

Dzieci państwa Granickich są również głupie i źle wychowane. Synalek — zero moralne, a córunia — trywjalna i przewrotna szelma. Pomiędzy tym trojgiem obrzydliwych typów a panią Granicką nie powstał konflikt „powojenny", nie rozdzieliła ich różnica poglądów, dążeń, ideałów. Poprostu z jednej strony — złe i dokuczliwe chamstwo, z drugiej — ofiara tego chamstwa. Pani Granicka jest straszliwie nudna, ale tak się nie mówi do matki i żony. Dobre wychowanie dałoby sobie radę z jej męczącym sentymentalizmem. Bo dobre wychowanie daje sobie

radę w różnych sytuacjach życiowych znacznie lepiej i łatwiej, niż chamstwo. Dramat rodziny Granickich, to dramat złego wychowania, jedna z sił złowrogich, rozsadzających ognisko domowe.

ŚWIATŁO NAD CAMERA OBSCURA. W gmachu sądu podchodzi do adwokata jeden z klijentów i mówi wzburzony:

„Niech pan wytłómaczy przecie sędziemu, że właśnie nic innego, tylko to zepsuło mi życie i szczęście, nic innego tylko to: opadające pończochy. Wobec świata była modną damą, nosiła tylko najświeższe toalety paryskie; po domu chodzi w opadających pończochach. Nie mogę tego znieść dłużej, zwarjuję, jeśli zobaczę pończochy wiszące w fałdach nad kostkami".

Tak w powieści Jakóba Wassermana „Niewolnicy życia" (w oryginale „Laudin und die seinen") skarży się nieprzytomny człowiek zabiegający o rozwód. Autor dodaje: „Oczywiście odprawiono go. Być może, że był zawsze warjatem, gdyż nie umiał podać innego powodu tej chorobliwej odrazy, ale dzień potem zabił się. Z powodu opadających pończoch. Ale pończochy są tylko znakiem wielu błahostek i śmiesznostek, z powodu których życie i wolność giną tak samo, jak wskutek oficjalnie uznanego tragizmu z oszustwem i zabójstwem".

Przez gabinet adwokata Fryderyka Laudina, którego specjalnością są sprawy rozwodowe, przesuwa się galerja nieszczęśliwców. Od tragedji opadających

pończoch do rzeczy ścinających krew w żyłach, od błahostek, które zresztą zatruwają każdą godzinę, każdą chwilę, do wybuchów nieprzytomności i skandalów okropnych, od złośliwości, zadrażnień, uprzedzeń do scen nienawiści, zmieniającej ludzi w dzikie bestje, od kłamstw drobnych do wyrafinowanego podstępu i oszustwa, od cichej walki podjazdowej do zbrodni — rozwija się ponury kalejdoskop, wielka panorama zwyrodnień w małżeństwie, odsłania się prawdziwa współczesna Camera obscura życia ludzkiego.

Fryderyk Laudin, spokojny, mądry, mocny człowiek, którego zajęcie polega jakby na odbijaniu obręczy ze zbutwiałych beczek, zachowuje przez całe lata równowagę ducha w swojej pracy. „Przed nim, jak przed księdzem w konfesjonale, roztaczano motywy każdego postępku, musiał badać źródło postanowień i osądzać ich doniosłość. Musiał wiedzieć nietylko co się stało, ale też znać powód i rozwój rzeczy. Musiał znać curiculuum vitae osób działających, ich codzienny tryb życia, ich sposób myślenia, ich plan, nawyknienia, występki, choroby, ich stosunki, ich źródła pieniężne, ich nieskazitelność i skalanie. Wobec niego nic nie znaczył wstyd. Nie mógł oszczędzać wstydu. Rzeczą postawionego mu zadania było, że ludzie obnażali się przed nim, a on, obojętny na ich wrażliwość, badał każdą ich zmarszczkę, każdą porę, każde tajemne cierpienie. Możnaby mniemać, że stopniowo oduczył się dziwić, że przycichła w nim ciekawość, przerażenie, odraza, żal".

Przez długie lata ma do czynienia z tragikomedją ludzką, której sceny poszczególne rzucają światło straszliwe na wszystkie sataniczne pierwiastki natury człowieka, albo znów na niewinność męczonych manekinów, poruszanych przez siły od nich niezależne. Rośnie, bogaci się ta gehenna moralna, zatacza coraz szersze kręgi, wciąga ludzi wszystkich sfer, niszczy charaktery, wolę, spokój, tworzy nowe formy zła, niewyczerpana w pomysłach męki zadawanej swym ofiarom, niewyczerpana w rewelacjach o człowieku, do czego jest zdolny. Oto galerja mężczyzn i galerja kobiet, zaplątanych i szamocących się w sieci małżeńskiej, oto oszalałe, obłędne widowisko gwałtu, przymusu i wyzysku, maskarada w menażerji, teatr okropności. Z biegiem lat ten obraz przez ilość i jakość poszczególnych epizodów osłabia równowagę ducha Laudina, zaczyna w nim budzić trwogę. Zwłaszcza nadużycia ohydne, najohydniejsze, te, które znajdują oparcie w literze prawa, kiedy praw moralnych niema. Tu nawet prawa macierzyństwa są środkiem bezecnego wyzysku. Wyzysku ze strony tej — jak mówi Laudin — „tygrysicy prawowitości", ze strony tego „Shylocka w spódnicy, który nieczuły jest na argumenty, nie słyszy ich, nie słyszy drugiego człowieka, nie widzi go, wywija tylko swoim kwitkiem i żąda kontraktowo zawarowanego funta ciała ludzkiego, alarmuje policję, zaprząta sądy, rozpętuje niezmierną burzę pieniactwa, z dzikim okrzykiem bólu zwołuje całą gminę na świadka swej niewin-

ności i, wreszcie, udaje mu się ozdobić własną zbrodnię nimbem męczeństwa".

Laudin traci spokój, traci coraz bardziej, sam już wplątany w tragedję. Krzyczy wewnętrznie, że przecież tak być nie może, że tego znieść nie sposób, że chyba już lepiej... i tu popada w duchowy anarchizm, majaczy o pożądanym rozkładzie zupełnym, o chaosie wolności, który wszystko zmieni, a potem wyłoni wielką naprawę rehabilitującą człowieka i ratującą jego prawo do szczęścia. I oto Laudin, już wytrącony z równowagi, już bliski bezdroży, już upadający, widzi, że nad straszną Camera obscura wschodzi... słońce. Słońce! Widzi coś, czego nie dojrzał, nie rozumiał, nie doceniał. Cud dobroci, cud rozumu i serca. Postać własnej żony, która wspaniałością swojej duszy daje radosną naukę o tem, że szczęście „dwójbytu", dobro dwojga, prawda dwojga są możliwe, że istnieją w życiu i działają potężnie. Giną więc jego widma i jego Erynje: „Przedziwny dwójbyt, o którym roiła jego smutna wyobraźnia, podwójna jedność stała się prawdą w jego tak długo ciężkiem i ciemnem istnieniu".

Książka Jakóba Wassermana, jednego z największych pisarzy współczesnych, daje po mistrzowsku skreślone charaktery różnego typu ludzi dzisiejszych, niesie nadto głębokie westchnienie idealizmu najwyższego gatunku, bo tego, który wytrzymał próbę cierpienia.

WIARA

DWIE DROGI. Nie rozstrzygam, kto jest szczęśliwszy: czy ten, który sobie wszystkie metafizyczne zagadnienia rozwiązał w dogmatach i już się tajemnicami bytu przestał niepokoić, czy też ten, kto nie chce odsunąć od siebie trudu poszukiwań, wciąż bada zagadki wszechświata, a usunąwszy jakiś rąbek tajemnicy, natrafia na nowe. Nie rozstrzygam, komu lepiej na świecie, choć wydaje mi się, że ten drugi, niespokojny, wciąż poszukujący, więcej przynosi światu ludzkiemu pożytku, bo go dźwiga na wyższe poziomy, nie daje mu trwać w duchowej stagnacji. Przytem ów drugi mniej jest zarozumiały od tamtego, który sądzi, że w takich czy innych formułach mistycznych, posiadł wszystkie tajemnice, zrozumiał prawa kosmosu, otrzymał niezachwiane prawdy, przeniknął wolę Boga.

Tak czy owak — niech sobie ten zadowolony i spokojny będzie szczęśliwy. Bardziej mi się podoba, niż jego uczucia, okrzyk Zaratustry: „Cóż mi po szczęściu? Dzieła jego baczę!“ Te słowa, ten drogowskaz prowadzi w kierunku nauki, nie zaś w stronę rozstrzygnięć dogmatycznych.

Niechże ktoś takiej postawy nie zrozumie opacznie: świat nauki jest cudowny, wielkiem i niewyczer-

panem jest źródłem najszlachetniejszych emocji. Nie panuje tu tylko tragedja tajemnicy i męka wątpliwości, również—rozkosz poznawania i radość niejednego tryumfu. „Ils aiment la science — pisze Romain Rolland — o ludziach miłujących naukę — ils l'aiment pour elle-meme, parcequ'elle est belle, seule belle, seule reelle"...

A religja? A potrzeby ducha najwyższe? A kontakt człowieka z nieskończonością?

Jan Jakób Rousseau opowiada w „Listach Genewczyka", jak to pewien biskup zwiedzał jedną ze swoich djecezji i spotkał w polu pracującą wieśniaczkę.

— Czy wiesz moja córko — zapytał biskup — co to jest religja?

— Nie wiem.

— Czy wiesz co to jest Bóg?

— Nie wiem.

— Powiedz mi, co czujesz, kiedy spojrzysz na niebo?

— Kiedy spojrzę na niebo, to sobie głęboko westchnę...

Na to biskup:

— Czyń tak nadal, moja córko.

„PRAWO DO BŁĘDU". Artykuł 111-ty konstytucji naszej głosi: „Wszystkim obywatelom poręcza się wolność sumienia i wyznania. Żaden obywatel nie może być z powodu swego wyznania i przekonań religijnych ograniczony w prawach przysługujących

innym obywatelom. Wszyscy mieszkańcy państwa polskiego mają prawo wolnego wyznawania zarówno publicznie, jak prywatnie swej wiary i wykonywania przepisów swej religji lub obrządku, o ile to nie sprzeciwia się porządkowi publicznemu ani obyczajności publicznej". W ten sposób ustawodawca polski godzi dwie zasady: wolności sumienia i granicy tej wolności.

Mniejszość ma prawo urządzać się tak, jak się jej podoba, byleby nie przeszkadzało to większości. Dlatego nikomu do głowy nie przyjdzie, żeby, naprzykład, Żydowi nie pozwalać wchodzić do synagogi w czapce. Myśli, że tak właśnie trzeba. Tak samo nie da się zmusić bezwyznaniowców, żeby spełniali praktyki religijne. Resztki tego przymusu, jeszcze działające, zniknąć muszą.

Większość ustanawia prawa, dotyczące ogółu i — zgodnie z zasadą demokracji — jest instancją rozstrzygającą, byleby w ustanawianych prawach nie niosła gwałcenia sumień. Prawo większości musi się godzić z zasadą równości i na tem polega cały sens demokracji. Jeżeli większość odbierze mniejszości prawo wyborcze, będzie to postanowienie antydemokratyczne, chociaż powzięte przez większość. Również obrazą demokracji byłoby, gdyby większość, wyznająca taką a taką religję, w niej widząca jedyną prawdę o Bogu, zakazała mniejszości wyznawać inne o Stwórcy koncepcje, jakoteż organizować życie religijne z temi koncepcjami zgodne lub też nie trzymać się żadnych religijnych obrządków.

Tak już w dziejach ludzkości bywało: nie uznawano tolerancji dla czegoś, co uznawano za prawdę fałszywą. I jeżeli dziś ks. Z. Chromański gniewa się na mnie i grzmi na łamach „Kurjera Warszawskiego" przeciw zasadom tolerancji, bo — jak powiada — „prawo do bytu ma prawda, a nie fałsz" to inicjuje polemikę XV-go wieku z XX-tym, o tyle nieaktualną, że współczesna rzeczywistość, że życie nowoczesne wszystkich narodów cywilizowanych rozstrzygnęło sprawę na korzyść „prawa do błędu" w rzeczach filozofji i religji. Jużeśmy się do tego, po wielu dyskusjach, walkach i rewolucjach przyzwyczaili, a odzwyczaić się byłoby nad wyraz trudno. Trzebaby przekreślić wszystkie zdobycze zdrowego rozsądku. Trudno przypuścić, żeby taki nawrót był możliwy, mimo wszystkie elipsowate linje w historji ludzkości.

INTERES PAŃSTWOWY. Pierwszy z cesarzów chrześcijańskich, Konstantyn, ogłosił w roku 313-tym edykt, mocą którego chrześcijaństwo uznane zostało za religję przodującą w państwie. Mimo to Konstantyn gorliwie zabiegał, żeby w imię jedności państwa różnowiercy przestali się spierać o zagadnienia, które ich dzielą. Wobec różnicy w obrzędach chrześcijańskich i pogańskich, rozkazuje, by raz na tydzień dowódcy zbierali wszystkich żołnierzy nie przy ołtarzu pogańskim, ani w kościele, bo to obrażałoby uczucia jednych lub drugich, ale w czystem polu. Żadnych przytem nie było obrzędów, żadnych kapłanów,

tylko przez dowódców głośno odmówiona modlitwa, błagająca „Bóstwo" — bez wymienienia jakie — o opiekę nad cesarzem, państwem i wojskiem. Jedni w duszy swojej modlili się do Boga chrześcijan Trójjedynego, a inni do Słońca Niezwyciężonego. Sam Konstantyn wyznaje wiarę Chrystusa, ale dba o to, żeby oddawano cześć starym bogom pogańskim. Otwiera sobory biskupów, a w Rzymie mianuje kapłanów Jowisza i Marsa. Modli się w kościele, ale dopuszcza, by w jego imieniu zarzynano byki na cześć Słońca Niezwyciężonego i Wielkiej Matki Idajskiej. (Dobrze charakteryzuje te czasy prof. Stefan Czarnowski w rozprawie p. t. „Idee kierownicze ludzkości").

Objektywizm państwa XX wieku posuwa się już dalej, lecz — jak widać — cesarz Konstantyn dobre miał poczucie interesu państwowego.

A tak działo się tysiąc sześćset lat temu...

ZASADY. Ćwierć wieku temu wolnomyślicielstwo europejskie wkroczyło na teren zorganizowanej pracy międzynarodowej. W roku 1904-tym odbył się międzynarodowy kongres wolnej myśli, na którym ustalono zasady tej pracy. W szeregu rezolucji i deklaracji zostały wyłożone podstawowe hasła wolnej myśli, następnie szerzone w krajach Europy, zarówno przez książki, broszury, odezwy, zgromadzenia, jak z trybuny parlamentarnej, kiedy chodziło o zmiany w ustawodawstwie z temi hasłami zgodne. Już wówczas na I-ym kongresie rzymskim sporo czasu

zajęło odpieranie oszczerstw i zarzutów, jakie padały ze strony międzynarodowego kleru. Organizacje wolnomyślicieli usiłowano przedstawić opinji, jako zespół wywrotowców i demoralizatorów, którzy dążą do wywołania anarchji, więc — zniszczenia dobrych obyczajów, poderwania wszelkiego autorytetu w życiu społecznem, zburzenia rodziny i t. p. Druga serja oszczerstw i zarzutów dotyczyła rzekomej nietolerancji wolnomyślicieli, którzy jakoby zmierzają do antyreligijnego przymusu. Serja wreszcie trzecia kłamstw świadomych, lub obaw z niezrozumienia rzeczy płynących, paczyła wszystkie pojęcia wolnomyślicielstwa, najczęściej zaś utożsamiała je z ateizmem.

To samo mówią dziś wrogowie wolnej myśli. I to samo właściwie odpowiada się im, broniąc prawdy, odpierając fałsz.

Więc — po pierwsze — na czem polegają zasady moralności świeckiej? Źródłem tej moralności jest sumienie ludzkie, którego nakazy nie są dyktowane względami na kary i nagrody w zaświatach. Źródłem tej moralności jest potrzeba czynienia dobra z myślą o sprawach ziemskich człowieka i dla zaspokojenia poczucia moralnego, nie zaś przez obawę gniewu lub nadzieję łaski niebios. Jest to więc moralność bezinteresowna. W deklaracji rzymskiej brzmiało to tak:

„Spełnienie dobrego czynu samo przez się stanowi nagrodę i nie powinno być aktem interesownym".

W tej samej deklaracji czytamy:

„Wolna myśl dąży do prawdy przez naukę, do dobra przez moralność, do piękna przez sztukę. Wolna myśl tworzy naukę społeczną, moralność społeczną i etykę społeczną. Jest świecka i demokratyczna, czyli odrzuca to potrójne jarzmo: autorytet i przymus w rzeczach wiary, przywilej w życiu politycznem, ucisk w życiu ekonomicznem".

Stosunek wolnej myśli do religji i do wszelkiego dogmatyzmu wynika z jej założeń podstawowych, a więc przedewszystkiem zasady wolności sumienia. Zasada ta nie pozwala ani obrażać wierzeń religijnych, ani też w jakikolwiek sposób przeszkadzać w spełnianiu religijnych praktyk. To też nic wspólnego z wolnomyślicielstwem europejskim nie mają bolszewicy, którzy w państwie sowieckiem stosują terror antyreligijny i przez wydawnictwa takie, jak „Bezbożnik" znęcają się nad uczuciami ludzi wierzących. Wolna myśl daje sobie prawo badania zjawisk religijnych, prawo krytyki instytucji wyznaniowych i ich kierowników, lecz nie wkracza na drogi nietolerancji.

Zarówno na kongresie rzymskim, jak i na wszystkich następnych powtarzano z naciskiem, że wolna myśl nie jest doktryną, lecz metodą, a pierwszej tej metody cechą jest swobodne poszukiwanie prawdy we wszystkich dziedzinach życia przy pomocy rozumu i doświadczenia, bez niewolniczego posłuchu dla ustalonych zgóry pewników i dogmatów. Na drugim międzynarodowym kongresie, odbytym w Genewie w r. 1902-gim przyjęta została deklaracja progra-

mowa, złożona przez wielce zasłużonego w tym ruchu prof. Gabrjela Sèailles'a. Czytamy w tej deklaracji:

„Wolna myśl nie jest świecką nietolerancją. Zawiera w sobie wolność i myśl. Można ją określić jako prawo swobodnej krytyki. Wymaga ono, by każde twierdzenie było zwróceniem się umysłu do umysłu, żeby poddawało się krytyce. Wolnomyślicielem jest tedy każdy, jakiekolwiek są jego teorje lub wierzenia, kto buduje swe poglądy na własnej inteligencji i poddaje je krytyce inteligencji drugich, czyli nie przyjmuje bezkrytycznie praw narzuconych. Wolna myśl jest metodą, nie zaś doktryną, nie przeciwstawia się dogmatom przez dogmaty własne".

Wreszcie — utożsamianie wolnej myśli z ateizmem. To również fałsz. Prof. Gabriel Sèailles, który był jednym z przywódców międzynarodowego wolnomyślicielstwa, tak tę sprawę ujmuje:

„Poza ateizmem, który jest też dogmatem, czyż ogłosimy obowiązkowy pozytywizm? W imieniu myśli wolnej żądamy, by nie było opinji „podejrzanych", by ateusz nie był traktowany, jak przestępca, a wierzący w Boga nie był uważany za głupca. Doprawdy, któż ośmieliłby się usunąć po za nawias wolnej myśli Kartezjusza, Spinozę, Leibnitza, Fichtego, Hegla, Szopenhauera, wszystkich tych wielkich wyzwalaczy myśli ludzkiej, którzy trzymali się idei Boga? Powiedzmy otwarcie, że kongres wolnej myśli, na którym nie mogliby zabrać głosu Kartezjusz, Spinoza, Leibnitz, Kant i Renouvier, spinozista Goethe, hegeljanista Ernest Renan, deista Wiktor Hugo, taki kongres byłby sekciarską parodją".

W fabrykach i warsztatach kłamstwa, zorganizowanych przez wrogów wolnej myśli, fałszuje się wszystkie jej zasady. Bo walka z zasadami niesfałszowanemi byłaby o wiele, o wiele trudniejsza.

HISTORJA. Rzeczywistości moralnej i duchowej świata ludzkiego nie można zrozumieć bez historji religji. Komu obcy jest ten dział nauki, nie może nawet zbliżyć się do prawidłowego ujmowania wielu podstawowych zagadnień zbiorowego życia. Nauka o tem, w co ludzie wierzą i jak organizują swoje wyznania, nauka o kształtowaniu się wierzeń i powstawaniu organizacji religijnych, otwiera nam drogę do przeniknięcia tej potęgi, która stanowi jeden z najsilniejszych motorów historji. Nie działa ów motor samodzielnie, nie porusza też wyodrębnionego mechanizmu, lecz nierozerwalnie związany jest z całą machiną życia społecznego. Sam zależny od czynników innych, uzależnia od siebie wielką ilość zjawisk. Religja jest dziedziną pojęć, wierzeń, obrządków, żyjącą i rozwijającą się w najściślejszej zależności od całokształtu warunków danego środowiska. Warunków społecznych, gospodarczych, politycznych, nadto — przyrodniczych. Wszystko znajduje swój wyraz, swoje odbicie w religji. Badanie zjawisk religijnych jest przez to samo bogaceniem i pogłębianiem wiedzy o całem życiu ludzkiem. W nauce religjoznawstwa stykamy się z historją, filozofją, socjolo-

gją, ekonomją polityczną, psychologją. Poznajemy wszystkie źródła emocji religijnych i urządzeń wyznaniowych.

Olbrzymia rozmaitość odmian życia religijnego wymaga racjonalnej metody badania, ażeby ustrzec się od błędów w uogólnieniach. Już sama definicja religji była i jest przedmiotem sporów. Od czasu encyklopedystów po dziś dzień kwestja tej definicji wciąż jest otwarta i wciąż rozważana, a to ze względu na trudność ustalenia, jakie mianowicie momenty łączą wszystkie bez wyjątku religje — od wierzeń ludów pierwotnych do wielkich systematów wyznaniowych świata cywilizowanego. Ani bowiem idea Boga, ani wiara w życie przyszłe, ani wyobrażenia o siłach „nadprzyrodzonych“ i stosunek do tych sił, nie stanowią istoty religji, jeśli za jej istotę będziemy uważali to, co spotyka się we wszystkich religjach. Są religje, pozbawione idei Stwórcy, nie mające pojęć o życiu zagrobowem, nie znające sił „nadprzyrodzonych“.

Badanie historji religji, badanie naukowe, różnić się musi od rozważań mistycznych, od teorji objawień, wkracza w analizę zjawisk t. zw. irracjonalnych, nie wyznaje zasady „credo quia absurdum“.

Historyk religji wie o człowieku religijnym i praktykującym więcej, niż sam ten człowiek wie o sobie: o tem, czemu się modli tak a nie inaczej, czemu trzyma się takich a nie innych obrządków. Nauka widzi w nim niejako medjum inspirowane i poruszane przez sugestję historji religji.

Wiedzieć jak, dlaczego, w jakich warunkach powstały takie a takie wierzenia, znaczy to — wyzwolić umysł swój z pod brzemienia twierdzeń dogmatycznych. Nauka historji religji daje najrzetelniejszą podstawę, o którą opiera się myśl wyzwoleńcza.

WYCHOWANIE

WPROST PRZECIWNIE. Dziwnie ponure pióra oświecają u nas naród. Niosą mu słowo straszliwie poważne i groźne. Gdyby nie ta przestrzeń, która dzieli kaznodziejów od społeczeństwa, przestrzeń wypełniona pewną sumą zdrowego rozsądku i radości życia, zrobiłoby się w naszym kraju niewymownie smutno.

Kiedy mówią o „duszy dziecka" uderzają w ton tragiczny, a w swoich radach i wskazówkach zdradzają tylko oschłość duszy, szablon w myślach, niedobroć charakteru. Rygor, subordynacja, przymus — w sferze tych tylko pojęć obraca się ich myśl pedagogiczna. Ze szczepionką dogmatów, które straciły sens życiowy, z przepisami, które już dawno kwalifikują się do archiwum, z całym aparatem środków tępych, przykrych, dokuczliwych, znęcają się nad młodem pokoleniem i — oczywiście — przegrywają sprawę.

Potem lament: niema już powagi rodziny, niema już autorytetu nauczyciela! Bo są zbyt patetyczni, groźni, namaszczeni. Bo nie mają pojęcia, co to jest przyjaźń i szczerość w postępowaniu z młodzieżą. Bo psują jej humor. A to sposób niezawodny, żeby wywołać oddalenie i niechęć. Tak samo, jak między ludźmi dorosłymi.

Cel wychowania? Określony był, jak nie można lepiej, w ustawach naszej Komisji Edukacyjnej, ogłoszonych w roku 1783-cim. Nic mądrzejszego nie wymyślimy, niż ta wskazówka: „Aby ucznia sposobnym ze wszystkich miar uczynić do tego, żeby i jemu było dobrze i z nim było dobrze".

Żeby mu było dobrze... Więc przyjemnie, radośnie, pogodnie. Nad tem myślcie, kaznodzieje. A nie nad tem, jak dziecko skrępować, ujarzmić, duchowo skoszarować.

Ojciec niech nie będzie tylko „panem domu", rozkazodawcą i „autorytetem", strach budzącym, a matka niech nie zamęcza dzieci nadmiarem troskliwości, które je doprowadza do rozpaczy. Niech też rodzice nie usiłują przekonywać swego dziecka, że są wzorem cnót i nieomylności. To się nie udaje. Dzieci mają dobre poczucie komizmu.

Król Filip cieszył się, że syn jego, Aleksander, przyszedł na świat, kiedy w Atenach żył Arystoteles, który uczyni zeń człowieka mądrego i dobrego. I mówił do syna: trzymaj się nauki Arystotelesa, żebyś nie popełniał błędów, których ja teraz żałuję. Wzbudził przez to w Aleksandrze synowskie zaufanie.

Pewien literat nowojorski zapewniał Bernarda Shaw, że Amerykanie mają z roku na rok coraz lepsze maniery. „Tak — odrzekł Shaw — ale jest tam dużo rodziców, którzy mówią do swych dzieci bez należytego szacunku".

„Pan domu", srogi ojciec niech nie widzi racji swojej despotycznej władzy w tem, że utrzymuje

dzieci. Żaden to argument. W jakiejś nowelce francuskiej opisane jest następujące wydarzenie. Siedmioletni chłopak, sława kinematograficzna, utrzymuje cały dom. Coś przeskrobał i dostał od ojca rózgi. Malec rozgniewał się srodze. Właśnie miał jechać do wielkiej wytwórni, która z ojcem zawarła kontrakt. Oświadcza, że nie pojedzie. W domu — rozpacz. Groźba wielkiego odszkodowania za zerwanie kontraktu. Prośby, perswazje, błagania. Wywody ojca nie skutkują, ale łzy matki wzruszyły chłopaka. Zdecydował: pojadę, ale przedtem dam tatusiowi dziesięć batów. Przerażenie. Jakto? Ojciec, ojciec! Znowu prośby. Nic nie pomogło. Chłopak uparł się. Więc — strata pieniędzy? Ruina? Nie. Tatuś zgodził się i dostał. Dzieciak zarabiał, utrzymywał dom. Jeżeli to jest dostateczne źródło władzy bijącej, w takim razie miał prawo dać tatusiowi w skórę.

W domach jeszcze się bije dzieci, uprawia się tę podłość. Wielkiej trzeba było rewolucji w pojęciach, żeby ze szkół usunąć bicie. W dawnej Polsce, jak zresztą na całym świecie, system wychowania był bardzo prosty: „Instrumenta kary: placenta, t. j. skóra okrągła, gruba, w kilkoro złożona, na dłoń ręki szeroka, którą za omyłki w czytaniu lub niepamięć tego, co się nauczyć naznaczono, bito w rękę. Za zupełne nienauczenie się instrument kary — rózga brzozowa albo dyscyplina pospolicie rzemienna, u surowszych zaś nauczycieli ze sznurków nicianych tęgo spleciona, siedem lub dziewięć odnóg mająca, którą to rózgą lub dyscypliną bito na ciało, uderzając

najmniej trzy, a najwięcej piętnaście razy, według przewinienia, według cierpiętliwości ciała i według surowości nauczyciela". (Ksiądz Jędrzej Kitowicz — „Opis obyczajów za panowania Augusta III-go").

Zmieniliśmy się. Już się nam takie metody wydają czemś potwornem. Ale jeszcze coś trzeba usunąć z wychowania szkolnego: ducha pedantyzmu. Wcale nie chodzi o to, żeby wychowańcy szkół w ciężkiej, żmudnej nauce upodobnili się do owych hodowców kur na Delos, którzy obejrzawszy jajo, umieli powiedzieć, która kura je zniosła.

Nienową, jedną z najstarszych „herezji" pedagogicznych jest myśl, że w wychowaniu dzieci, trzeba zerwać z koszarowym szematem, którego wyłącznemi przykazaniami są — rygor i przymus. Już conajmniej od czasów Rousseau omawiana jest sprawa wychowania innego, w którem na miejsce dawnego terroru stosuje się sposoby milsze i bardziej celowe. A chociaż Rousseau był wielki „heretyk", chociaż jego „Emil" palony był na placach publicznych Paryża i Genewy, to jednak niema dziś szkoły nawet wstecznej, nawet klerykalnej, do którejby coś z jego myśli reformatorskich nie przenikło. Na „truciznę" postępu niema żadnej rady. Dlatego we wszystkich dziś Grenadach — mniejsza lub większa zaraza...

Podstawą wychowania przestaje być strach ucznia i groza idąca od wychowawcy. Nauka jest dziś dla dzieci i młodzieży przyjemniejsza. Oto zdobycz prawdziwie wielka. Nauka jest przyjemniejsza, a przez to samo bardziej owocna. Budzenie zmysłu

ciekawości, rozkoszy poznania, poczucia wielkości i piękna wiedzy — to sprawianie uczniowi przyjemności w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu. Cudownie pisał o tem Pestalozzi i nic nowego na ten temat nie da się powiedzieć. Już zresztą w bogatej praktyce pedagogicznej zdobyto wymowne pod tym względem doświadczenia.

Ukazała się w przekładzie polskim głośna książka biskupa rottenburskiego, d-ra Wilhelma Pawła Kepplera p. t. „Więcej radości". Przed tekstem przekładu — zaświadczenie cenzury kościelnej: „Nihil obstat. Posnaniae, die 19. X. 1928 Dr. Steur: Censor: Imprimatur. Posnaniae, die 20 octobris 1928. Curia Archiepiscopalis v. g. Franciscus Ruciński". Dowód wystarczający, że książkę mogą czytać ludzie religijni, pobożni, prawowierni Książka jest bardzo piękna, zwłaszcza dla ludzi, którzy przedewszystkiem w religji najmilsze znajdują emocje. Którzy przez religję osiągają błogostan, a nawet taki nadmiar szczęścia, jak św. Franciszek Ksawery, proszący Boga, by ów nadmiar zatamował: „Dosyć, Panie, dosyć, nie dawaj mi tyle pociechy w tem życiu".

Biskup Keppler apostołuje radość w religji i radość w wychowaniu. Opowiada naprzykład, o pewnym świętym, jak grał w piłkę z przyjaciółmi. I oto zaczęto mówić o śmierci i wypowiadać różne zdania, coby należało czynić, gdyby teraz właśnie nadeszła ostatnia chwila życia. Zdanie świętego zupełnie się różniło od innych: „Co do mnie — rzekł — grałbym w dalszym ciągu w piłkę, albowiem rozpo-

cząłem grę ku większej chwale Bożej". Biskup Keppler przypomina, że podobnie wypowiedział się św. Karol Boromeusz przy grze w szachy.

A jak powinno być w szkole? O wychowawcach, którzy terroryzują dzieci, pisze biskup Keppler:

„Takie wychowanie w szkole trzeba zaliczyć do grzechów wołających o pomstę do nieba. Równa się ono uciskowi biednych, opuszczonych i bezbronnych, Zaprawdę głos tych sponiewieranych maleństw woła do nieba, oskarżając dręczycieli, a Ojciec niebieski go słyszy. Przypomni On jeszcze tym mordercom radości, że użyczona im władza nie uprawnia ich do brutalnego wyzyskiwania swojej przemocy, że zadaniem ich jest młode drzewka pielęgnować, w radości rozwijać, nie zaś bezmyślnie je chłostać, nim ostatni pączek rozszarpany zostanie, a ostatni kwiat radości stracony".

I jeszcze taka oto nauka:

„Wychowanie nasze — zarówno w zakresie teoretycznym, jak i praktycznym — posiada jeszcze ten brak, że nie docenia w dostatecznej mierze znaczenia radości dla należytego rozwoju dziecka, od pierwszego brzasku jego świadomości, że wszelkie usługi, jakie owa sprzyjająca siła pomocnicza w ciężkiem dziele wychowania i nauczania może wyświadczyć, bynajmniej nie są jeszcze dostatecznie ocenione".

Nawet w domach poprawy, nawet tam, gdzie życie toczy się pod znakiem kary za przestępstwo, tam też — pole do radości:

„Nie może zbraknąć radości nawet w tych domach, które znamionuje odrażający, nowoczesny wyraz „wychowanie przymusowe", w zakładach poprawczych dla zepsutej i zaniedbanej młodzieży. I tutaj doświadczenie przemawia za tem, że samą surowością nic się nie osiąga, a tylko zatwardziałość powiększa, że łagodność i wesołość często silniej skutkują, niż środki najbardziej stanowcze. Rzecz naturalna, system mieszany będzie najsłuszniejszy, tylko w domieszce radości nie trzeba być zbytnio skąpym. Ponieważ mieszkańcy w takich domach są tylko pod przymusem trzymani, ponieważ się budzi jako naturalna reakcja, przeciw takiemu przymusowi, nieufność, upór, nienawiść, krnąbrność w stosunku do wychowawców i dozorców, pomyślnego wyniku pracy wychowawczej tylko wówczas można się spodziewać, gdy się uda to wrogie usposobienie stopniowo przekształcić w zaufanie. To zaś zaufanie można zdobyć jedynie wielką miłością, która objawia się i pociąga najbardziej wówczas, gdy jaśnieje dobrocią i darzy weselem".

Dobroć, radość, wesele — w domach poprawczych... Słyszane to rzeczy! Bolszewizm, anarchja, masoństwo! Krzyczcie ze zgrozy, ponure głuptasy. Ale tym razem to mówi biskup katolicki, a słowa jego sankcjonuje cenzura kościelna. Więc w tym wypadku — trudniejsza dla was sprawa...

Ten duchowny mówi rzeczy jeszcze bardziej „zdrożne". O radości w więzieniu. Opowiada, jak na duszę więźnia dobrze wpływa... pielęgnowanie kwiatów, jaka stąd radość i jaka naprawa moralna.

Ciągle, wszędzie — radość, jako lekarstwo, jako nauka, jako drogowskaz. Taki nauczyciel. Mówi też o ludziach ponurych. Czemu tacy? Biskup Keppler powołuje się na św. Franciszka z Assyżu, który w takich ludziach widział „zło babilońskie" i na św. Katarzynę z Sjeny, która usposobienie ponure „morderców radości" uznawała za skutek wpływów szatana. Bo „szatan ma zawsze na celu wtrącenie duszy w nudę, smutek, zmieszanie"...

Owszem, to przemawia do przekonania: wpływ szatana...

PRZEŻYTEK. Egzamin maturalny jest przeżytkiem, pozostałością dawnych czasów, absurdem pedagogicznym. Pochodzi z czasów prastarych. Źródło ma aż w starożytnych Chinach, klasycznym kraju ceremonji i terroru. Prof. Baroli w książce pt. „Der Schulstaat" (Wiedeń 1909) podaje taki obrazek: w roku 1907, w prowincji Jan-tsin, do egzaminu stanęło ogółem 9.000 kandydatów na uczonych — tsin-tse... Egzaminy trwały 9 dni. Panował wielki upał. Gdy otwarto drzwi celek egzaminacyjnych, znaleziono tam 27 trupów i 3.000 kandydatów w stanie ciężkiej choroby. Egzaminy złożyło bardzo niewielu. Chiny zabezpieczyły się tego roku przeciw nadmiarowi „uczonych".

Nauczyciel w latach studjów szkolnych ma doskonałą możność poznania ucznia i dokładnej oceny jego uzdolnień. Wstęp do wyższego zakładu naukowego powinno otwierać świadectwo z ostatniej klasy

szkoły średniej. Dodatkowa próba maturalna jest sztuczna i odbywa się pod znakiem przypadku. Kto w ciągu dwóch tygodni zdał świetnie wszystkie egzaminy maturalne i dowiódł, że pamięta całą „wiedzę" szkoły średniej, od pierwszej klasy do ostatniej, ten nie zda już tych samych egzaminów po upływie miesiąca. Było to bowiem specjalne, ogromnego wysiłku wymagające, nastawienie pamięci na krótki okres czasu. Znamy to wszyscy z praktyki.

TRAGEDJE. Głośny uczony i pedagog amerykański w dziele „Nowe wychowanie" pisze: „Gdy człowiek uważniej przygląda się naszemu mechanizmowi społecznemu w polityce, przemyśle, religji, życiu rodzinnem, wychowaniu, gdy widzi, jak daleko sięga dążenie do opanowania i skruszenia tego wolnego ptaka empirejskiego, jakim jest dusza ludzka, doznaje na tę chwilę wrażenia, że jedynem możliwem wyznaniem wiary społecznej jest filozoficzny anarchizm. W szczególności uczucie to staje się bardzo wyraźnem i żywem, gdy się stoi przed bramą amerykańskiego kolegjum i widzi się, ile pracowicie nagromadzonych przeszkód zagradza do niego dostęp dla młodzieży, ile niepotrzebnych formalności i przegród potworzono dla niej, gdy już się do kolegjum dostała, jaka tam panuje ślepota na punkcie istotnych zagadnień wychowawczych".

Trzeba nadmienić, że Henderson jest pisarzem głęboko religijnym, o bardzo umiarkowanych poglądach społecznych. Lecz wobec pewnych okropności

doznaje chwilami uczucia, że „jedynem wyznaniem wiary społecznej jest filozoficzny anarchizm". Przychodzi na myśl okrzyk Dostojewskiego w „Braciach Karamazowych": „Jeżeli jedno dziecko cierpi niewinnie, niech cały świat zginie!"

Zakończeniu każdego roku szkolnego towarzyszą liczne samobójstwa dzieci, które w ten sposób oskarżają szkołę, rodzinę, społeczeństwo o znęcanie się nad „kwiatem narodu".

WOLNOŚĆ

SZTUKA JEST WOLNA. Do spraw ostatniemi laty głośnych, zarazem ważnych, należał proces rysownika niemieckiego, Jerzego Grosza, zasądzonego w pierwszej instancji sądu berlińskiego za bluźnierstwo. Sprawa była doniosła. Chodziło o wolność sztuki.

Jerzy Grosz dał ilustrację do książki J. Haszeka p. t. „Der brawe Schweik". Rysunek, za który wytoczono Groszowi proces o bluźnierstwo, przedstawiał Chrystusa w masce gazowej i butach żołnierskich. Ilustruje ten rysunek rozmowę dwóch żołnierzy, z których jeden mówi: „Gdyby Chrystus żył dzisiaj, musiałby też iść do okopów", drugi odpowiada: „Trzeba stulić pysk i służyć dalej". Myśl rysunku jasna: protest przeciw nadużywaniu religji dla celów wojennych. W drugiej instancji Jerzy Grosz został uniewinniony. Sędzia dr. Siegert, którego imię stało się tak głośne z powodu tego procesu, skasował wyrok pierwszej instancji i ogłosił motywy wyroku uniewinniającego. Motywy te, stanowiące piękny dokument XX stulecia, brzmią:

„Chodzi tu o to, co chciał wyrazić artysta. Rysunek jego mówi do widza: precz z wojną! Pogląd ar-

tysty podzielają dziś miljony ludzi. Tej właśnie sprawie służy on. Oddaje myśli i uczucia miljonów. Mistrz grafiki przedstawił mocą swego talentu cierpienia ludzkości czasu wojny. Dał na swym rysunku świadectwo prawdzie o działalności religji, która zaprzęgła się w służbę obcej i wrogiej sobie sprawy, która wbrew głoszonym przez siebie hasłom miłości bliźniego, gloryfikowała to, czego jej nie wolno było wysławiać — głosiła chwałę wojny. Artysta zapędził się daleko, bardzo daleko — w obronie dobrej sprawy, sięgając po najwyższe nawet symbole wiary. Ludzka to rzecz. Dał on się porwać uniesieniu, nie myśląc w zapale świętego oburzenia o tem, iż mógł obrazić czyjeś uczucia, iż mógł wyrządzić krzywdę, poniżając kościół. Nie można jednak bronić jednocześnie interesów wszystkich. Sztuka jest wolna. W interesie kultury nie można jej wciskać w kaftan bezpieczeństwa. Ważąc na szali interesy stron, musimy przyznać, iż sztuka, jako czynnik kultury, domaga się większych względów, niż niezrozumienie, które mogło powstać w umyśle niektórych widzów. Gdyby danem było oglądać te rysunki miljonom ludzi, którzy przeszli piekło wojny, podziękowaliby zapewne artyście za jego czyn. W dziele artysty oskarżonego nie dopatruje się żadnej winy".

Mamy w naszej publicystyce politycznej rozprawę, która mogłaby stanowić najbardziej entuzjastyczną obronę w procesie Jerzego Grosza. To broszura księdza Feliksa Mieszkisa p. t. „Wojna". W broszurze tej, wydanej „za pozwoleniem władzy duchownej", w rozdziale p. t. „Pan Bóg na wojnie" czytamy te słowa:

„Sztukmistrze śmierci zdołali udowodnić, że zabójstwo też jest pracą, więcej, bo jest poświęceniem, bohaterstwem, czynem religijnym, najwyższą cnotą. Sam Pan Bóg z zajęciem przygląda się perypetjom walki, wrogów też nienawidzi, a nam sprzyja. Idzie na czele każdej kampanji, niesiony bywa, w procesji kościelnej, na hełmach, na sztandarze. Nasza sprawa święta, a świętość wszak własnością Boga. Szkoda tylko, że tak niemrawo pomaga, inaczej jużby nie zostało ani kota ani psa nieprzyjacielskiego... Zupełnie, jak podług Iljady Jowisz przyglądał się z zajęciem zapasom dwóch narodów, z ojcowską troskliwością ochraniał swego syna w jego walce z Patroklem, ale nawet jego, boga i ojca moc i troskliwość nie pomogły: syn boski zginął, bo ostrzem miecza Patrokla kierowało przeznaczenie silniejsze i okrutniejsze od bogów i ludzi".

„Ile razy bóg nadzielony został cechami i przymiotami człowieka, tyle razy stawał się jego sobowtórem. Ibis nażarty wężami i adoracyjny krokodyl są bogami i sobowtórami człowieka. Bogowie, jako twory ludzkie, żyją trwogą, wojną, nic ludzkiego nie jest im obce. Najmniej są miłością, najwięcej swadą i zdradą. Na Olimpie i za kulisami rządów i dworów dzieją się skandaliczne rzeczy. Tam też są partje, jak w porządnym Sejmie i też się biją, jak parobki. Wulkan i Apollo, Jupiter i Neptun, patronizują obozom walczącym, djabła życzą adwersarzom".

„Krzyżem świętym znaczone są wszystkie atrybuty wojny. Odważni i mężni odznaczeni są krzyżem, by odróżnić ich od reszty chrześcijan, co nie mają odwagi lub sposobności do zabijania. Płaszcze rycerskie znaczyły się dawniej krzyżami, na sztandarze buja krzyż, na frontonie tyranji wypisany jest cytat z Pisma św. Część sanitarna ma za godło krzyż czerwony, dobroczynna — biały, samoloty — czarny, trujące gazy („fosgen“ i „lost“) — żółty i niebieski, każdy wynaleziony gaz też się oznacza krzyżem innego koloru“.

„Ludu mój, cóżeś uczynił z Bogiem swoim? Twój antropomorfizm zaszedł cokolwiek za daleko. Nadzieliłeś Go swemi furjatycznemi przymiotami i już przestałeś odróżniać Boga od Marsa“.

Oto dobre ujęcie rzeczy: „Nadzieliłeś Go swemi furjatycznymi przymiotami“... Co właśnie można wyrazić tak, jak Jerzy Grosz w swym rysunku, który wywołał gniew mieszczaństwa i burzę w sferach klerykalnych, potem proces, wreszcie — wyrok sprawiedliwy sędziego Siegerta.

MUZYKA. Jedyną prawdziwie wolną dziedziną twórczości ludzkiej była zawsze i jest muzyka. Nigdy nie wtrącał się do niej ani cenzor ani policjant. Również kler nie wytaczał procesów ani nie palił na stosach za utwór muzyczny. Karano za śpiewanie różnych pieśni patrjotycznych i rewolucyjnych, ale to z powodu słów, związanych z melodją. Wszystkie wieki znają prześladowanie ludzi nauki, literatów,

malarzy, nawet rzeźba ma swoje karty męczeńskie: wielki Fidjasz umarł w więzieniu za „bezbożność“, albowiem na tarczy bogini w obrazie bitwy Amazonek siebie samego wyrzeźbił.

Muzyka była i jest wolna. Czy dlatego, że rządy są niemuzykalne i nie dosłyszały w muzyce jakichś rzeczy niemoralnych? Czy może dlatego, że kryterjum moralności muzycznego dźwięku trudne jest do ustalenia? Tak czy owak muzyka ostała się w swej wyjątkowej, całkowitej wolności.

Niektórych to drażni. Prowadzą, naprzykład, walkę z saksofonem, jako instrumentem, który oddaje zbyt intymnie różne nastroje erotyczne. Toby świadczyło o niezłej muzykalności nowych cenzorów (jeszcze nieurzędowych). Lecz nie wiedzą, nie umieją ściśle określić, jakie właściwie dźwięki saksofonu uznać za niemoralne — górne, piskliwe, czy też dolne, tęskne? Czy saksofon jest niemoralny, kiedy się śmieje, czy też, kiedy płacze? Czy nieprzystojność wyraża się w jego dziwnych, podejrzanych westchnieniach, czy też w porykiwaniach „zbyt“ wesołych?

W walce z jazzbandem saksofon jest przedmiotem ataków najbardziej niespokojnych.

Niektóre dzisiejsze melodje taneczne są ładne, chociaż ta dziedzina twórczości muzycznej do najwyższych nie należy. A jazzband bywa zespołem przyjemnym, naturalnie bez wrzasków murzyna, który zresztą już dostaje dymisję i bez nadmiernego hałasu blachy, która działa już dyskretniej. Dla jazzbandu tworzą utalentowani muzycy, co nie jest do-

wodem, że kultura i cywilizacja ginie, że świat się kończy i lada chwila będziemy mieli sąd ostateczny. Jest to pogląd nerwowy. Może z potrzeby strachu i grozy płynący. Bawi nas jeszcze jazzband, potem się nam znudzi, ustępując miejsca jakiejś nowej „okropności". Tak będzie jak z tańcem: kiedy tańczono pawanę i kuranta, menuet wydawał się czemś mocno swawolnem, chociaż tańczono go na dworach królewskich. A kiedy w końcu XVIII stulecia zjawił się walc, miłośnicy menueta zawołali na alarm, walc był uważany przez długie lata za wymysł szatana, był potępiony przez papieża. Dziś walc budzi rzewne wspomnienia młodości t. zw. sielskiej i anielskiej, stawiany jest jako wzór zabawy niewinnej i skromnej. Zmieniamy wciąż nasze upodobania, a świat się nie kończy. Jeśli się kiedy skończy, to zapewne inne będą tego powody. Nie sposób tańczenia, nie rodzaje muzyki.

WOLNOŚĆ NAUKI. Czrezwyczajka znana obecnie pod nazwą G. P. U. wypowiedziała walkę Akademji Nauk w Leningradzie. Instytucja ta jest solą w oku bolszewickiego rządu, ponieważ nie chce być powolnem narzędziem propagandy bolszewickiej, pragnie natomiast pozostać przybytkiem nauki wolnej i niezależnej. Po wielu szykanach i represjach, po uwięzieniu kilkunastu członków Akademji, powzięto decyzję wprowadzenia tam swoich ludzi partyjnych, t. j. kilku teoretyków bolszewizmu, którzy w swych „dziełach" wszystkie zjawiska życia „wytłomaczyli" na korzyść bolszewickiej doktryny. Niektórzy z kandydatów G. P. U. na członków Akademji są wogóle w świecie nauki nieznani.

Nie spełniono rozkazu. Kandydatów odrzucono. Władze bolszewickie zarządziły nowe wybory. Otóż tym razem odbyła się scena, o której wiedzieć należy, a wiedząc — nie zapomnieć, jako o wydarzeniu pięknem, o dokumencie godności i odwagi cywilnej. Na zebraniu wyborczem wystąpił znakomity uczony rosyjski, słynny fizjolog prof. Pawłow i rzekł co następuje:

„Stosunek członków Akademji do wniosków rządu może być różnoraki. Przedewszystkiem może to być stosunek niewolniczy, lokajski — „czego jaśnie pan sobie życzy"... Może być i inny, t. zw. „rozumny", oportunistyczny. Taki stosunek jest wynikiem walki wewnętrznej, pragnienia prawdziwej niezależności z jednej strony, z drugiej zaś — obawy pogorszenia się stosunków z władzą. Pozostaje wreszcie trzeci stosunek—zupełnej niezależności, jedynie możliwy dla człowieka nauki, który w kwestjach naukowych nie liczy się z niczem i z nikim".

Zgromadzenie członków Akademji zajęło ponownie takie właśnie „jedynie możliwe" stanowisko. Ku swojej wielkiej chwale. Ku chwale nauki, która w dążeniu do wolności ma za sobą tyle ofiar. Słowa prof. Pawłowa i zachowanie się Akademji Nauk ratują godność uczonych, osaczonych przez szajkę obłąkanych fanatyków.

WADY NARODU I NIEPODLEGŁOŚĆ. G. K. Chesterton w pełnym jowjalnego humoru, lecz i głębszego sentymentu odczycie o Anglji i Polsce, rzekł, między innemi: „Wells, który jest równie znakomitym pisarzem, jak ignorantem w wielu dziedzinach, powiedział, że Polska popełniła wielkie błędy i za nie słusznie straciła wolność i została podzielona. Przypuśćmy jednak, że p. Wellsa za jego błędy podzielonoby na trzy części, jeden kawałek dano Bernardowi Shaw, drugi Rudyardowi Kiplingowi, trzeci Galsworthy'emu. Czy nawet za wielkie błędy nie byłaby to kara za duża? Podziały za błędy to tak, jakby kogoś zamordowano koło jego domu, a potem wymawiano się, że człowiek ten cierpiał na ciężki katar".

Pogląd, że Polska „zasłużyła" na rozbiór, szerzony był przez moralność zbrodniarza i łupieżcy, który przypisywał sobie rolę sprawiedliwego sędziego. Był to oszukańczy wybieg cynizmu, strojącego się w szaty sumienia. Stąd, naprzykład, legenda, że Marja Teresa ze łzami w oczach podpisywała trzeci rozbiór Polski.

Nie było w Polsce ani jednej takiej wady, którąby w Rosji, Niemczech i Austrji nie była znana i to w rozmiarach znacznie większych. U tych „sędziów", którzy „musieli" Polskę rozszarpać, panowała w różnych epokach anarchja na największą skalę, odbywały się wielowiekowe bezeceństwa, szalał egoizm klas rządzących, działy się orgje bezprawia. Polską zawładnęła spółka złodziejska niczem wówczas nieskrępowanem prawem silniejszego. Najeźdzca miał

jednak dość sposobów, by upowszechnić pogląd, sankcjonujący tę dziejową zbrodnię argumentem, że Polska „nie zasługuje na wolność".

Lecz i to przypomnieć należy, że w samej Polsce istniał kierunek t. zw. szkoły krakowskiej, który pośrednio umacniał owo usprawiedliwianie rozbiorów. Szujski, Kalina, Bobrzyński, dobrzy patrjoci, w pismach swych mimowoli przyczyniali się do utrwalania fałszywego sądu o naszej niezdolności do samodzielnego życia państwowego, bowiem silniejszy nacisk kładli na niewątpliwe zresztą i wielkie błędy oraz wewnętrzne niedomagania Polski, niż na powód decydujący: zaborczy apetyt silniejszego sąsiada i sankcję jego zamiarów ze strony wszystkich państw europejskich. Tezie „szkoły krakowskiej" upatrującej przyczyny upadku Polski wyłącznie w wadach naszych przeciwstawili się historycy Smoleński i Korzon, a zpośród dziś piszących tezę tę obalają Askenazy, Balzer, Kutrzeba i inni.

Dziś wiemy aż nadto dobrze, że wskrzeszenie państwa polskiego umożliwiła wojna wszechświatowa, nie zaś legitymacja naszych zalet.

Gdyby prawo do niepodległości przyznać tylko narodom, wśród których panuje stały ład i cnota, żaden naród nie zasługiwałby na wolność.

WBREW TEJ ZASADZIE. Idea dobra państwa jest w ideologji faszystowskiej owiana mistycyzmem: w oderwaniu od pojęcia dobra obywateli, to państwo

tworzących, stanowi fikcję, która może być przez swe sugestje pożyteczna w pewnych okolicznościach, zwłaszcza jako krańcowe przeciwstawienie się anarchji indywidualistycznej, lecz jako filozofja społeczna, jako nauka moralna o państwie jest conajmniej ryzykowna. Posiłkował się nią zawsze despotyzm, który w imię „interesu państwa" nie szukał dobra obywateli, lecz najlepszych sposobów ich ujarzmienia. Jest rzeczą zrozumiałą, że — jak to głosi „Carta del Lavoro" — „naród włoski posiada cele, życie i środki działania wyższe od jednostek i grup go składających". To samo da się powiedzieć o każdym narodzie. Niezbędne jednak podporządkowanie się interesowi zbiorowości nie wymaga obywatelskiej abnegacji, unicestwienia dążeń poszczególnych grup społecznych.

Prof. dr. Antoni Peretiatkowicz w broszurze p. t. „Państwo faszystowskie. Bilans rządów pięcioletnich" pisze: „Żaden naród kulturalny z utratą wolności indywidualnej się nie pogodzi. Wolność bez porządku prowadzi do anarchji. Ale porządek bez wolności prowadzi do despotyzmu. Normalny ustrój powinien obydwa te czynniki z sobą łączyć".

Jak dotychczas, sądzić można, że faszyzm kłóci się z tą wskazówką.

ŚWIAT FANATYCZNY

NOWY ZAKON. W sztuce Leonidasa Andrejewa p. t. „Sawwa“, napisanej zgórą dwadzieścia lat temu, występuje anarchista, któremu ktoś zadaje pytanie: „Co uczynisz, jeśli przekonasz się, że człowiek nie chce przyjąć twoich idei?“ Na to anarchista: „W takim razie nie potrzeba człowieka!“ („Tak i człowieka nie nada!“) Zgładzić go z powierzchni ziemi!“ W odpowiedzi tej dobrze określa się fanatyzm działający terrorem.

Przekonanie o tem, że ta a nie inna droga postępowania jest jedyną, prowadzącą do zbawienia narodu czy świata, niezachwiana wiara w absolutną słuszność takiej a takiej idei, systemat pojęć politycznych, tworzący pewnego rodzaju religję, stanowiły zawsze podstawę psychiczną krwawych rozpraw w walce społecznej, cóż dopiero podczas rewolucji. Dogmatyzm myśli społeczno-politycznej ocieka krwią swych niezliczonych ofiar.

A oto słowa Trockiego wypowiedziane na VII zjeździe sowietów: „Z zainteresowaniem odnosimy się do japońskiej kasty Samurajów, którzy w imię kolektywnej narodowej całości nie zatrzymali się nawet przed śmiercią. Powinienem powiedzieć, że w osobach naszych komisarzy i przodujących bojowników, posiedliśmy nowy komunistyczny zakon“...

Po rewolucji bolszewickiej konfiskowano z bibljotek i domów prywatnych książki autorów, których różne ciemne mózgi uznały za pisarzy „burżuazyjnych". Tu wyklęto Szekspira, tam Nietzschego, ówdzie Moliera, jeszcze gdzieindziej — Goethego. Rozmaite lokalne kacyki wyrobiły sobie własny pogląd nietylko na literaturę, ale i na naukę „burżuazyjną". W jakiejś miejscowości skonfiskowały „Krytykę czystego rozumu" Kanta. To też „burżuazyjny" filozof...

Trzeba jednak przyznać, że w konfiskacie dzieł takich, jak „Krytyka czystego rozumu" jest pewna konsekwencja. Tam, gdzie chodzi o zaszczepienie „światopoglądu", który nabyć można za kilka groszy w agitacyjnej broszurze, myśl filozoficzna jest przeszkodą, zaporą, utrudnieniem. Komplikuje sprawę, która polega na tem, żeby mózgowi zagitowanemu wszystko wydawało się proste, pewne, niewątpliwe. Myśl prostaka musi być zrymowana z jego fanatyzmem. Jest to tresura umysłowych koszar. Intelektualne dno. Otępienie, które odsuwa i zabija myśl poszukującą, wolną. Drugi biegun krytycyzmu.

To właśnie o ludziach z tego bieguna powiedział św. Augustyn owe wspaniale mądre słowa: „Timeo unius libri lectorem". „Czytelnik jednej książki" — ten, który kupił mądrość za kilka groszy, ten, który „wie" napewno, niezawodnie, doskonale — oto jedna z plag rodzaju ludzkiego, potworność umysłowa, tak niekiedy silna, tak nawet potężna w swej egzekutywie.

Konfiskujący Szekspira czy Moliera rozumuje

tak: w ich dramatach i komedjach występują również „burżuje", a niektórzy z nich są dobrzy i szlachetni. Czytelnik może tedy pomyśleć, że „burżuj" niezawsze jest łotrem i niezawsze wrogiem ludu. A to już jest w „myśli proletarjackiej" pewne załamanie, to już osłabia „świadomość klasową". Tłum w „Julju-szu Cezarze" nie jest odmalowany z sympatją. Bierna to masa w rękach mówców: kiedy przemawia Brutus, tłum chwali morderców Cezara, a kiedy mówi Marek Antonjusz, ten sam tłum potępia Brutusa i jego przyjaciół, chce ich rozszarpać, a domy ich spalić. Jeszcze przed chwilą plebs wołał: „Niech żyje Brutus! Dajcie posąg Brutusowi!" Po mowie zaś Antonjusza już nienawidzi Brutusa i krzyczy: „Zdrajca!" A więc — jest to sztuka „antyproletarjacka", bo mówi, że tłum niema własnej woli, lecz poruszany jest przez wolę mówców. Nie czytać takiej sztuki! Konfiskować...

Tępienia myśli wolnej, niefanatycznej, nieskrępowanej dogmatem i doktryną, nienakazanej, nieoficjalnej, nie wymyślili bolszewicy. Nie są bynajmniej wynalazcami tej metody walki z najpierwszem prawem i najpierwszą chwałą genjuszu ludzkiego: z poszukiwaniem prawdy. To są tylko naśladowcy.

Kiedy na stosie palono Giordana Bruna, ta sama była psychologja strachu przed myślą, która idzie dalej, niż pozwala dogmat. Kiedy na placach publicznych Paryża i Genewy palono „Emila" Rousseau — tak samo myślano o ratowaniu obowiązującego credo. W tej intencji tworzył się długi spis dzieł literackich i naukowych, umieszczonych na indeksie.

Tamto nazywało się gorliwością ortoksyjną panującej religji, a to nazywa się bolszewizmem. Istota rzeczy ta sama. Bardzo przepraszam, ale ta sama. Fanatyzm religijny to najbliższy krewny fanatyzmu antyreligijnego. Inkwizycja nie różni się w swej istocie od czrezwyczajki. Torkwemada jest bratem duchowym Dzierżyńskiego. Pod każdym względem — ambo meliores. Pod żadnym — nie jest jeden wznioślejszy od drugiego. Obadwaj chorzy. Obadwaj — okrutni. I obadwaj — najwięksi wrogowie myśli ludzkiej, która — albo żyje w wolności, albo niema jej, kostnieje, zamienia się w dogmat.

Przekonani, że są posiadaczami prawdy, jedynie zbawiennej, popełniają zbrodnie masowe — dla dobra świata, tamten — z krzyżem w ręku, ten — z rewolwerem. Tamten — z modlitwą na ustach, ten — z hasłami doktryny społecznej.

Duchowi potomkowie tego pierwszego stracili już krwawą egzekutywę, dzięki czemu świat cywilizowany odetchnął, dzięki czemu rośnie, potężnieje światło nauki, piękno wiedzy.

Bolszewicy uciekli się do starodawnego środka: niszczyć książkę, która mówi co innego, niż oni, niszczyć ludzi, którzy myślą inaczej. Przejęli więc tradycję innego świata, tego właśnie, któremu wypowiedzieli wojnę. Jest to jeden z najbardziej szalonych paradoksów w dziejach rodzaju ludzkiego.

NIESPALONY MOST. Znakomity pisarz, anarchista rosyjski Hercen, wołał, w roku 1848-ym:

„Przy przejściu ze starego świata do nowego nie należy brać ze sobą niczego!“ Trudna do wykonania wskazówka. Można podrzeć wszystkie stare prawa i kodeksy, zamordować tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi, sto twierdz wysadzić w powietrze, zniszczyć wszystkie dawne świątynie i powalić wszystkie dawne bogi, ale ten most, który łączy naturę pokoleń, nie da się spalić w rewolucyjnym pożarze.

Tytuł dzieła prof. Jana Kucharzewskiego „Od białego caratu do czerwonego“ mówi o nauce, jaka płynie z tych pełnych treści tomów: w państwie carów zmieniło się dużo; co było potężne, leży w gruzach, huragan wojny i nawałnice rewolucji rozwaliły gmach dawny od szczytów do fundamentów, państwem rządzą odwieczni więźniowie, wszystkie prawa odmienione, ustrój socjalny do dawnego niepodobny, pomiędzy epoką minioną, a obrazem teraźniejszości — kontrast, jakiego nie znają dzieje, lecz... nie wszystkie przecież mosty spalone.

Od białego caratu do czerwonego... Niema tronu carów, ale duch caratu żyje. Żyje w swojem dziele. Bolszewizm rodził się długo. Narodziny przyspieszyła wojna ostatnia, lecz płód żył i rozwijał się oddawna, a w duchu swoim nie odbiegł, nie mógł odbiec od wszystkich cech swego rodzica.

„Umarli nami rządzą“... pisał August Comte. Kto rządzi systemem terroru dziś stosowanego w sowietach, jeśli nie duch caratu? Ten duch woła: do więzienia, na śmierć, na Syberję, do gubernji „oddalonych“! I odnosi swoje za grobem zwycięstwo.

Zaiste nieubłagane jest prawo tradycji, zakorzenionej w umysłach. Krwią zalali szóstą część lądu ziemskiego, miljonami ofiar wypełnili granicę pomiędzy dniem wczorajszym a dniem nowym, nie potrafili wszakże zerwać pewnych więzi psychicznych z przeszłością. „Dodumałsja do nahajki“ — powiada stare przysłowie rosyjskie o reformatorach, którzy wkońcu zawsze uciekają się do bata. Wysyłanie w głąb Rosji, na Syberję, do miejsc oddalonych o setki kilometrów od kolei — czyż to nie jest zemsta pokonanego caratu?

Przytem zważyć trzeba, że wyroki takie stosowane są nietylko za konkretne czyny, wymierzone przeciw ustrojowi państwa, lecz i za inny sposób myślenia, za nielegalne poglądy.

Kodeks karny sowiecki przewiduje to przestępstwo w artykule 5-ym, który głosi, że karze podlegają wszelkie działania niebezpieczne, przyczem „niebezpieczeństwo“ to przejawia się nietylko w popełnianiu czynów dla państwa szkodliwych. Może nie być „czynu“, wystarczy zarzut, podejrzenie, że dany osobnik jest lub może być „niebezpieczny“. Kodeks sowiecki daje sądom największą swobodę kwalifikowania tego rodzaju cech przestępstwa. Artykuł 9-ty ustala, że sprawiedliwość wymierzać należy „według socjalistycznego sumienia“. „Sumienie socjalistyczne“, jako kryterjum prawne, pozwala wysyłać ludzi na Sybir, ludzi inaczej myślących, niż rozkazuje myśleć rząd.

„Kodeks karny republik sowieckich“ ukazał się

niedawno w przekładzie polskim. W słowie wstępnem pisze prof. Juljusz Makarewicz: „Mamy tu do czynienia z kodeksem karnym o charakterze politycznym, rewolucyjnym. Uwaga ustawodawcy skierowana jest na tępienie ludzi o przeciwnym, niż panujący, poglądzie społecznym i prawnym. W postanowieniach tych schodzą się dwa światopoglądy: rewolucyjno-wojenny (postępowanie sumaryczne na podstawie podejrzenia choćby niezbyt ugruntowanego) i starorosyjski, który odpowiada pierwotnym stadjom ludzkiej cywilizacji. Wszak gminy chłopskie w Rosji miały prawo (uznane w roku 1900), osoby nie będące przestępcami, ale mające złą reputację, „niebezpieczne“, oddawać do administracyjnego zesłania na Sybir. Wszystko to przypomina między innemi prawo Malgaszów na Madagaskarze, którzy karzą osoby podejrzane „o złe usposobienie w stosunku do rządu“, przypomina także inne systemy prawne tego samego stopnia kultury“.

„Światopogląd starorosyjski“ — tak określa prof. Makarewicz istotę kodeksu, który zrodził się pod hasłem bezwzględnego, całkowitego zerwania z przeszłością... Rozbrat absolutny z epoką minioną miał być usprawiedliwieniem wszystkich zbrodni rewolucji. Ten to starorosyjski światopogląd kazał dawniej więzić, zabijać, wysyłać na Sybir wrogów cara, dziś zaś — ludzi, którzy dają inny, niż oficjalnie obowiązujący komentarz do ewangelji Marxa i Lenina.

MUZEUM

ŻYWE MUZEUM. Nie trzeba chodzić do muzeum i grzebać się w archeologji, żeby zbadać, jakie były wyobrażenia, jaka psychika ludzi dawnych. Oni chodzą dziś po świecie, reprezentując swoją myślą wszystkie epoki minione.

W każdem stuleciu można badać ducha stuleci dawnych, który żyje wśród ludzi fizycznie dzisiejszych, a duchowo — upiorów przeszłości.

UPIORY. Pewien adwokat ateński zwrócił się niedawno do najwyższego trybunału greckiego o ponowne rozpatrzenie sprawy Sokratesa, skazanego na śmierć przez Helijarję, sąd przysięgłych, z pięciuset losem wybranych sędziów złożony. Jak wówczas, w środku miasta, na Keramejku, pod przewodnictwem Archona Króla odbyła się jedna z rzeczy najbardziej haniebnych w historji ludzkości, tak niechaj teraz, w stuleciu XX-tym, odbędzie się godna wielkiej epoki rehabilitacja Sokratesa, a przez to samo niech będzie potępiony sprawca jego śmierci, zły poeta i najgorszy człowiek, Meletos, który wniósł skargę oszczerczą: „Zbrodnię popełnił Sokrates, bogów, których państwo uznaje, nie uznając, inne zaś nowe duchy wprowadzając. Zbrodnię tę popełnia, psując młodzież".

Adwokat ateński nie uzyskał zgody na proces rehabilitacyjny. Prezes sądu odpowiedział mu, że Sokratesa zrehabilitowała już historja, tedy pamięć wielkiego filozofa nie potrzebuje obrony państwowego sądu.

Gdyby pamięć ludzi wielkich, przez ciemnotę, fanatyzm czy zawiść traconych, miały bronić sądy państwowe po upływie stuleci, dużoby takich procesów odbyć się musiało. Odpowiedź prezesa sądu ateńskiego jest mądra: historja już zrobiła swoje, zwolniła sąd państwowy od takiego zajęcia.

Dlatego naprzykład, na wielkim zjeździe uczonych, odbytym w lutym 1927 roku w Hadze ku uczczeniu 250-tej rocznicy śmierci Spinozy, na którego gmina amsterdamska rzuciła klątwę, nikt nie proponował, by wyrok żydowski poddano rewizji. Historja potwierdziła słowa Lucasa, współczesnego Spinozie: „Miał to szczęście, że umarł, pozostawiając mędrcom i uczonym żal, że zostali pozbawieni światła, które było im niemniej potrzebne, niż światło słoneczne. Spinoza żyć będzie w pamięci prawdziwych uczonych i w ich pismach, które stanowią świątynię nieśmiertelności". Cóż tedy pozostało w dziejach z okrzyków tłumu żydowskiego, który w synagodze amsterdamskiej, przy dźwiękach rogu i w blasku czarnych, zapalonych świec bezcześcił imię Barucha Spinozy? Jak rehabilitacji Sokratesowi, tak i Spinozie nie potrzeba sądu, któryby klątwę amsterdamską odwoływał.

A jednak odbył się sąd nad Spinozą. Nie sąd pań-

stwowy wprawdzie, ale sąd w podobnem do amsterdamskiego środowisku, w Warszawie, w maju roku 1927-go.

W warszawskiej gminie starozakonnych jakiś śmiałek zgłosił wniosek o uczczeniu pamięci Spinozy z okazji 250-tej rocznicy śmierci wielkiego myśliciela. Gdy na posiedzeniu zarządu gminy zgłoszono ten wniosek, przedstawiciel ortodoksów krzyknął i trzęsąc się z oburzenia, uciekł z sali obrad... Po dwustu blisko latach rozległ się ten sam, co w Amsterdamie, okrzyk fanatyzmu. Wniosek o uczczenie pamięci Spinozy odrzucono. Autorytet sędziów amsterdamskich z drugiej połowy XVII stulecia — utrzymany.

DALSZY CIĄG. Organ Chrześcijańskiej Demokracji „Głos Narodu" prowadził spór z organem konserwatystów warszawskich „Dniem Polskim" o pochodzenie władzy. „Dzień Polski" oświadcza, że „Kościół bezwzględnie odrzuca twierdzenie, jakoby władza pochodziła od ludu", natomiast „Głos Narodu", powołując się na komentarze św. Jana Chryzostoma do słów św. Pawła, na stanowisko zajęte w tej sprawie przez św. Tomasza z Akwinu oraz na słowa kardynała du Peron, jezuity Suareza i papieża Leona XIII, twierdzi stanowczo, że „władza polityczna pochodzi pośrednio od Boga, bezpośrednio od ludu" i że „jest to zresztą prawda stale nauczana przez Kościół".

Na ten temat toczyły się ożywione spory w pierw-

szej połowie XVII stulecia, kiedy to dzieło Suareza „Defenso fidei" zostało spalone na placu publicznym w Paryżu. Suarez dowodził, że władza świecka nie pochodzi bezpośrednio od Boga.

Spór, jak widać, nie jest jeszcze zakończony i wobec tego niewiadomo, jak pisać konstytucję.

LEPIEJ WIERZYĆ... Opat cysterski w Wąchocku, niejaki Mikołaj Biesiga, srodze ucierpiał za to, że nie wierzył w moce straszliwe, a może nawet w samo istnienie szatana. Był to przytem rozpustnik, wyuzdaniec i pijak, z szaty tylko mnich, z obyczajów zaś świecki cudzołożnik.

Szlachcicem był i przeto ze szlachtą tylko się zabawiał. Na dzień św. Jakóba roku 1641-go sprosił wielu swych przyjaciół i przyjaciółek do klasztoru na ucztę. Otoczony miłosnemi ramionami niewiast, zapomniał o Bogu i o tem, że wybrał miejsce nieodpowiednie dla tak zdrożnych zabaw. Nagle wśród wesoło biesiadujących, zjawia się okrutny szatan, wprost do opata swe kroki kieruje i piekielnym głosem huczy: „Przeklęty, tobie mówię wstań i pójdź za mną, towarzyszem swym w ciemnościach wiecznych!" A gdy opat i wszyscy obecni oniemieli z przestrachu, porwał go za kołnierz i, wyciągnąwszy przemocą z klasztoru, wzniósł się z nim w obłoki. Oprzytomniawszy, opat wołał w przerażeniu: „Na pomoc, na pomoc, bracia i przyjaciele moi! Oto ginę!" Przyjaciele jednak i ulubienice nierządne z boleścią jeno

za nim spoglądali i widzieli, jak przyszedł wielki płomień, w którym się szatan wraz z opatem zapadli.

Tak to wydarzenie opisali kronikarze ówcześni — ku nauce i przestrodze, żeby ludzie nie wątpili o istnieniu szatana.

Opat cysterski z własną krzywdą uwierzył zapóźno, a przecież nietylko lud ciemny, lecz i sądy ówczesne, świeckie i duchowne, działania szatana widzieli najwyraźniej, naprzykład w lunatyzmie, w epilepsji, w opętaniach rozmaitych, w klęskach żywiołowych, zresztą dowód mieli w zeznaniach czarownic, kiedy się im ołów gorący wlewało do gardła, kiedy się je siarką przypiekało, albo stosowało metodę pławienia, nie mówiąc już o wielu innych, bardziej jeszcze pomysłowych sposobach wydobywania całej prawdy. Nieraz też widziano, jak szatan z człowieka ucieka pod wpływem formuł egzorcytacyjnych, które opętaną ofiarę wyzwalały z mocy piekielnej, często dotkliwe cierpienia zadającej.

Dużo pisano w owych czasach, jak się ustrzec szatana, który czasem przybiera postać miłą i szlachetną, by tem łatwiej skusić męża cnotliwego, niewiastę niewinną, albo nawet osobę świątobliwą. Opat cysterski nie wierzył i tą niewiarą ciężki sobie los zgotował.

A i dziś, choć różni ludzie mówią, że to bajka, nie wierzyć w szatana nie jest tak bezpiecznie, jakby się to mogło wydawać ludziom XX wieku.

Izba karna Sądu Okręgowego w Bydgoszczy sądziła sprawę przeciwko Maksymiljanowi Zawadzkiemu, księdzu Kościoła Narodowego i skazała go na

karę więzienia przez dwa miesiące i dni dwadzieścia z prawem zamiany na grzywnę w kwocie tysiąca dwustu złotych. Działo się w roku 1927-ym. W uzasadnieniu wyroku, wśród dowodów winy, przytoczono i ten:

„Zaprzeczył istnieniu szatana".

MARTWE LITERY. Od 1-go stycznia 1929 roku obowiązuje poprawiony rytuał katolicki, który w Polsce działał od roku 1631-go (Spisany był w księdze liturgicznej p. n. „Rituale Sacramentorum et aliarum caeremoniarum ex decreto Synodi Petricovien"). Jedna z poprawek, która za zgodą Papieża weszła teraz w życie, usuwa różnicę w formułach przysięgi, wypowiadanej przez oblubieńców. Obecnie już będą mówili to samo, z przysięgi oblubienicy usunięto wyraz „posłuszeństwo".

Trzysta bez mała lat powtarzały kobiety to słowo o posłuszeństwie, jakie żona miała być winna mężowi oprócz miłości i wierności. Nie znaczy to, żeby aż po dzień 1-go stycznia 1929 roku przysięga w dawnem brzmieniu miała w życiu decydujące znaczenie. Miłość i wierność stanowiła naogół dostatecznie silny węzeł. Stosunek dwojga dorosłych ludzi obywał się bez dodatku posłuszeństwa żony, o którem martwa litera nakazywała mówić podczas ceremonji ślubu.

Ponieważ życie ma to do siebie, że nie umiera, tedy walka pomiędzy życiem a formułą, kończy się zawsze śmiercią formuły. Prędzej czy później. Czasem bardzo późno. W dziejach formuły najdłuższym jej rozdziałem jest jej rozdział ostatni, ten, kiedy formuła staje się przeżytkiem. Oficjalny pogrzeb przeżytku odbywa się po wielu, wielu latach od naturalnego zgonu, albowiem przywiązanie do martwej litery niechętnie godzi się z jej śmiercią. Woła nieraz długo, całemi latami, że ta śmierć nie nastąpiła. Spór: czy coś żyje, czy umarło? — wypełnia dużo miejsca w moralnem i duchowem życiu ludzkości. A nieraz ci, którzy stali przy trumnie i wołali, że nic nie umarło, ciężki gotowali los śmiałkom, którzy odważyli się powiedzieć, że w trumnie widzą zwłoki.

Szczerość, prawdomówność, godność intelektualna nie mogą żyć w przyjaźni z martwemi literami, które nasycają potrzebę obłudy. To dwie strony okopów: po jednej ustawiły się martwe litery, po drugiej — rozum. W moralnym alfabecie ilość martwych liter jest tem większa, im słabiej w społeczeństwie działa miłość prawdy. Społeczeństwa zakłamane mają dla martwych liter szczególnie wielki szacunek. Cicha umowa każe o martwych literach nie mówić. Udawać, że są żywe, chociaż wszystkim wiadomo, że są martwe.

Postęp, między innemi, polega i na tem, że ludziom nie chce się za dużo udawać.

NOWY KŁOPOT. Rozpęd cywilizacji technicznej wyraża się nadewszystko w przyspieszonem tempie życia, a najsilniej — w ruchu komunikacyjnym. Zrodziło się nowe zadanie: regulacji tego ruchu, który

na ulicach miast, nawet na drogach wiejskich grozi bezpieczeństwu obywateli. Przechodnie muszą trzymać się przepisów. Bo niebezpieczeństwo jest duże: Stany Zjednoczone Ameryki Półn. w ciągu ostatnich dziesięciu lat straciły więcej ludzi wskutek wypadków samochodowych, niż przez udział w wojnie wszechświatowej.

Ludzie zaczynają się przyzwyczajać do wymagań dzisiejszego ruchu. Konie również. Dawniej płoszyły się przy spotkaniu auta, dzisiaj już maszyna jest im obojętna. Jeszcze się niektóre, po wsiach żyjące, boczą, kiedy im się każe w pojazdach jednokonnych iść po prawej stronie dyszla, ale i do tego się powoli przyzwyczają.

„Wola Ludu" zamieściła pod symbolicznym tytułem „Rząd wciąż na prawo" treść interpelacji Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast" do p. ministra spraw wewnętrznych. Dokument ten brzmi w streszczeniu:

„Na podstawie rozporządzenia województwa w Krakowie wydały podległe mu starostwa zarządzenie, ogłoszone w dziennikach urzędowych powiatowych, aby właściciele pojazdów konnych o zaprzęgu jednokonnym zaprzęgali konia po prawej stronie dyszla, a nie po lewej, jak to od wiek wieków było praktykowane. Zarządzenie powyższe jest niewłaściwe, albowiem mimo najlepszych chęci ludności stosowania się do zarządzeń władz, próby zaprzęgania koni przy jednokonnych pojazdach po prawej stronie dyszla wbrew praktykowanemu od dawien

dawna sposobowi zaprzęgu z lewej strony, wydały jaknajgorsze rezultaty. Konie przyzwyczajone przy pojedyńczym zaprzęgu do zaprzęgu z lewej strony, wzbraniają się ciągnąć nawet próżne wozy, rzucają się, kierowanie nimi jest wprost niemożliwe i reforma ta zamiast odpowiadać intencjom polepszenia stanu bezpieczeństwa na drogach, wywołuje odwrotny skutek, narażając tak jadących takim zaprzęgiem, jak i otoczenie na różne niepożądane wypadki".

Nowy konflikt parlamentu z władzą wykonawczą. Nowy kłopot polityczny: konserwatyzm koni, broniony przez opozycyjne stronnictwo ludowe. Dwa razy powtórzono w interpelacji ten argument: od wiek wieków, od dawien dawna... Cóż robić? Takie już czasy, że różne rzeczy zmieniają się na świecie i nic na to nie poradzi sprzeciw ludzi i koni. Niechże stronnictwo ludowe nie popiera wstecznictwa końskiego. Przecież widać to we wszystkich sprawach, że różne żywioły przeciwstawiają się zrazu nowym rzeczom i porządkom, protestują, boczą się, brykają, lecz po czasie niejakim godzą się z wymaganiami dzisiejszego życia. Więc i żywioł koński nie będzie głupszy od ludzkiego.

PLAGA RODZAJU LUDZKIEGO. Istnieje wśród żywiołów ludzkich żywioł po wszystkie czasy jednakowo wstrętny: fanatyczne baby. One to piszczały z radości na galerjach cyrku rzymskiego, kiedy palono pierwszych chrześcijan, one w wiekach średnich pastwiły się nad heretykami i „czarownicami",

one wykłuwały oczy arystokratom francuskim podczas wielkiej rewolucji, one też w tłumach podnieconych rewoltą szerzą epidemję sadyzmu i zbiorowej histerji.

Niesamowite, odrażające, wściekłe. Gdziekolwiek zrodzi się niepokój publiczny, zjawiają się natychmiast dla zohydzenia każdej rzeczy, każdego ruchu, każdej walki. Wyłażą z nor i zaułków ciemnoty, skrzykują się i pędzą nieprzytomne w tłum, a idą zawsze ławą, wyją chórem, czynią ohydę wszelką solidarnie. Dostarcza je przeważnie magiel, szynk, mały sklepik i inne drobnomieszczańskie lokale. To kumoszki i „paniusie", w chwilach spokojnych tylko nieprzyjemne i śmieszne, lecz zawsze gotowe do ataku furji.

NIE POMOGŁO. Jeden z dzienników warszawskich ubolewa, że nic się nie robi w sprawie umoralnienia stolicy i nawołuje władzę, żeby ze śródmieścia usunęła prostytutki. Jako przykład, stawia Rzym, gdzie w ostatnim roku „pryncypalna arterja ruchu dziwnie się oczyściła", bowiem „przepisy policyjne przestrzegane naprawdę, wymiotły Rzym ze śmieci i szumowin, przynajmniej zewnętrznie" I wniosek: „Zanim uda się oczyścić radykalnie Warszawę, moglibyśmy narazie przeprowadzić to przynajmniej, aby śródmieście nie przypominało jaskini rozpusty i obozu opryszków".

Radość, że Rzym oczyścił się „przynajmniej zewnętrznie" nie zdradza moralności najwyższego gatunku. Tak samo troska o to, żeby prostytutki mieszkały w uboższych dzielnicach miasta i tam tylko uprawiały swój zawód.

Przy okazji przykład z historji Rzymu. Papież Pius V zwołał specjalną komisję do walki z nierządem. Komisja postanowiła, żeby wszystkie kurtyzany zamieszkały w osobnej dzielnicy. W sprawie tej zwołano nadzwyczajne posiedzenie rady miejskiej (dn. 20 maja 1566 r.) Powstały trudności, bo kupcy śródmieścia poczuli się zagrożeni w swych interesach. Sprawa trwała szereg miesięcy, aż wreszcie zgłosili się do rady miejskiej delegaci dzielnicy Campo Marzo z prośbą, by do tej dzielnicy przesiedlić kurtyzany. Prośba ich została spełniona. Papież Pius V zabronił kurtyzanom opuszczać tę część Rzymu. Otoczono ją nawet murem z dwiema bramami, które na noc zamykano. Młodzież rzymska chodziła tam na całą noc.

Kronikarze Rzymu nie zaznaczają, żeby dzięki tym zarządzeniom podniosła się moralność stolicy Italji.

MASKARADA

PÓŁ MYŚLI. Myśl niedokończona, zatrzymana w połowie drogi, powiedzmy — pół myśli — tak możnaby nazwać różne ujęcia spraw społecznych, ślizgające się po powierzchni zagadnień, nie wnikające w sens rzeczy, albo wręcz odwracające się od prawdy. Pod znakiem pół myśli działają wszystkie społeczne komunały, wszystkie kłamstwa konwencjonalne.

Często roztrząsa się w prasie kwestję naturalnego przyrostu ludności. Teza: przyszłość narodu wymaga licznego potomstwa. Wniosek: patrjotyzm nakazuje rodzicom, by przyczyniali się do tego przyrostu. Niedobrze więc postępują ci, co nie płodzą dzieci, albo ograniczają się do jednego dziecka czy do dwojga. Mamy tu tezę, wniosek i wskazówkę moralną.

Myśl, niezatrzymana w połowie drogi, zapyta: w jakich warunkach wychowywać się powinno owo potomstwo „nieredukowane“? Myśl odpowiedzialna posunie się jeszcze dalej: czy wolno płodzić dzieci, nie zapewniając im normalnych warunków moralnego i fizycznego rozwoju?

Jeszcze się nie śniło o maltuzjanizmie ani o neomaltuzjanizmie, kiedy pisarz polski, Szymon Marizius z Pilzna w rozprawie, która ukazała się w roku 1551 („O szkołach czyli akademjach ksiąg dwoje“)

pisał: „Któż bowiem jest tak tępego umysłu, żeby nie wiedział, iż płodzenie dzieci odnawia siły Rzeczypospolitej wtedy tylko, jeżeli się z niem łączy działanie wychowania i nauki".

Zagadnienie naturalnego przyrostu ludności dobrze oświetla znana ekonomistka p. Zofja Daszyńska-Golińska w książce p. t. „Zagadnienia polityki populacyjnej".

* * *

Nakazane przez ustawę żłobki dla niemowląt przy zakładach fabrycznych, zatrudniających ponad sto robotnic-matek, wciąż wywołują krytykę właścicieli tych zakładów. Wśród ich argumentów pada i ten, że przecież dziecko najlepiej wychowywać w domu, że osoba obca nie otoczy dziecka taką czułością, jak matka. To prawda. Albo „zastrzeżenie": przebywanie niemowląt w żłobkach grozi niebezpieczeństwem zarazy. I to prawda. Ale znowu — pół myśli. W tym wypadku czuła „troska" podyktowana jest przez kieszeń fabrykanta, która nie dopuszcza do mózgu całej prawdy, albo każe jej fałszywie milczeć. Milczeć o tem, jak, mianowicie, dziecko robotnicy spędza dzień w domu, w jakich warunkach. Myśl dokończona, rzetelna, bierze pod uwagę i tę stronę sprawy, a przez to samo woła o reformę, która się fabrykantom nie podoba. Bo dzieci robotnic wychowują się przeważnie w warunkach okropnych i tworzą nietyle „kwiat narodu", ile jego moralną i fizyczną degenerację.

* * *

Żebrak wyciąga rękę. „Uświadomiony" społecznie obywatel odmawia jałmużny: nie można popierać żebraków, niech pracują, albo niech idą do przytułków.

Znowu pół myśli. A bezrobocie? A brak dostatecznej ilości zakładów dla chorych nędzarzy?

Tem się nie zajmuje myśl niedokończona.

* * *

Człowiek, który niedawno opuścił więzienie, dopuścił się kradzieży i wraca za kratę.

Wniosek: nie poprawił się, recydywista. A czy po odzyskaniu wolności znalazł pracę? Czy nie odtrącano go zewsząd, jako byłego więźnia? Czy społeczeństwo umożliwiło mu powrót do uczciwego życia? W to już nie wnika myśl ułamkowa, płytka, fałszywie wnioskująca.

* * *

Niektórzy wołają: usunąć prostytutki ze śródmieścia, bo nam tu psują młodzież.

A czy w tych oddalonych, uboższych dzielnicach miasta niema młodzieży?

* * *

Na co zdobyć się może myśl niedokończona, mieliśmy przykład znakomity, przyczynek wymowny naszej moralności społecznej.

Do jednego z kinematografów warszawskich wchodzi delegatka „Komisji opieki moralnej" i widzi w krzesłach jakąś panienkę, która znalazła się tu

bezprawnie, bo wyświetlany film był dla młodzieży zakazany. Rzeczywiście, niektóre filmy nie są dla młodzieży odpowiednie, niech sobie więc panie delegatki chodzą i pilnują, żeby zakazy były przestrzegane. Podchodzi owa pani do młodej „latorośli" i powiada: niech panienka wyjdzie, bo na ten film młodzieży chodzić niewolno. Panienka wyjść nie chce i protestuje niedelikatnie. Awantura. Żądanie legitymacji. Panienka pokazuje... książeczkę obyczajową prostytutki. Pani delegatka stawia jednak na swojem, panienkę wypraszają. Prostytutka ta jest ...za młoda na oglądanie zakazanego dla młodzieży filmu...

O mądre, pełne dowcipu życie! Ono reżyseruje czasem takie sytuacje, jakich nie wymyśli najznakomitszy satyryk.

LUDZIE-MIGAWKI. W dniach zamętu ukazują się na widowni społecznej różne indywidua, które w czasach normalnych nigdyby nie mogły w życiu politycznem odgrywać jakiejkolwiek roli. Tylko zamęt powołuje „do czynu" pewną kategorję ludzi, podnieca ich ambicję, otwiera im „perspektywy". Oczywiście — na krótko. Bez intelektualnych i moralnych danych na to, żeby się utrzymać na przypadkowej wysokości, na jaką wzniosły ich wypadki, spadają na łeb na szyję, tracą wszelkie wpływy, tak, że potem aż dziw, że kiedyś, że choćby przez chwilę mogli mieć wogóle jakieś znaczenie.

Takich ludzi-migawek, takich znakomitości efemerydycznych było u nas bardzo dużo. Na drogach pro-

wadzących od naszych Kapitolów do naszych skał tarpejskich ruch był wyjątkowo ożywiony. Jeszcze się odbywa, ale już słabiej, normalniej — tak, jak wszędzie. W pierwszych natomiast latach niepodległości, w pierwszych zwłaszcza miesiącach ci ludzie „znakomici", przywódcy tłumów i zbawcy narodu rodzili się, jak grzyby po deszczu, skupiali wokół siebie uwagę społeczeństwa — na tydzień, na miesiąc, na parę miesięcy, a potem — zanosili swoją smutną sławę nad niewesołe brzegi Lety. I ginęli w zapomnieniu, a jeżeli się przypominali, to z powodu jakichś afer niepięknych, lub procesów sądowych.

Moralne ułamki ludzkie przez chwilowe nieporozumienie zabrali się do zadań, jakie spełniać może tylko cały człowiek. Nieporozumienie to istniało dlatego, że mali ludzie znaleźli uznanie u ludzi jeszcze mniejszych. Panowanie efemeryd jest możliwe przez entuzjazm liliputów dla karłów.

MONARCHIŚCI. Europa 1914 roku liczyła zaledwie 3 republiki. Obecnie zaś ma ich 14. W niektórych republikach agitują monarchiści. Chcą króla, ale samo hasło bez bliższych wyjaśnień może być tylko środkiem agitacyjnym wśród tych, którym wystarczy okrzyk bojowy, a których głowy nie są skłonne do myślenia.

Czy monarchiści życzą sobie monarchji antyparlamentarnej, ustroju absolutystycznego?

Jest dużo powodów, dla których monarchje ta-

kie — istnieją już tylko w Sjamie, Abisynji, Afganistanie i w paru państewkach arabskich. Czyli — w innym świecie obyczajowym, społecznym, kulturalnym. I w innym klimacie, co też zapewne ma tu swoje znaczenie.

Różnych jeszcze rzeczy można się u nas spodziewać, trudno jednak przypuścić, żeby w Polsce zapanował sjamski dowcip, afganistański obyczaj i abisyńska ustawa. Żyjemy w Europie. Tu zaś wizja monarchji absolutystycznej zaginęła nawet w snach.

Czy chodzi im o potęgę władzy najwyższej?

Król w monarchjach konstytucyjnych ma często mniejszą władzę, niż prezydent w republice. Uprawnienia króla Wielkiej Brytanji mniejsze są, niż gospodarza Białego Domu w Washingtonie.

A może nasi monarchiści chcą monarchji dziedzicznej?

Wartoby najpierw uzyskać od Opatrzności gwarancję, że syn królewski będzie napewno inteligentny, zdrowy, zdolny do rządzenia. Europa w monarchjach dziedzicznych miała na tronach kilkudziesięciu ludzi chorych umysłowo, w tem pewną ilość ciężkich furjatów. We Francji król Karol II zwykł był w atakach szału mordować ludzi własnego orszaku. W Anglji, Henryk VI, zidjociały furjat, nie rozumiał, co się do niego mówi. W Niemczech — cesarz Rudolf wierzył, iż został przez czary zamieniony w wilka, wył jak wilk i kąsał. W Portugalji Marja I wciąż słyszała chór wyjących djabłów, sama też wyła i ryczała. W hiszpanji królowa Joanna, zwana szaloną,

wsławiła się obłędnym pogrzebem swego męża: trumnę z jego zwłokami woziła przez parę lat po kraju. Car Paweł miewał liczne pomysły obłąkańcze, jak naprzykład, utworzenie pułku gwardyjskiego wyłącznie z oficerów i żołnierzy, którzy mieli zadarte nosy, takie, jak on. W Danji — Chrystjan VII był furjatem, wiecznie przytem pijanym. A wierzono, że ci ludzie panują — „z Bożej łaski".

Byli we wszystkich krajach równie mądrzy i dzielni monarchowie, wszelako ani mądrości ani dzielności prawo dziedziczne nie zapewnia.

USŁUŻNI WROGOWIE. W taktyce wojennej znaną jest metoda zastraszania wroga. Niemcy nazywają tę taktytę „Einschuechterungsaktion". Chodzi o wywołanie wśród wroga opinji, że ma do czynienia z siłą nie do pokonania, chodzi o popłoch i panikę, o wzbudzenie jaknajwiększego strachu, który nieraz skuteczniej pustoszy siły przeciwnika, niż najświetniejsza broń fizyczna. Metoda to znana od najdawniejszych czasów. Tego środka użył już Hannibal, kiedy na szeregi Fabjusza kazał nocą popędzić dwa tysiące wołów z zapalonemi wiązkami smolaków i suchego chrustu przywiązanymi do rogów. „Straszny to był widok dla rzymskiej straży wąwozu — pisze Plutarch. Przejęci więc strachem i popłochem, opuścili stanowisko". Byk sam przez się nie był siłą tak groźną wobec broni Rzymian, lecz obraz był przerażający.

Masonerja, naprzykład, nie potrzebuje ani obmy-

słać, ani stosować metody zastraszania wroga. On sam budzi w sobie strach największy. Sam stwarza i szerzy w społeczeństwie legendy, budzące strach na myśl o masonach. Sam działa rozkładowo na swoje własne zastępy.

W walkach politycznych, a zwłaszcza wojennych dezorjentuje się wroga przez szerzenie kłamstw, które mają zasłonić zamiary i plany rzeczywiste. Któż nie pamięta z czasów wojny owych broszur, ulotek, komunikatów, rozrzucanych wśród wrogów, żeby ich oszukać? Słowo drukowane ma jeszcze, mimo wszystko, pewną powagę, budzi wiarę, sugestjonuje, a dużo jest takich, dla których druk ma wartość dowodu. Oszukiwanie przeciwnika i wroga za pośrednictwem prasy jest jednym ze środków strategicznych, stale stosowanych. Gdyby nawet masonerja chciała się poniżyć przez używanie takiego środka, byłoby to zgoła niepotrzebne. Znowu tę brzydką robotę wzięli na siebie jej wrogowie. Szerzą o niej kłamstwa z talentem wprost nieporównanym, tworzą górę kłamstw i plotek, które wznoszą masonów do rzędu potęg apokaliptycznych, przerażenie budzących.

„DLA LUDU". Istnieje sfera ludzi, którzy sądzą, że wobec ciemnego ludu trzeba postępować zgodnie z jego przesądami. Ludzie oświeceni, wolni od przesądów, poczytują sobie za zasługę, że pielęgnują wierzenia maluczkich.

W wieku XVIII we Włoszech zasłynął wielki lekarz i przyrodnik, Bonafede Vitali. Musiał to być umysł znakomity, skoro sto zgórą lat przed Pasteurem, pisząc traktat o zarazie morowej, bronił tezy o pasorzytniczem pochodzeniu tej choroby. Bonafede Vitali, jako lekarz, znany był w całej Europie. Uniwersytet w Palermo mianował go lektorem chemji i nauk przyrodniczych. Leczył wielu najwybitniejszych ludzi. Lecz jednocześnie na placach publicznych zachwalał jako najlepszy środek na anginę... sznurek karmazynowy, którym została uduszona żmija, a przeciw epilepsji zalecał ludowi... proszek z utłuczonej czaszki ludzkiej.

Takich przyjaciół ludu, jak Bonafede Vitali, mamy dziś bardzo dużo, nawet całe, potężne ich organizacje.

Niekiedy owa filuterna nauka — moralność dla ludu" — przynosi srogi zawód. Kiedy rzesze maluczkich dają znak swojej niewdzięczności za taką naukę, duży jest wówczas niepokój.

SŁOWO PUBLICZNE

MÓWCY KŁAMIĄCY. Legenda głosi, że w starożytnej Grecji była góra Helikonu, na której znajdowało się źródło Hypokremy, a kto się napił z tego źródła, mówił wierszami.

Kto się napije ze źródła demagogji, zaczyna mówić kłamstwami. Widać to na trybunach wiecowych, jaką wprawę nadzwyczajną mają mówcy kłamiący. Popadają w patos kłamstwa. Rzecby można, że kłamią z przekonania. Zdaje się, że apostoły, że serca gorące, że ludzkie idei, a to ci, o których powiedział Wyspiański: „Błaznów macie całe wiece".

SŁOWO PUBLICZNE. Wybory powszechne są wielką zdobyczą demokracji. Wszystkie argumenty wymierzone przeciw zasadzie wyborów powszechnych znamy już na pamięć, a kto się uważa za demokratę, musiał się z tymi argumentami rozprawić raz na zawsze.

Wszelako mamy i tu, właściwą wszystkim sprawom ludzkim, odwrotną stronę medalu. Nieprzyjaciele demokracji lubią powoływać się na wszystko, co w niem wadliwe i niedoskonałe. Tylko niemądre stąd wyprowadzają wnioski. Bo te rzeczy ujemne w demokracji nie obalają jej racji podstawowych. Gdybyśmy z życia zbiorowego chcieli usunąć wszyst-

kie zarządzenia i systemy, dalekie od doskonałości, jużby nam nic nie pozostało innego, jak iść za wskazówką Heraklita, który serdecznie radził obywatelom, żeby się wszyscy powiesili i w ten sposób przestali sobie zawracać głowę.

Ma więc i zasada wyborów powszechnych swoje strony ujemne. Widać je dobrze podczas walki przedwyborczej. Jest to, niestety, okres pohańbienia słowa publicznego. Powiedzmy ściślej: jeszcze większego pohańbienia, niż w okresach spokojniejszych. Co za bezwstyd języka! Jakie natchnienia nikczemności! I jaka orgja bojującej głupoty! Generalny to wyścig brudnych sumień, powszechne zawody partyjnego sportu. Ludzie porządni, którzy nolens volens muszą odwiedzać polityczne targowiska, żeby tam wtrącić swe uczciwe słowo, niemały odczuwają wstręt do tej smutnej konieczności, jaką pociąga za sobą dobra zasada powszechności wyborów.

Był w starożytnych Atenach mąż znakomity i mówca nieporównany, Perykles. „Miał — jak pisze Plutarch — głosu wielkie wdzięki, język obrotny i mówienia łatwość“. Kiedy przemawiał, z ust jego „wypadały grzmoty, język miotał pioruny, słowa, jak błyskawice, światło dawały“. Zręcznie też rozprawiał się z przeciwnikami, zawsze jednając dla siebie słuchaczów. Z tego nawet żartował sobie jego przeciwnik, Tucydydes. Kiedy pewnego razu król spartański, Archidam, zapytał go: „Kto z was mocniejszy w Atenach, ty czy Perykles?“, Tucydydes odrzekł: „Kiedy ja powalę go o ziemię, on zwycięża, utrzymując, że pokonanym nie jest i przekonywując o tem tych, co na nas patrzą“. Ale to tylko żart. Nie dla taniego retorycznego nad przeciwnikiem tryumfu przemawiał Perykles. Bo i to notuje Plutarch, że Perykles z wielką pilnością gotował się do zabrania głosu, a nigdy na mównicę nie wstępował, póki się wprzód do bogów nie pomodlił, o tę łaskę prosząc, aby „słowo wbrew zamiarowi nie wypadło, a wszystko coby powiedział, żeby stosowało się i do rzeczy i do potrzeby“.

Proszę sobie dzisiaj wyobrazić wiecowego gardłacza, któryby się przed zabraniem głosu modlił, błagając niebo o rozsądek, o słowo mądre, ludziom pożyteczne. Raczej djabła prosi, żeby podpowiadał słowa jaknajobrzydliwsze, zwłaszcza w oczernianiu przeciwników.

Jeżeli już o zamierzchłych czasach mowa, godzi się przypomnieć, jak to jeden z braci Grakchów, Gajusz, hamował swoją oratorską popędliwość: „Gdy miał mówić, kazał za sobą stawać umyślnie na to trzymanemu muzykantowi, który wówczas, gdy się Gajusz zbyt w krzyku zaciekał, podawał mu dźwiękiem muzycznym wolniejsze tony i naówczas Gajusz do tego co słyszał, stosując mówienie, błąd popełniony naprawiał“.

Dużo trzebaby poustawiać takich muzykantów za plecami agitatorów wyborczych, żeby nie doprowadzali do takiego pohańbienia słowa publicznego.

MÓWCY. Mamy bardzo mało dobrych mówców. Pierwszym warunkiem dobrej mowy jest do-

kładne uświadomienie sobie, co się chce powiedzieć. Człowiek, który dopiero podczas przemówienia szuka treści i formy następnego zdania, jest bardzo odważny i wielkie ma zaufanie do swego natchnienia, ale męczy i siebie i słuchacza.

Nie każdy mówca musi uczyć się mowy na pamięć. Może, owszem, zawierzyć swojej elokwencji, ale szkielet mowy, plan, treść zasadniczą, lepiej przygotować. Taki był zwyczaj największych nawet mówców. Wspaniały, niedościgniony Jaurès przygotowywał swoje mowy, choć robiły wrażenie olśniewających improwizacji. W czasach starożytnych wielcy mówcy długo pracowali nad mową, zanim stanęli na trybunie. Demostenes pracował nietylko nad dykcją, ale i nad formą.

Podczas przemówienia, przy dobrem usposobieniu, rodzą się niespodziewane, doskonałe zwroty, tak, jak podczas pisania cieszą autora dziwne tajemnice końca stalki. Ale zarówno słowo mówione, jak pisane, trzeba wypielęgnować, zanim się je wypowie, czy napisze. „Słowo — rzekł Anatol France — trzeba tak długo pieścić, aż się uśmiechnie"... I wtedy może być oddane publiczności.

Kultura słowa mówionego jest u nas wielce zaniedbana. Mówimy nieporządnie, niechlujnie. Uważnie słuchając, stwierdza się, że na stu mówiących, dziewięćdziesięciu dziewięciu... nie kończy zdania. Gdzieś ginie ono w chaotycznym bełkocie. Mówca, przedłużając zdanie podrzędne, zapomina o zdaniu głównem i już doń nie wraca. Gdyby stenogramu

nie poprawiano, widzielibyśmy, jakie się w naszych mowach odbywają brewerje.

Ktoś powiedział, że są dwa rodzaje dobrych przemówień: — jeden, to mowa krótka i dobra, drugi — to mowa zła i ...krótka. Ludzie wogóle mówią za dużo, co szczególnie razi w parlamencie. Słowo niepotrzebne jest jednym z najmniej przyjemnych objawów rozrzutności. Ileż to razy w rozmowie zadajemy sobie pytanie: po co ten człowiek tyle mówi? Bo można bardzo dużo mówić, a nic nie powiedzieć.

Miłośnicy słów pustych — jedna to z plag rodzaju ludzkiego, rozpowszechniona epidemicznie — w życiu towarzyskiem, w prasie, literaturze i polityce.

Nie da się niestety wstawić w ordynarji wyborczej warunku, żeby poseł był obywatelem, który ma ludzki głos, mówi składnie i zawsze do rzeczy, zawsze tylko wtedy, kiedy potrzeba. Ale wyborcy winniby i tę kwalifikację brać pod uwagę.

W sejmie padł niezły aforyzm: pan poseł Żuławski powiedział pod adresem komunistów: „Demokracja nie polega na tem, żeby pierwszy lepszy drab gadał, co mu ślina na język przyniesie". Wprawdzie Chamfort albo La Rochefoucauld wyraziłby tę myśl w formie przyjemniejszej, ale na potrzeby naszego ogółu aforyzm posła Żuławskiego można uznać za dobry. Rzeczywiście, demokracja nie na tem polega. Demokracja ma do powiedzenia bardzo dużo i dlatego właśnie trzymać się musi słów potrzebnych, wystrzegać się „wiatrologji", wyprowadzać myśli swoje z mózgu, nie ze śliny.

Reforma parlamentu winna objąć również... sprawę sposobu i poziomu przemawiania.

Z ARYSTOFANESA. Arystofanes wkładał w usta swoich bohaterów słowa tak nieprzyzwoite, że żadnej z jego komedji ani teatr ani kabaret nie mógłby dziś wystawić bez opuszczeń. Nawet zwroty „łagodniejsze" były jeszcze tak mocne, że mogłyby się przydać w polemikach dzisiejszych, najbardziej niegrzecznych.

Przytoczmy z paru komedji Arystofanesa to, co się tam mówi o kłamcy, oszczercy, gębaczu, sykofancie. Takiej osobie Arystofanes dużo poświęca uwagi. Jak dziś, tak i dwadzieścia cztery stulecia temu, typ tego rodzaju zatruwał atmosferę społecznego życia.

W „Rycerzach" mówi Chór Pełny do Kiełbaśnika (przekład Bogusława Butrymowicza):

„O niecna, plugawa gębo, odęta od krzyku!
Jak długi i szeroki świat jest cały,
wszystkie wiece, procesy, celnie, trybunały
bezwstydu twego pełne. Kałużniku,
któryś mir w całem mieście zakłócił wszelaki,
wrzaskiem zagłuszył nam Ateny"...

Słuchając zaś kłótni Kiełbaśnika z Paflagończykiem, taką Chór Pełny wypowiada uwagę:

„Jest więc nad ogień żar gorętszy i słowa niektóre
bezwstydniejsze nad wszystkie w tem mieście sromoty.
Ano, biorą się dranie do roboty".

A po chwili:

„Co to przecie za bezczelnik — i zawsze i wszędzie —
już się czarnej swej natury nigdy nie pozbędzie.
Obyś wszystko tak wyrzygał, jakeś gładko połknął, jucho!"

Są to zwroty należące do „łagodnych", ale i te świadczą dość wyraźnie, że Arystofanes nie oszczędzał tego gatunku pyskacza, który zwłaszcza w życie polityczne sączył truciznę swojej marnej duszy.

Również w „Rycerzach" mówi Drugi Półchór o takim właśnie człowieku:

„Nietylko łotr — to u nas niewarte wzmianki słowo,
nawet arcyłotr dlań mało. On wydumał sprośność nową:
język własny hańbi w uściech".

W „Chmurach" Strepsjades, który przybył do Aten, żeby się u... Sokratesa nauczyć sztuki „prawokręctwa", zachwala synowi wartości „mowy nieprawej", ta bowiem „tryumf zapewnia rzeczy zgoła niegodziwych". Ucieszony, że sam nauczy się najlepiej kłamać, oszukiwać, „z prawem magać koziołki", gotów przejść wszystkie tej nauki trudy i przykrości.

„Może mnie śmiałkiem zwać cały świat,
bezwstydną gębą, czołem łajdaczem,
sprośnikiem szpetnym, kłamstwa knowaczem,
słowa krętaczem i praw mataczem,
pieniaczem, lisem, ślizgim niecnotą,
frantem, obwiesiem, łgarzem, hołotą,
szelmą, zbrodniarzem i szczwanym szpakiem,
krótko — łajdakiem".

W jednej z końcowych scen „Ptaków" do Peisthetajrosa przybywa sykofant, donosiciel, oszczerca i „zwadołowca". Prosi, by mu Peisthetajros przyprawił skrzydła. Bardzoby mu się przydały w tym zawodzie. Peisthetajros usiłuje nawrócić sykofanta na drogę pracy uczciwej:

„Są przecie mnogie, uczciwe zawody,
z których człek prawy łacno wyżyć może,
lepiej i zacniej, niźli z prawokręctwa".

Ale sykofant nie chce „morałów", lecz skrzydeł. Peisthetajros pragnie go tedy „uskrzydlić słowy":

„Gdyż słowy duch nasz, podniesion w etery,
unosi ze sobą człowieka. Tak chciałbym
ciebie uskrzydlić zacnem słowem ninie,
byś ostał prawym".

Sykofant o takich „skrzydłach" nie chce słyszeć. Więc postanowił Peisthetajros:

„Dalibóg, mam tu parę skrzydeł,
jakich ci trzeba: iście kerkyrajskich".

Wziął korbacz z dwóch rzemieni spleciony i zaczął okładać nim sykofanta, mówiąc:

„Leć-że! Otoś uskrzydlony!
Zwiej mi stąd zaraz, łotrze zatracony!
Oto twe zyski z prawokręcidraństwa".

Tak to jest po wszystkie czasy: dla jednych „słowa uskrzydlające", a dla drugich — pletnia.

UMOWA. Na początku ósmego dziesiątka lat XIX wieku, Londyn był przerażony i zdumiony: w ciągu kilku miesięcy zamordowano kilkudziesięciu listonoszy. Morderstwa dokonywane były w sposób identyczny. Zrazu sądzono, że to robi ręka jednego zbrodniarza. Po tygodniu ujęto zabójcę, a morderstwa powtarzały się nadal co parę dni. Była to epidemja zbrodni tak, a nie inaczej popełnianej. Zjawiskiem takiej epidemji kryminologja zajmuje się oddawna. Wskazywano nieraz, że zjawisko to stwarza prasa przez szczegółowe opisy zbrodni i procesów sądowych. Działa wówczas instynkt naśladownictwa i pewnego rodzaju nauka udzielana w tych opisach. Mordowanie owych listonoszów londyńskich często jest przypominane, jako uderzający przykład. Znakomity prawnik francuski Henryk Robert pisze, że drobiazgowe sprawozdania z rozpraw sądowych przyczyniają się do wzrostu przestępczości.

Mniej uchwytny, ale całkiem niewątpliwy jest też wpływ prasy — tak samo, jak książek i obrazków — na pobudliwość erotyczną. Lektura dać może silne emocje i nieraz rozluźnić te hamulce, które uważa się za pożądane. Gazeta opisująca drastyczne historje seksualne sprawia czytelnikom pewną przyjemność, którą wydawca dla celów zarobkowych nie gardzi. Procesy o obrazę moralności są dla gazet sensacyjnych gratką nielada. Dziennikarz rozwija wówczas ogromną inicjatywę w dogodzeniu gorącz-

kowej ciekawości. Ma przytem zajęciu dwie role: jaknajmocniej potępiać przestępstwo i jaknajbarwniej, jaknajpikantniej je opisywać, nie gardząc również fantazją. Staje przecież wobec czytelnika jako obrońca moralności, ostrzega społeczeństwo, dba o czystość obyczajów. Równocześnie zaspakaja apetyty czytelnika, dostarcza mu wzruszeń seksualnych.

Rola pierwsza jest, naturalnie, fałszywa. Mamy tu do czynienia z cichą umową pomiędzy pewnego gatunku czytelnikami a dziennikarzem: ty udawaj, że bronisz społeczeństwo przed zepsuciem, a my będziemy z przyjemnością czytali rzeczy najbardziej drastyczne. Przy tej umowie nakład gazety rośnie, a fałszywej moralności staje się zadość.

RÓD AJSCHYNESÓW. Podanie głosi o jednem z plemion hinduskich, że składało na ofiarę swoim bogom krew ludzką, lecz wyłącznie dobytą z języków i uszów, jako pokutę za grzech kłamstwa, zarówno wypowiedzianego, jak i słyszanego. Gdyby dzisiejsze społeczeństwo uprawiało taki zwyczaj, mielibyśmy wszyscy bez wyjątku pokaleczone uszy, niema bowiem dnia, byśmy nie usłyszeli jakichś kłamstw.

Kłamstwo i oszczerstwo upowszechniły się, zdobyły niejako prawo obywatelstwa, wypełniły sobą atmosferę społecznego życia. A jakież to może mieć skutki? Mądry Montaigne powiada: „Ponieważ wzajemne porozumienie nasze odbywa się drogą słowa, ten, kto je fałszuje, zdradza społeczność publiczną.

Jest to jedyne narzędzie, za pomocą którego stykają się wole i myśli, jest to tłomacz naszej duszy. Jeśli ono chybia, nie czujemy już związku, nie wyznajemy się między sobą. Jeśli nas zawodzi, niweczy wszelkie nasze stosunki, rozluźnia wszystkie węzły społeczności".

Istnieje teza, że polityka to świństwo. Dużo niepięknych rzeczy musiało się złożyć na powstanie takiej tezy. Tak myśli przeciętny obywatel, bo widzi i słyszy, że choć kłamstwo, oszustwo, przewrotność, oszczerstwo dużą naogół grają rolę w życiu, nigdzie tak wielkiej, jak w świecie politycznym.

Jedną z największych zapór na drogach postępu to nieuczciwość w walce politycznej. Tu duch niecnoty wyprawia swoje harce największe. Tu brak skrupułu moralnego, tu złośliwość i cynizm stały się owem szaleństwem, w którem jest metoda. Naturalnie, metoda działania na niedługą metę, bo to można stwierdzić — ku osłodzie poczucia etycznego — że polityczne bezeceństwa nie zapewniają zwycięstw długotrwałych. W szerszej ramie czasu widać to wyraźnie, że nie myli się Kant, kiedy powiada: „Uczciwość może niezawsze jest najlepszą polityką, ale niewątpliwie lepszą, niż wszelka polityka".

Trochę historji. Na jej szlakach wciąż odradza się duch oszczerczy Ajschynesa, o którym mówił Demostenes dwadzieścia trzy stulecia temu, kiedy czynił spowiedź publiczną ze swojej działalności politycznej:

„Przewrotna dusza z ciebie, Ajschynesie! Aleś to pomyślał naiwnie, że ja dam spokój mojej działalności politycznej, a zajmę się twemi wyzwiskami. No, ja tego nie zrobię, ale zbadam twoje kłamstwa i oszczerstwa, miotane na moją politykę, a potem dopiero, wedle woli obecnych, dotknę brukowej hecy, jaką urządziłeś. Komedjant! Mnie oskarża! Drzesz się i wygadujesz niestworzone rzeczy, jakbyś był w cyrku. Wydziera się, jak w tragedji: „O ziemio, o słońce i ty cnoto!“ A co tobie, wyrzutku do cnoty? Skądże taki wgląd w różnicę pomiędzy dobrem a złem? Skąd albo jak do tego doszedłeś? O tyle jestem lepszym obywatelem od ciebie, że ja poświęciłem się korzyści państwa i nie unikałem żadnego niebezpieczeństwa, podczas gdy z ciebie żadnego nie było pożytku. Arystrat na Nasos, Arystoleos na Tazos, zdecydowani wrogowie państwa, sądzą dawnych członków ateńskiego związku, a w Atenach Ajschynes oskarża Demostenesa! Podłem, Ateńczycy, stworzeniem jest oszczerca, skorem do wszelkiej intrygi, ale ta kreatura w szczególności jest lisem z urodzenia, istna małpa tragiczna, sielski Ojnomaos“ (trzeciorzędny aktor z przedmieścia Aten).

Prawo „Dwunastu Tablic“ w starożytnym Rzymie karało śmiercią każdego, kto wygłaszał publicznie obelżywe i oszczercze słowa. Na mocy edyktów, wydanych we Francji XVI i XVII wieku, autorów, drukarzy i handlarzy paszkwilów za pierwszym razem ćwiczono batogiem, za drugim skazywano na śmierć. Ku końcowi XVII stulecia powieszono na

Place de la Grève w Paryżu autora, zecera, introligatora i handlarza paszkwilu.

W naszych czasach oszczerstwo nie jest w tym stopniu niebezpieczne. Prawo nie jest dla oszczerców zbyt surowe, a opinja publiczna nie czuje dlań zbyt silnej odrazy. Współczesne Ajschynesy prowadzą swoją robotę niemal bezkarnie, a już żadnego nie budzą sprzeciwu wśród swoich politycznych sprzymierzeńców. W walce z przeciwnikiem cel uświęca środki i cieszy się cały obóz, kiedy komuś z obozu innego wyrządzono krzywdę. Choćby zarzut najdalszy był od prawdy, zawsze w opinji ślad oszczerstwa pozostanie, złośliwość bowiem ludzka chętnie chwyta kłamstwo, a plotce dodaje sto skrzydeł, by leciało jaknajszybciej i dotarło wszędzie. Wiedzą o tem Ajschynesy i dlatego najmniej dbają o ścisłość swych zarzutów, a śmieją się, kiedy ktoś chce ich zawstydzić i powie, że kłamią. Przecież nie o prawdę im chodzi.

Dzisiejsze Ajschynesy prześcigają swój prototyp w rozległości swej roboty, rozporządzają bowiem bronią, jakiej tamten nie posiadał: mają prasę. Nic dziś łatwiejszego, niż w opinji tysięcy, dziesiątków i setek tysięcy oczernić niemiłego politycznie człowieka. Tem skuteczniej, że najszersze rzesze czytają tylko swoje gazety, a do gazet przeciwnika rzadko zaglądają lub nie zaglądają wcale, więc nie wiedzą nawet, ile jest kłamstwa w tem, co przeczytali. Nie sprawdzają, wierzą w słowo drukowane, a ta ich wiara jest dla oszczercy najcenniejszym kapitałem.

O potwarcach współczesnych możnaby napisać to samo, co pisał blisko sto lat temu Mochnacki w odpowiedzi na oszczerstwa nań rzucone: „To jest fałsz równie bezczelny, równie nikczemny, jak te wszystkie fałsze, plotki, potwarze, które stanowią cały charakter, cały talent i całą egzystencję wydawców tych pisemek. We wszystkich kloakach paryskich (przepraszam „Kronikę“ za to wyrażenie) niemasz tyle śmiecia, tyle brudów, co w mózgu tych redaktorów. Jeśliby całą jaką generację błotem zbryzgać trzeba było, toby oni mogli podjąć się tego zatrudnienia, tego zarobku. W literaturze stuletniej dziennikarskiej Francuzów, Niemców i Anglików, w czasach największej ich polemicznej zawziętości, nie znalazłby się ani jeden przykład tej hańby i tego spodlenia w gazeciarstwie, jakie na swoje głowy ściągnęli ci szczególni ludzie w tak krótkim czasie. Po nich nikt już kłamać nie będzie w całym chrześcijańskim świecie. Oni kłamstwo wysilili, skompromitowali je bezczelnością i niezręcznością“. (List do redakcji „Kroniki“. Pisma rozmaite, str. 270, wyd. poznańskie, rok 1863).

W tych słowach ostatnich mylił się Mochnacki. Kłamstwo w walce politycznej żyje nadal, oszczerstwo działać nie przestało. Ma za sobą siłę tradycji. Któż z wielkich Polaków nie doznał ataków oszczercy? Nie uniknęły ich postacie najpiękniejsze. Nie uniknął Kościuszko, Dąbrowski, Mickiewicz. „Rzucam wzgardę na autora i na tę kuźnicę, w której obelgi swoje kuje“ — pisał Tadeusz Czacki o jednym ze swych wrogów, imających się potwarzy. Rzucano nieraz oszczerstwa, sięgające w potomność. Takimi były ataki, wymierzone przeciw czczonemu dziś przez cały naród Kołłątajowi.

Duch oszczerstwa odwiedza wszystkie partje, kluby, konwetykle, sączy wszędzie swą truciznę i podpowiada słowa najbardziej nikczemne, lub nieodpowiedzialne, uczy świadomego kłamstwa lub niesumienności w stawianiu zarzutów natury moralnej.

Kiedy ktoś piorunuje na politycznego przeciwnika i odmawia mu wszelkich cnót ludzkich i obywatelskich, dobrze jest zastanowić się nietylko nad tem, czy ów piorunujący mówi prawdę, ale kiedy, w jakich okolicznościach przemawia tak srodze. Bo zdarza się dość często, że Iks źle mówi o Igreku wtedy dopiero, kiedy Igrek wystąpi z obozu Iksa i zapisze się do innej partji. Przedtem, kiedy byli w jednem stronnictwie, Iks nie gniewał się na grzechy i przywary Igreka, dopiero popadł w święte oburzenie, kiedy Igrek przestał być członkiem jego politycznej spółki. Każdemu rozłamowi towarzyszy szczególne widowisko: dawni przyjaciele zaczynają wielkimi miechami dmuchać w śmietniki nowych przeciwników, żeby się te nieczystości rozniosły jaknajdalej. Śmietniki były również przed rozłamem, ale zamknięte, nawet pilnie strzeżone przed okiem rzetelnych hygienistów.

I naodwrót, przeciwnicy, którzy przez całe lata raczyli się stekiem najpotworniejszych oszczerstw

i potwarzy, z chwilą zawarcia politycznego sojuszu, zapominają, że jeden drugiego nazywał poprostu złodziejem.

Nieśmiertelny jest ród Ajschynesów, najgorsza odmiana rodzaju ludzkiego.

OPOWIADANIA PRAWDZIWE

„WYCZYN" TOMASZA IZBICKIEGO. Nikt nie wie, kto to jest Tomasz Izbicki, chociaż wszyscy wiedzieć powinni. Również ci, którzy wszystko wiedzą o Nurmim i jego „wyczynach". Bo Tomasz Izbicki — choć o tem nie powiadomiono świata — prześcignął Nurmiego w śmiałości swojego „wyczynu".

Robotnik z Wielunia. Pracował w fabryce, a potem — zwyczajna rzecz — został „zredukowany". Wyrażenia tego używamy zamiast słów ostrzejszych: wyrzucony na bruk. Bo kto nie ma pracy, ten zazwyczaj nie ma pieniędzy, a kiedy nie ma pieniędzy, „eksmitują" go z mieszkania, czyli: graty na podwórko, człowieka na ulicę. Żeby wiedział, że trzeba mieć pieniądze. Tomasz Izbicki o tem wiedział tak dobrze, jak wszyscy „eksmitowani", ale to mu nie pomogło. Więc pewnego dnia on, żona, dwoje dzieci już nie mieli mieszkania. Nie stracił jednak „kontenansu". Wytrzasnął skądciś wóz, zbił nad wozem budę z desek, budę pokrył brezentem i do tego lokalu wprowadził rodzinę.

Był kiedyś wóz Drzymały. Inna sprawa, inne czasy. Teraz — wóz Izbickiego.

Widziano na szosie pabjanickiej, jak dziwny wóz z dużą budą, pokrytą brezentem, posuwa się w kie-

runku Łodzi. Kto się przyjrzał bliżej, zobaczył, że do wozu zaprzągnięty był człowiek. To właśnie Tomasz Izbicki. A kto się jeszcze bliżej przyjrzał, zobaczył, że w wozie siedzą — żona Izbickiego z niemowlęciem przy piersi i ośmioletni synek.

Tomasz Izbicki przybył z tym bagażem do Łodzi, przejechał przez miasto i ruszył w dalszą drogę w stronę Lublina. Bo w Lublinie ma krewnych, którzy mu zapewne pomogą. Na bilety kolejowe nie było, więc się zaprzągł do wozu.

W chwili, kiedy piszę te słowa, Tomasz Izbicki zapewne jeszcze idzie przy dyszlu, bo pieszo, z wozem i z rodziną w wozie idzie się powoli, mimo że się jest bardzo silnym. Przytem — odwilż, błoto, droga trudna. U nas wogóle szosy są niedobre i w takim wypadku nadzwyczajnie dokuczliwe. Nie można iść krokiem równym, miarowym. Wciąż doły i wyboje, to też sam spacer trudny bardzo, a wóz ciągle podskakuje, co z tego jeszcze względu jest niepożądane, że tam, w wozie matce niewygodnie w takich chwilach karmić dziecko...

„Wyczyn" Tomasza Izbickiego jest godny uwagi, nie powinien przejść bez echa w naszym świecie... sportowym.

Trzeba zważyć, jak wymyślne są warunki takiego „wyczynu". Izbicki nietylko nie idzie sam, nietylko z wozem, ale jeszcze w tym wozie — rodzina. Do wysiłku fizycznego dodaje pewne emocje męża i ojca. Zapewne niezbyt radosne, chociaż dzieje się to na świeżem powietrzu. Nadto — żadnej organizacji,

żadnych racjonalnych przy takim „wyczynie" posiłków, nikt też Tomasza Izbickiego nie chłodzi i nie masuje. Cała eskapada odbywa się tak, żeby było jaknajtrudniej.

Nurmi biegnie bez wozu, bez rodziny, w dłuższych biegach zatrzymuje się, chłodzą go, a po biegu i chłodzą i masują. Wszystko mu sprzyja i pomaga, a Izbickiemu wszystko przeszkadza.

Więc powiadam wobec takich danych, że wyczyn Tomasza Izbickiego jest większy, niż wszystkie wyczyny Nurmiego. Większy sportowo i wogóle. I wogóle!... Ze stanowiska ludzkiego.

Nurmi ma pomnik, a Tomasz Izbicki nie będzie miał pomnika, chociaż jako „sportowiec", przytem jako człowiek, mąż, ojciec... Ale cóż? Takie są już kryterja wielkości sportowej i ludzkiej.

24. III. 1929.

ŚMIERĆ MICHAŁA BODZIONEGO. Kto to był Michał Bodziony? Właściwie — jakby nikt, tyle tylko, że stworzenie ludzkie. Z tej racji możnaby powiedzieć, że — ktoś. Ktoś szary, mały, głupi. Jeden z najsłabszych. Produkt, objekt — bez woli, bez treści wewnętrznej, bez myśli żadnej. Nawet zrodzony przypadkiem, bo „znajda". Kto ojciec — niewiadomo.

Michał Bodziony nie umiał nic, prócz urywków pacierza. Nie nauczono go niczego. Pastuch, potem parobek, potem żołnierz. Ale w tej roli ostatniej tylko pięć dni. Bo z wojska uciekł — do dziewczyny.

Przyszli aresztować. Strzelił do policjanta. Zabił. Krył się, żył z kradzieży. Złapali. Kara śmierci. Rozstrzelanie. Michał Bodziony już nie żyje i — to prawda — niedużo z tego powodu zmieniło się na świecie. Może tylko ta dziewczyna się zmartwiła. Ale i to przejdzie.

Życie Michała Bodzionego było czemś tak małem, nikłem, pozbawionem znaczenia, że właściwie rozstrzelanie tego czegoś — czy można tak powiedzieć? — było jakąś błahostką, mechaniczną funkcją sprawiedliwości, strzepnięciem jakiegoś pyłka. Chociaż — dodajmy koniecznie — ten pyłek miał to, co nazywamy duszą: rozumiał, że będzie zabity, pytał się, czy to będzie bolało... Nie wiadomo, czy takie pytania zadają sobie zwierzęta, kiedy je się prowadzi na zarżnięcie. Więc — jakaś różnica. Michał Bodziony, mimo wszystko, czemś różnił się od zwierzęcia. Naprzykład, umiał urywki pacierza. I jeszcze coś: rozumiał, że zasłużył na karę, skoro zabił. To też — coś ludzkiego. Ale mało, niewymownie mało. Tyle tylko było w nim ludzkiego, ile się samo urobiło. Bez pomocy niczyjej, bez pomocy społeczeństwa i państwa, bez udziału rodziców, nauczycieli, wiedzy, nauki i wszelkich zwycięstw genjuszu ludzkiego.

W przeddzień rozstrzelania do celi skazańca poszedł ks. Piotr Niezgoda, generał wojsk polskich, szef duszpasterstwa D. O. K. V. Poszedł nie w charakterze spowiednika, bo tę rolę kto inny tam spełnia. Poszedł jako dobry człowiek, idący do tych, którzy cierpią.

„A czy byliście kiedy — pisze ks. Piotr Niezgoda — w celi więźnia, któremu ogłoszono wyrok śmierci i który po poczynieniu przez sprawiedliwość ludzką przygotowań, ma być bezapelacyjnie wykonany? Jakaż smutna to cela więzienna! O ileż smutniejszą dusza skazańca! Choćbym miał pióro Dantego, opisujące piekło, lub pędzel Michała Anioła, przedstawiający „Sąd Ostateczny“, nie potrafiłbym dokładnie przedstawić ni piórem ni pędzlem tego stanu, w jaki znajduje się psyche takiego biednego skazańca“.

Rozmawiali. Chociaż Michał Bodziony nie wiele umiał powiedzieć, bo nie był wymowny. Ale ks. Niezgoda potrafił wzbudzić do siebie zaufanie i wywołać jakieś ciepło w tem czemś, w tem stworzeniu ludzkiem. Ciepło i westchnienie i łzy.

— Ty masz wkrótce odejść tam, na drugą stronę, ja tam też, prędzej czy później nadążę, więc bądźmy wobec siebie całkiem szczerzy. Skądże ty jesteś?

— A jużci z Trzetrzewiny z pod Sońca.

— Ładna wieś, duża wieś, ma pewno szkołę. Chodziłeś, Michasiu, do szkoły?

— Kiejbym ta chodził! Nie chodziłem.

— A czemużeś nie chodził?

— Daliby mnie ta do szkoły!

— A masz ty rodziców?

— Matka żyją, ojca nie pamiętam, powiadali, że był w policji („Jakże miał znać ojca, biedny Michał skazaniec, kiedy go matka miała, jak się to mówi,

z lewej ręki, a prócz niego na tej samej prawem zakazanej drodze, jeszcze pięcioro innych dzieci").

— A cóżeś ty robił od dziecka?

— Pasłem bydło. Potem byłem za parobka.

— Aha, to już rozumiem, to cię tak zostawili, jak dziką gruszkę w polu. Nikt o ciebie nie dbał.

— A kto tam miał dbać? Ale ja się dopraszam spowiedzi.

Lecz jeszcze przed spowiedzią, którą odbył z innym księdzem, rozmawiali o tem, jak uciekł z wojska do dziewczyny i jak to było z tem zabójstwem. Strzelał, bo chciał uciec, nie chciał zabić. Kończyła się rozmowa.

— Przyjdzie tu za chwilę inny ksiądz, żeby cię wyspowiadać, to sobie trochę pomyśl o życiu swojem całem. Porachuj sobie, co dobrego, a co złego zrobiłeś.

„Cofnął się — pisze dalej ks. Niezgoda — myślą pewnie wstecz, bo mu się oczy znowu jakoś poszerzyły, a na czole pokazała się głęboka brózda. Myślał. Siedzieliśmy kilka chwil w milczeniu i patrzyliśmy obydwaj na stary, z jodłowych desek zbity tapczan więzienny. Ileż z niego spłynęło łez tych nieznanych poprzedników Michała, którzy podobnie, jak on czekali na ostatnią podróż „pod słupek". Gdyby ten stary tapczan mógł przemówić! Gdyby go tak wycisnąć można! Mówiłby piorunami, a ciekłaby z niego krew".

Na stole leżała jakaś torebka z papieru. W torebce — cukierki. Prosił, to mu dali. Bo to było jego

ostatnie przedśmiertne życzenie. Zjadł i poszedł na śmierć.

„Szare kulki — kończy ks. Niezgoda — rozerwały czaszkę, a z niej wypłynął mózg, który w życiu tyle się namęczył, aby sobie przyswoić pacierz, a drugie rozdarły serce, które nie umiało niczego innego kochać, tylko zapewne jakąś od krów dziewczynę i z której to miłości on tu, w kącie podwórza, padł na zmarzniętą ziemię".

Ks. Piotr Niezgoda prosi o zastanowienie się, kto tu jest większym winowajcą, ten głupi Michał, czy też ci „którzy go od pierwszej chwili usunęli za nawias społeczeństwa, jako znajdę".

Pytanie proste, nieskomplikowane. Jak cała ta historja. Też prosta, tylko... jakoś się robi nieprzyjemnie, a nawet gniew — tak — gniew bierze. Chociaż przez rozstrzelanie Michała Bodzionego niewiele zmieniło się na świecie.

3. III. 1929.

W „MIEŚCIE PRACY". Kiedy Józef Lasecki, robotnik, liczący lat 25, został — tak, jak inni bezrobotni w Łodzi — „zredukowany", nie odrazu popadł w rozpacz. Przecież tak jest młody i zdrów, że pracę znajdzie napewno. Szukał długo, całemi miesiącami. Miał żonę i kilkomiesięcznego synka. Wszyscy troje mieszkali u teściowej, Anny Piątkowskiej, zacnej kobiety, która pomagała rodzinie, sama bowiem zarabiała jakieś grosze. Ale z tych groszy

i z drobnych zapomóg — jak się to mówi — za dużo było, żeby umrzeć, a za mało, żeby żyć.

Małżeństwo Laseckich było wzorowe. Kochali się i szanowali. Kochali swoje dziecko. Z trwogą coraz większą myśleli o jutrze.

Józef Lasecki zaczął tracić nadzieję. Opanowała go ta już ostatnia myśl: skończyć, przeciąć pasmo cierpień niezasłużonych. Za ostatnie pieniądze kupił półtoralitrową flaszkę kreozotu i z tym „ratunkiem" przyszedł do domu. W obecności żony i jej matki napił się trucizny. Anna Piątkowska wyrwała mu butelkę i podała córce ze słowami: wyrzuć, trucizna. Lasecka wyszła z butelką na schody i przez dłuższą chwilę nie wracała. Zaniepokojona matka wybiegła z mieszkania, żeby zobaczyć, co się dzieje z córką. Źle się działo: zrobiła to samo, co mąż, bo w butelce dużo jeszcze zostało kreozotu. Nadbiegł już półprzytomny Lasecki, chwycił znów butelkę, wypił resztę trucizny i upadł na schodach. A potem, potem Lasecka miała jeszcze tyle sił, że zbiegła ze schodów na podwórko, stanęła, popatrzyła w okna i... zaczęła się śmiać, śpiewać, tańczyć, dopóki nie padła nieprzytomna.

Dziwnem stworzeniem jest człowiek. Obłęd człowieka nie da się zrozumieć. Kto odpowie, dlaczego Genowefa Lasecka tańczyła?

Tak padła rodzina Laseckich. Nie przez to, że „słabi muszą zginąć", bo Józef Lasecki nie był słaby. I nie przez niemoralność, bo ta rodzina była moralna.

Może — któż to wie? — Genowefa Lasecka śmiała się i tańczyła na podwórku rozśmieszona moralnością naszych czasów? Może w nagłym przebłysku świadomości ujrzała monstrualny komizm tych nauk moralnych, z których wynikałoby, że nikt nie cierpi niewinnie? Może śmiała się z matki, która chciała ich oboje ratować niewiadomo po co. Czy po to, żeby nadal cierpieli? Może rozśmieszyła ją ta scena koszmarna, kiedy sobie wzajemnie wyrywali truciznę? A może śmiała się i tańczyła na zwycięstwo, z radości, że skończyli z niedolą?

Niewiadomo. Niewiadomo, co się dzieje w mózgu ludzkim, chociaż w psychjatrji ustalono już tyle określeń naukowych. Można powiedzieć, że Genowefa Lasecka dostała ataku histerji, ale to nie wyjaśnia wszystkiego.

* * *

Sceny różne w „mieście pracy" i ten dramat, który rozegrał się przy ulicy Łagiewskiej, mówią, że jeżeli nagle niektóre kominy przestają dymić, jeżeli nagle w niektórych fabrykach zapanuje cisza, to natychmiast do wielu mieszkań przychodzi nieszczęście tak wielkie, że jednym odbiera równowagę, drugim — uczciwość, trzecim rozum, innemi słowy — że jedni przygotowują bunt, a gdyby się udało — rewolucję, inni idą kraść, jeszcze inni kończą samobójstwem, lub dostają obłędu, albo te dwa skutki łączą się ze sobą.

12. V. 1929.

NADUŻYCIE. W łódzkiej Kasie Chorych wykryto pewne nadużycie. Chory otrzymuje od lekarza trzy kartki na trzy kąpiele zdrowotne. Cóż robi? Zamiast — czytamy w sprawozdaniu rewidentów — „wykorzystać te kartki dla siebie, zabiera do kąpieli żonę i dziecko".

Jaki przestępca, jaki oszust! Sam miał się wykąpać trzy razy, ale wykombinował, że skoro ma trzy kartki, to lepiej, żeby się wykąpali wszyscy troje.

Stwierdzono sporo takich wypadków, takich nadużyć, że chorzy „nie wykorzystali" kartek na kąpiele zdrowotne, lecz sprowadzali do kąpieli swoje rodziny.

Łazienki w domu nie mają, za kąpiel gdzieindziej zapłacić choćby kilka groszy niezawsze jest łatwo, a tu — kartki w ręku. Kąpiel zdrowotna. Ma pomóc choremu. Żona i dziecko — zdrowe. No tak, ale — kąpiel, niechże się wykąpią. Tak myśli chory mąż i ojciec.

Taki konflikt — dobry mąż i dobry ojciec, ale zły obywatel: oszukuje Kasę Chorych. Sam miał się wykąpać trzy razy. Miało mu to pomóc, pewno przez działanie jakiejś soli, lecz powiedział sobie: jedna kąpiel trochę mniej pomoże, niż trzy, ale za to żona i dziecko... Takie nadużycie z kartkami dla... hygjeny, dla czystości, o której dużo się teraz mówi. Taki podstęp — w imię dobrego serca. Bo temu chyba nikt nie zaprzeczy, że takie serca są dobre.

Dobre serca ludzi oszukujących instytucję społeczną... Rzecz nieprosta, zjawisko skomplikowane, nieporządeczek jakiś w ustroju, duch złośliwości w warunkach socjalnych...

Przychodzi do domu rodzina — czysta, wykąpana. Przyjemnie, udało się... Potem — przykrość. Nadużycie wykryto. Kara pieniężna, albo może areszt. I wstyd. Wstyd? Tak i nie. To zależy... Sprawa nie jest prosta, chociaż litera prawa jest zupełnie jasna.

Żal sędziego, który sądzi takie sprawy. Niby wiadomo — nadużycie, paragraf taki a taki, a jednak, a jednak... Trudne są sprawy, kiedy między litery prawa wciska się sumienie i wtrąca swoje znów nauki.

14. IV. 1929.

SŁABE GRZESZNICE. Gdyby Marja Kiertucka spełniła dokładnie radę ojca i macochy, nie męczyłaby się teraz, nie siedziałaby w więzieniu i nie myślała ze zgrozą, co ją jeszcze czeka...

Marja Kiertucka ma lat 24, jest córką rolnika z Lubienia Wielkiego (niedaleko Lwowa). Nie poszczęściło się jej w życiu, chociaż kiedyś, niedawno jeszcze, zaznała dobrych chwil, pełnych radosnej nadziei. To wtedy, kiedy zaczęła się miłość. Tak było dobrze, tak na świecie pięknie, a on taki miły, ukochany. Nie czekali na ślub. Przecież nie można nikomu nie wierzyć. Są przecież ludzie uczciwi, godni zaufania, a jeśli są, to któż, jeśli nie on, taki kocha-

jący. Omyliła się. Uwiódł, opuścił i gdzieś sobie poszedł, niewiadomo gdzie.

I zaczęło się piekło na ziemi. Ojciec, srogi człowiek, kiedy zobaczył, co się święci, zaczął prześladować. Macocha tak samo. Ani jednej chwili spokoju. Naokoło — tylko złość ludzka i pogarda. Że będzie miała dziecko bez ślubu. A kiedy przyszło na świat, zaczęło się życie jeszcze gorsze. Już ich dwoje było znienawidzonych i prześladowanych: grzeszna matka i niemowlę. Bo ojciec matki nieślubnej jest człowiekiem moralnym i tej hańby nie mógł znosić spokojnie. Więc dokuczał córce, więc gnębił ją od rana do nocy, a sekundowała mu macocha, również moralnie wzburzona, też przeklinająca.

Co robić? Jak tu żyć na świecie?

Było coraz okropniej, aż pewnego dnia wypędzono grzeszną matkę z domu, a na drogę ojciec i macocha dali radę: „Rzuć bękarta pod pociąg, a sama się powieś".

Rzeczywiście, jeśli rodzony ojciec wypędza z domu, jeżeli niema się do kogo zwrócić o pomoc... Dobra rada. Koniec męki. Niech się tak stanie, jak jej poradzili.

Wyszła z domu, a jeszcze był mróz trzaskający. Do pociągu daleko. Niekoniecznie pociąg... Rozebrała dziecko, uderzyła kawałkiem lodu w główkę. Widzi krew, słyszy jęki. Uciekła o kilkadziesiąt kroków, potem wróciła. Dziecko już nie żyło. Jedna część sprawy załatwiona. Ale grzeszna matka nie mogła jakoś zostawić zwłok dziecka na polu, na

śniegu. Zawinęła w sukienkę, zaniosła do stodoły, niech lepiej tam leży... A teraz już ostatnia godzina grzesznicy. Rzuci się pod pociąg, albo pod lód w stawie, albo jakoś inaczej. Błądziła długo po nocy, szukając śmierci. Nie mogła, nie potrafiła, nie zdobyła się. Samobójstwo musi być trudne. Straszna rzecz skończyć z życiem, nawet z takiem...

Widzi, że nie skończy, a tu już świta, a tam w stodole znajdą zwłoki dziecka. Biegnie po te zwłoki, zawija w tłomok i pędzi przed siebie. Zmęczona, nieprzytomna, pędzi, potem idzie coraz wolniej, wolniej aż do samego Lwowa.

Przechodzi ulicą Gródecką. Policjant widzi znękaną wieśniaczkę z tłomokiem. Wieśniaczka wygląda jakoś dziwnie, a kto wygląda tak dziwnie, z tym zaczyna rozmawiać policjant. Skąd idzie, dokąd, co tam ma w tłomoku? Z początku kłamała, że dziecko umarło w drodze, że wypadło z rąk, zraniło się w głowę i z tego umarło. Zaprowadzili do komisarjatu. Tam już nie kłamała, opowiedziała wszystko jak było — od samego początku do strasznego końca.

Nie potrafiła odebrać sobie życia, tak, jak radził ojciec, więc teraz zajmie się nią społeczeństwo przez swoje organy wykonawcze w sądzie i w więzieniu. Niedobry jest w pewnych razach lęk przed śmiercią.

Inna znowu matka, Stanisława Gawor, służąca, licząca lat dziewiętnaście, leży teraz w szpitalu św. Łazarza w Krakowie i przeklina swoją słabość, że nie

potrafiła odebrać sobie życia po ukryciu noworodka pod paką w piwnicy, gdzie też dziecko zmarło. Uczyniła tę rzecz okropną i miała się rozstać ze światem, ale zbrakło jej odwagi. Więc jak tamta, Kiertucka, uciekła ze wsi (Wola Justowska) i przybyła do Krakowa, do szpitala, bo w strasznym była stanie po porodzie. Potem sama wszystko wyznała. Więc kiedy się w szpitalu poprawi, pójdzie do więzienia.

Możnaby powiedzieć, choć to brzmi cokolwiek dziwnie, że już lepiej „poszczęściło" się innej grzesznicy.

Ksienia Łyńko, panna, miała za miesiąc wydać na świat, jak się to mówi „owoc zakazanej miłości". Ksienia Łyńko była córką zamożnej gospodyni we wsi Maźniowo (gmina pliska). Wielki to był wstyd dla zamożnej gospodyni, wielka hańba. Ksienia słuchała od rana do nocy, że jest ladacznica, że jest „dziwka" i jeszcze gorsze wyrazy. Ale nietylko to. Była ciągle bita przez matkę, kobietę moralną, dla której niema nic straszniejszego, niż taka miłość bez ślubu, niż nieślubne dziecko. Więc klęła i katowała.

Ksienia Łyńko „obiecywała" matce, że ją uwolni od siebie, zmyje tę hańbę — powiesi się. Ale jakoś żyła. Szedł miesiąc za miesiącem, już niedługo miała urodzić. W tem większą złość popadała matka. Aż parę dni temu, w pasji nieprzytomnej chwyciła drąg i z całych sił uderzyła w głowę niemoralną córkę. Ksienia Łyńko padła bez życia.

Nie potrafiła rozstać się z tym światem, więc jej matka rodzona pomogła.

Tamtym gorzej, nikt nie pomógł.

Trudno, bardzo trudno musi być odebrać sobie życie...

7. IV. 1929.

OTO PYTANIE. Pani Wanda Grabińska ogłosiła w tygodniku „Kobieta Współczesna" szereg odbytych w więzieniu rozmów z dzieciobójczyniami. Fakty, nazwiska, ścisła relacja. Pozwolę sobie tu przytoczyć wyjątki z dwóch rozmów.

„Miałam lat 14, jak umarła mi matka. Ojciec zaraz się ożenił z drugą kobietą, to mnie macocha wygnała na służbę, do drugiego dworu. Bo ja jestem z fornalskiej rodziny. I tam właśnie na tej służbie... Miałam wtedy 17 lat. On mówił, że nie może się ze mną ożenić, bo nie ma papierów w porządku, czy coś tam, bo on był z Niemiec. Ja się na tem nie rozumiałam, bo jestem ciemna. Ale on miał matkę i to była ludzka kobieta. Ona wzięła to dziecko na wychowanie, a ja znowu musiałam iść w świat, bo ze dworu też mnie wygnali, jak się to okazało. Poszczęściło mi się, dostałam dobre miejsce u młynarzów. I tam u nich poznałam jednego gospodarza, co się chciał ze mną żenić. Podobałam mu się i widział, że jestem robotna. Tak mi się los otworzył — sierocie. Bogu dziękowałam. Już się szykowałam do wesela, aż tu piorun z nieba. Tamten mnie zawiadamia, żebym zaraz wzięła dziecko, bo je na dwór wyrzuci. Matka mu umarła, to on zaraz tak ze mną zaczął. Pojechałam tam, po to dziecko. Jak stamtąd wra-

całam z tem dzieckiem, to mnie myśli opadły — co ja teraz pocznę. Do macochy nie mogłam je zanieść a jakże się miałam we młynie pokazać, proszę pani? Pierwsze zapowiedzi już wyszły, a ja z dzieckiem, siedem miesięcy już miało. Taka hańba! Od kolei do młyna szłam piechotą parę wiorst. Był to wieczór. Dziecko zasnęło. I wzięła mnie taka rozpacz, że mi rozum zamroczyło. Chciałam i siebie i dziecko utopić, usiadłam na brzegu rzeki i rzuciłam je do wody. A jak to zrobiłam, to mnie nagle strach opadł, że myślałam, że zwarjuję. Siedziałam, jak zdrętwiała. Nie mogłam już sama wskoczyć do tej wody. Wyszłam za niego zamąż, za tego gospodarza i byłam nareszcie na swojem. Tak było przez dwa lata, dopóki tamten znowu nie przyszedł. Co z dzieckiem, pyta, a ja mu opowiedziałam. Chciał ze mną żyć, a jakże ja się mogłam na to zgodzić? Byłam przecież ślubną kobietą. A on chciał się w naszym domu przygrzać, mieć wygodny chleb — antychryst! Łaził mi po piętach, aż któregoś dnia powiedziałam, że go psami poszczuję. I tego samego dnia zabrała mnie policja. Bo on zrobił na mnie donos".

A oto — inne „zwykłe" wydarzenie.

„Pewnie pani czytała moje akta. Co ja miała zrobić, proszę pani? Co ja miałam zrobić? *Nie miałam wyjścia do życia.* Ja jestem słabowita, mam chore serce. Służbę musiałam rzucić, mieszkałam kątem, sprzedawałam wszystko i tak się poniewierałam. Dopiero na ostatku przyszłam do tego szpitala. Po dwóch tygodniach kazali mi się wynosić. Dziecka nie

miałam w co zawinąć. Halkę musiałam podrzeć. No i wyszłam na ulicę z tem dzieckiem. Gdzie się miałam podziać, proszę pani? Nie miałam wyjścia do życia, prawdę mówię. Wtedy ja go tam położyłam i odeszłam. Czy ja mogłam wiedzieć, że go nikt nie znajdzie, że ono tam zamarznie, czy to ja nie jestem człowiek?

— No, a czy teraz rozumiecie, żeście źle zrobili?

— Pewnie, że źle, ale *jak miałam zrobić, żeby było dobrze?*"

Oto pytanie.

Niema dzieciobójstw wśród kobiet, które mają pieniądze i nie obawiają się klątwy przesądu, który zbiera swój tragiczny plon, bo trzyma ludzi ciemnych w przekonaniu, że matka dziecka nieślubnego, to kobieta ostatecznie shańbiona, godna pogardy i zasługująca na prześladowanie.

8. I. 1929.

SPRAWA MARJI SZULEWSKIEJ. Służąca, Marja Szulewska, szukała w różnych biurach pośrednictwa pracy, ale znaleźć nie mogła, bo miała dziecko, a z dzieckiem nikt służącej przyjąć nie chce. Zamieszkała u dalekich krewnych i wzięła się do prania. Dowiedzieli się, że jej dziecko — nieślubne. Wyrzucili. Znalazła potem przytułek u pewnego dozorcy domu, ale też na krótko. I ten, dowiedziawszy się, że dziecko jest nieślubne, odmówił przytułku. Marja Szulewska udała się do wydziału opieki w ma-

gistracie miasta Warszawy. Tam jej powiedziano, że nie może otrzymać pomocy, bo jest „niestałą mieszkanką". Każda gmina musi opiekować się „swoimi". Ale Marja Szulewska nie miała za co pojechać do swojej gminy. Powtóre — wstydziła się pokazać tam, gdzie ją wszyscy znają. W lipcu 1928 r. siedziała z dwuletniem dzieckiem na ławce w ogrodzie Saskim. Poprosiła nieznajomą panią, żeby jej na kartce napisała, co następuje: „Dziecko jest chrzczone, nie mam wyjścia, robię to z bólem". Potem udała się pod bramę domu wychowawczego im. ks. Boduena i zostawiła tam Stasia. Zadzwoniła, ukryła się, widziała, jak Stasia zabrali. Po sześciu miesiącach, podczas których ciężko pracowała na prowincji, zapragnęła zobaczyć synka. Męczyła ją tęsknota. Nie wpuszczają. Odźwierny powiada: „Nasze dzieci nie mają „swoich" matek. Chyba, że ktoś przyniesie świadectwo od policji". Poszła do policji po świadectwo. Wyjaśnia, że tak a tak, że ten Staś, co to w lipcu... Komisarz na to: „Muszę panią zatrzymać". Przerażona matka pyta: „Za co?" „Za podrzucenie dziecka". Matka tłomaczy: „Przecież nie zrobiłam mu krzywdy". Trudno. Takie prawo. Osądzono ją w areszcie policyjnym do dyspozycji władz sądowych.

Proces Marji Szulewskiej skończył się dla niej dobrze: 10 dni aresztu z zawieszeniem kary na rok. Jest wolna. Sędzia sądu grodzkiego, p. Biliński, w rozmowie z jednym z dziennikarzy oświadczył po wyroku: „Właściwie nie należałoby karać. Należałoby się zaopiekować. Trzeba, żeby społeczeństwo patrzało na tego rodzaju sprawy przez inne szkła. Rozumiem, doskonale rozumiem... Gdzie miała się podziać z dzieckiem? Tu — wstyd, tam — wstyd. Mieszczański wstyd. Może w przyszłości tego rodzaju sprawy wejdą na inne tory. Ale narazie musimy postępować w myśl intencji prawodawcy. Podrzucenie dziecka jest przestępstwem przewidzianem w art. 490 kodeksu karnego. Dostała 10 dni z zawieszeniem. Nieszczęśliwa, rozumie się!"...

13. I. 1929.

DZIECI DO ODDANIA. W gazecie „Express Zagłębia", wychodzącej w Sosnowcu ukazało się drobne ogłoszenie:

„Wezmę chłopczyka na własność. Oferty składać w administracji pisma pod „Chłopczyk".

Zamieszczono ogłoszenie w nadziei, że może, kto wie, zgłosi się jakaś matka, której trudno wychować własne dziecko, może odda chłopczyka. Będzie w domu raźniej, będzie — cel w życiu. Czekajmy.

Efekt: w ciągu 3-ch dni do administracji „Expressu Zagłębia" zgłosiło się 126 matek z niemowlętami — od 1 do 15 miesięcy. Powtarzam literami, żeby ktoś nie pomyślał, że to omyłka zecerska: sto dwadzieścia sześć matek. W jednem mieście. Tylko te, które mają chłopczyka. Gdyby ogłoszenie nie określało płci dziecka, byłoby jeszcze więcej ofert.

Ale przecież niemowlęta powinny się wychowywać przy matkach. Nie, niema powodu do dyskusji.

Bezwarunkowo powinny. Są jednak — do oddania. Nie żyjemy zgodnie z naturą. Urządziliśmy się inaczej, po ludzku. Są do oddania. Można wziąć. Wybór wielki. Niedrogo, bez odstępnego, tyle tylko, żeby karmić i odziewać. Matki oddadzą. Bez radości, ze smutkiem, z rozpaczą, ale — oddadzą. Bo niema rady. Bo strasznie źle. Oddadzą — bez uśmiechu, ze łzami, ale z ulgą. Bo sprawa stoi tak: albo dziecko zmarnieje, albo nie będzie głodne. Więc dobre serce matki podpowiada, że przecież lepiej oddać. Tak sobie powiedziało 126 matek w Sosnowcu na skutek jednego drobnego ogłoszenia. I jeszcze dodajmy: zgłosiły się te tylko, które to ogłoszenie przeczytały, albo, które się dowiedziały, że zdarza się taka dobra okazja...

Był jeszcze 127-my kandydat. Przyszedł sam. Czytamy w „Expressie Zagłębia":

„Blondynek. Ładny. Oczy smutne. W ubranku uczniowskiem. Lat 11. Stanął i pyta:

— Czy tu jest ta pani, co chce wziąć chłopczyka na własność?

— Tej pani niema, trzeba zostawić adres — odpowiada urzędniczka administracji.

— Dziękuję. To zaraz przyniosę.

Po jakichś 20 minutach wchodzi ten sam chłopczyk i oddaje kartkę z adresem i nazwiskiem.

— A duży ten chłopczyk? — pyta urzędniczka.

— To ja jestem, proszę pani. Bo nas jest sześcioro i tatuś nie może wydołać na wszystkich.

— A nie będzie ci się przykrzyło u obcych? Przecież będziesz tęsknił do tatusia i mamusi, do braci i sióstr.

— No tak... ale cóż? jak ja już się oddam na własność, to muszę nie tęsknić".

23. II. 1929.

W MIESZKANIU ANTONIEGO HAWROTA.

Działo się to w Zamarstynowie, w małym domku przy ulicy Grunwaldzkiej 27.

Sąsiedzi przyzwyczaili się do tego, że żona Antoniego Hawrota, pani Józefa, ostatnimi czasy bije często swoją adoptowaną córeczkę. Dawniej tego nie było, ale ostatnio niemal codziennie rozlegał się krzyk bitego dziecka.

Podobno do wszystkiego można się przyzwyczaić. Najlepszy dowód, że kiedy w mieszkaniu Hawrotów krzyczało maltretowane dziecko, nikt na to nie zwracał szczególnej uwagi. Są tacy sąsiedzi. Spokojni, obojętni, nie robią alarmu, nie protestują, nie biegną do cudzego mieszkania, żeby przerwać scenę tortury, nie wołają pomocy policji, słowem — nie wtrącają się do „nieswoich rzeczy". Słychać przez ścianę płacz i krzyk — ale cóż? nie ich rzecz, nie wspólna sprawa. Tyle tylko, że spokoju mało, ale trudno — pani Hawrotowa wychowuje, ma prawo.

Antoni Hawrot ma lat 67, jego żona 62. Lat temu siedem wzięli na wychowanie kilkomiesięczną Julcię, córkę niejakiej Marji Hirsz, dziecko nieślubne. Marja Hirsz urodziła to dziecko w warunkach bardzo pospolitych: uwiedziona, porzucona, bez środków do

życia. A właśnie dobrze znała Hawrotów, zacnych ludzi, którzy nieraz narzekali, że im smutno, bo nie mają dzieci. Antoni Hawrot ciężko pracował całe życie, był kiedyś strażnikiem akcyzy celnej, a teraz od szeregu lat rozwozi pieczywo do sklepików — od 4-tej rano.

W takim znoju, w takiej pracy monotonnej dziecko byłoby czemś miłem, byłoby jak promyk w tej izbie, gdzie nic się nie dzieje. Oboje Hawrotowie smucili się bardzo, że są bezdzietni. Nie żeby chcieli coś zostawić potomstwu, bo nic do zostawienia nie mieli, ale żeby było jakoś raźniej w starości. Tedy przyszła Marja Hirsz ze swem niemowlęciem i zaproponowała, żeby je adoptowali. Tak się też stało. Zostawiła dziecko, opuściła Zamarstynów, poszła, gdzie oczy poniosły i od tego czasu niewiadomo, gdzie się podziewa. Jak to się mówi, ślad po niej zaginął.

Mijały lata. Hawrotowa chciała dobrze wychować adoptowaną córeczkę. Dbała o nią, dobrze karmiła, oddała do szkoły powszechnej. Hawrotowa uważała, że Julcię trzeba karcić surowo za najmniejsze przewinienie, bo to sposób jedyny, żeby Julcia wyrosła na dzielną kobietę.

Póki to było maleństwo, miało czułą opiekę, doznawało serdecznej dobroci przybranych rodziców, ale teraz, kiedy już chodzi do szkoły, trzeba z nią ostro, bezwzględnie. Taki pogląd, taka metoda.

Pani Hawrotowa biła często i za byle co. Zauważyła przytem rzecz okropną: Julcia staje się skryta,

nieufna, mrukliwa. I co najbardziej oburzające — wyraźnie zaczyna nie lubieć przybranej matki. Za tyle dobra, za karmienie, odziewanie, wychowanie! Hawrotowa popadała w gniew coraz większy, a Julcia coraz się bardziej zacinała.

Zapanował stan nieprzyjaźni, możnaby powiedzieć — stan wojny pomiędzy 62-letnią panią Józefową, a 8-letnią Julcią, która już teraz zaczynała kłamać. Przyprawiało to nieraz Hawrotową o gniew furjacki. Za tyle dobra, za tyle dobra! I że bicie nie pomaga...

Julcia była już w drugiej klasie szkoły powszechnej. Jest i tam zwyczaj, że się zaprasza od czasu do czasu rodziców na naradę. Nazywają to tam „konferencją wywiadowczą". Matki dowiadują się, jak się dzieci uczą, nauczycielki wypowiadają różne na ten temat uwagi. Żeby szkoła i dom wspólnie, harmonijnie dążyły do najlepszego wychowania dzieci, bo tak się stać może, że co szkoła naprawi, dom zepsuje, albo i odwrotnie.

Poszła więc pani Hawrotowa na ową konferencję wywiadowczą i dowiedziała się rzeczy haniebnej: ośmioletnia Julcia skradła koleżance 50 groszy i za te pieniądze kupiła sobie cukierków. Jej wychowanka, jej nadzieja na stare lata, dziecko, które miało być promykiem! I tak dobrze chowane... Taki skutek siedmioletniej opieki, dobroci i łaski.

Wróciła Hawrotowa do domu wpółprzytomna, rzuciła się na Julcię, skatowała. Do późnej nocy maltretowała złodziejkę. Słyszeli to sąsiedzi, ale — jak

zwykle — nie wtrącali się. Dopiero gdzieś tam, po północy, uciszyło się w izbie Hawrotów. Wczesnym rankiem sąsiedzi usłyszeli jeszcze raz krótki krzyk dziecka, a potem już było cicho zupełnie.

Antoni Hawrot wstał przed 4-tą rano, a przed odejściem do zajęcia dał żonie 50 groszy, żeby te pieniądze oddała okradzionej koleżance Julci. Prosił też, żeby już dziecku dała spokój, bo się dosyć nacierpiało.

Jakoś wbrew zwyczajowi, jeszcze o 10-tej rano okno w izbie Hawrotów było zasłonięte, co zwróciło uwagę sąsiadów. Zbliżył się ten i ów do drzwi mieszkania Hawrotów, usłyszano jakieś jęki. Sąsiedzi poczęli się dobijać, potem wywalili drzwi i oto — widok: mała Julcia w łóżeczku cała zalana krwią, martwa, a Hawrotowa — na podłodze nieprzytomna, też we krwi.

Policja. Śledztwo. Przebieg widoczny: Hawrotowa po odejściu męża nożem kuchennym poderżnęła gardło Julci, potem sama siebie poraniła. Ale słabiej, nieskutecznie, więc na dodatek napiła się spirytusu denaturowanego. Zabrali ją w agonji do szpitala.

Marja Hirsz może nie wie jeszcze, że tak skończyła się historja jej nieślubnego dziecka, oddanego w dobre ręce starych ludzi, którzy chcieli mieć coś jaśniejszego w życiu.

Antoni Hawrot siedzi sam w izbie, patrzy po kątach wzrokiem tępym, niewiele rozumie, tylko wie, że stało się nieszczęście.

9. V. 1929.

SYLWETKI

ANTONI LANGE. Wielka, wielobarwna, mieniąca się wszystkimi kolorami tęczy poetyckiej była księga twórczości ś. p. Antoniego Langego. Ostatni to z dawnych tytanów pracy, którym równych niema już dzisiaj. Ostatni z tych, których rozpiętość i pojemność ducha tak były ogromne, że są dla nowego pokolenia niemal już nie do pojęcia.

W dziesiątkach tomów wypowiadał się człowiek, patrzący na niezmierzone obszary życia wzrokiem przenikliwym myśliciela i poety, uczący się tego życia z nauk wszelkich, zewsząd płynących, z przeszłości i teraźniejszości, z ziemi i nieba, od ludzi i od tajemnic kosmosu. Wchłaniał te nauki, zbierał je z wiecznym niepokojem, zwracał się po nie do czasów zamierzchłych, by je usłyszeć w najstarszych legendach, podaniach, hymnach i modlitwach, zbliżał się do wszystkich krynic mądrości, żeby przez świat wiedzy lepiej ocenić świat życia, a obcując z duchami myślicieli wszystkich czasów, z ich słowem filozoficznem i metafizycznem, kształtować swój własny stosunek do wszechrzeczy.

O nim naprawdę powiedzieć można, że nic, co ludzkie, nie było mu obce. W literaturze wszechświatowej wybierał te przedewszystkiem karty, na

których zapisały się największe natchnienia twórców wszechludzkiego ideału, natchnienia podobne, pokrewne, choć w różnych językach wyrażone, czy w słowach sanskrynckich, perskich i arabskich, czy w kilkunastu językach Europy.

Przekłady Langego z tego przecież szły źródła: z pokrewieństwa jego ducha z przejawami twórczości, która tęskni do dobra i do szczęścia świata. Wielce różni się Iljada od Mahabharaty, innym jest zgoła Shelley, niźli Verlaine, do innego świata należy pieśń Persów i Arabów, niż twórczość poetów czeskich, węgierskich, francuskich, angielskich, hiszpańskich, wszelako wielki ten wędrowiec na wszystkich szlakach poezji szukał i znajdywał pokrewieństwo, skarby wspólne, westchnienia te same, myśli w istocie swej jednakie: westchnienia i myśli człowieka, pragnienie uszlachetnienia bytu ludzkiego na ziemi, wznoszenie się poza i ponad granice tego bytu.

Żył pokarmem stuleci i myślą wybiegał w przyszłość najdalszą. Zakreślał łuk ducha ogromny — od najstarszych pomników literatury hinduskiej do wizji dalekiego jutra, które rysował we własnych obrazach utopijnych, przenosząc się w ów Suriawastu, gdzie „słońcogrodziane" rządzeni są przez ministerja Miłości, Mądrości i Piękna (powieść p. t. „Miranda").

Pisano o utworach Antoniego Langego, że to jest „poezja intelektualna", a byli tacy, którzy w tem określeniu chcieli wyrazić opinję ujemną. Tak — w wielu pieśniach i poematach była to poezja intetektualna, lecz właśnie w znaczeniu dodatniem. Czem byłaby poezja, gdyby jej obcą była myśl filozoficzna i myśl społeczna? Tylko muzyką słowa, tylko dźwiękiem. I w tej muzyce i w tym dźwięku przyniosła owoce swojej cudownej zabawy, lecz szersze jeszcze obejmuje sfery tworzenia. „Faust" Goethego to również „poezja intelektualna". Nie chcieć jej, dyskwalifikować ją może tylko ten, kto w nauce i kto w filozofji nie widzi poezji. Antoni Lange w rymie najbardziej kunsztownym, którym władał po mistrzowsku, wypowiadał swe idee filozoficzne i społeczne, wznosząc się przecież na wyżyny poetyckiego piękna, którego nie brak również w jego licznych utworach okolicznościowych.

Tu znowu może ktoś pomyśleć z grymasem sceptycyzmu: cóż to są utwory okolicznościowe? Migawki, bańki mydlane, rzeczy przemijające, bo w pewnych tylko momentach „aktualne". Lecz są okoliczności i — okoliczności. Są wielkie wydarzenia, które dokumentują się w słowach poety, a słowa te zostają w dziejach literatury, jako światło poezji rzucone na historję. Do takich słów będą należały te pieśni Antoniego Langego, które zrodziły się w przededniu i w dniach wstrząśnień rewolucyjnych i wojennych.

„W przededniu" — niepospolita bowiem wrażliwość duszy, wpatrzonej w przyszłość, wypatrującej lepszego jutra, podpowiada mu niejedną przepowiednię, jak, naprzykład, w niezapomnianym wier-

szu „Do niewolników“ (rok 1894), w którym maluje obraz przyszłej rewolucji w państwie cara. Widział ją, przeczuwał, wiedział poprostu, że nadejdzie straszliwy dzień pomsty i walk „jakich nie znał jeszcze świat zdumiony“. Wiedział, że niewolnicy „skrwawioną dłonią na bestję o jedynej głowie runą i na śmierć ją zadławią ostatnią“. Co też spełniło się po latach dwudziestu dwóch. W wierszu „Na wojnę chińską“ (1901) wzywa Japonję, by cios zadała Moskwie. I tak też się stało.

Pieśni społeczne Langego wołają krzykiem tak gorącym, tchną siłą tak ogromną, że choć to czasy dawne i choć dotyczą spraw, które się stały kiedyś, lub zmieniły swą postać, ta poezja walki, poezja ludzkiego dobra, więc równości i wolności, zawsze, po wszystkie dni będzie żywotna i najlepszą, najszlachetniejszą strawą duchową karmiąca.

BENEDYKT DYBOWSKI. Z okazji 95-tej rocznicy urodzin prof. Benedykta Dybowskiego, marszałek Józef Piłsudski przesłał mu depeszę tej treści: „Całe twe życie, swój umysł i serce poświęciłeś ojczyźnie i nauce, niechże Bóg zachować Cię raczy dla nauki i Polski w najdłuższe jeszcze lata“.

Śmiem twierdzić, że dzisiejszy t. zw. szeroki ogół, że nawet koła inteligencji nie wiedzą dokładnie, kto to jest Benedykt Dybowski. Nie znają ani nadzwyczajnych, niemal fantastycznych dziejów żywota tego najczcigodniejszego starca, ani ogromu jego zasług.

Dwa uczucia kierowały całem jego życiem: miłość ojczyzny i ukochanie nauki. Uczuciom tym towarzyszyły tylko cierpienia i niezmordowana praca. Patrjotyzm i miłość dla nauki determinowały wszystkie jego poczynania. I może coś symbolicznego było w owem wydarzeniu z lat jego młodości, kiedy po upadku powstania 1863 roku, pragnąc zatrzeć ślady akcji powstańczej, aby nie gubić członków organizacji, a zarazem przekazać historji dokumenty spiskowe, zaszył je wewnątrz wypchanych zwierząt w swoim gabinecie zoologicznym.

Benedykt Dybowski, skazany na 15 lat ciężkich robót w Syberji, przebywa tam lat 18 i wśród najokropniejszych warunków, zdobywa się na ogrom pracy naukowej. Tam właśnie staje się powagą o światowej sławie. Tam osiąga wyniki swych badań wspaniałe.

Parę tylko przykładów. Chce zbadać faunę największego na świecie jeziora, Bajkału. Dochodzi do wniosku, że badania należy przeprowadzić zimą. Lecz nie ma pieniędzy na wynajęcie robotników. Wespół tedy ze swym towarzyszem, Godlewskim, podczas mrozów, dochodzących do 40 stopni, rąbie lód grubości metra, zarzuca sieci i wyciąga różnego gatunku ryby, które własnym przemysłem konserwuje dla badań. Zarazem za pomocą sondy wydobywa z dna jeziora próbki ziemi i najróżnorodniejsze gatunki zwierzątek. Stąd to powstały bogate kolekcje w muzeum irkuckiem, zachwycające specja-

listów. Część tych zbiorów znajduje się w Warszawie i Lwowie.

W roku 1873 postanawia Dybowski przenieść się razem z Wiktorem Godlewskim i Michałem Jankowskim na Ajgun i Amur. I znowu nie zraża go brak środków. Sam buduje łódkę i płynie do Błagowieszczeńska, przyczem nieraz z powodu mielizny ciągnie łódkę po piachu. Wreszcie udaje się statkiem do Władywostoku dla badania fauny Oceanu Spokojnego. Tu nie chciano im ułatwić wyjazdu łódką na ocean. Pragnąc jednak zbadać głębiny pomiędzy brzegiem Lodowym i Japonją, zamieszkali w zatoce Striełok, w lepiance nad brzegiem morza Mandżurskiego i przepędzili tam rok w zupełnem odcięciu od świata.

Lecz są to tylko drobne epizody wielkiej epopei uczonego. Mógłby je opisać jakiś Jack London albo Józef Conrad, ukazując niepospolitą postać uczonego tułacza, który w gorączkowym niepokoju, w warunkach najgorszych, wśród niezliczonych przeszkód, w trudzie i mozole, pełni jednocześnie dwie misje: naukową i humanitarną. Bo i o tej drugiej wspomnieć należy, jednako bowiem była wzruszająca i piękna.

Ten człowiek, sercem wielki, wszędzie, gdzie się zjawił, niósł ulgę cierpiącemu bliźniemu. Na Kamczatce, naprzykład, jako lekarz, urządził leprozorja dla trędowatych. Na Wyspach Komandorskich spełnił dobre dzieło: projektami i namową spowodował przesiedlenie tam jeleni i koni, aklimatyzację królików i kóz domowych, dzięki czemu ulżył ciężkiej doli mieszkańców tych wysp, którzy przedtem wegetowali w najskrajniejszej nędzy. Czczą tam do dziś jego imię.

Oto człowiek. Postać prawdziwie wielka we wzniosłości swego ducha. Jeden z tych, którzy podnoszą godność i szlachetność rodzaju ludzkiego. Jedno ze świateł duchowych, któremi naród chlubić się może.

TOMASZ MASARYK. W dwóch tylko państwach europejskich szefami państwa są znakomici uczeni: w Polsce i Czechosłowacji. Obadwaj pod tym względem do siebie podobni, że nauka nie oderwała ich od najżywotniejszych spraw narodu, że połączyli twórczy wysiłek intelektu, wznoszącego się w wysokie regjony zagadnień naukowych, z pracą realną, polityczną i społeczną.

Kiedy Archimedes kreślił na piasku swoje figury geometryczne, nie wiedział, że już Syrakuzy zajęte przez wroga, dopiero nóż żołdaka rzymskiego uprzytomnił mu grozę sytuacji. Ale Archimedes zdążył tylko powiedzieć swe nieśmiertelne: „Noli me tangere!“ i zginął. Wielki Lavoisier robił swoje odkrycia naukowe podczas najgorętszych dni rewolucji francuskiej, całkowicie zatopiony w pracach laboratoryjnych. Renan pisał „Djalogi filozoficzne“ podczas oblężenia Paryża i, zamknąwszy szczelnie okna, starał się nie słyszeć huku armat. Wielkiej to wymaga miłości dla nauki. Ale żeby tę miłość połączyć

z trudem pracy i walki dla dobra ojczyzny, żeby długie dziesiątki lat, nie porzucając świata myśli naukowej, pełnić jednocześnie służbę patrjotyczną drogą ofiar i poświęceń, ogromnego na to trzeba hartu, ogromnej siły ducha.

Tomasz Masaryk daje przykład takiej siły. Dzieje życia tego człowieka są tak nadzwyczajne, niepospolite, fascynujące, że zasługują na pióro Plutarcha. Jako uczony, dał światu ogrom pracy duchowej, jako działacz polityczny należy do największych ludzi naszych czasów. I pomyśleć, że wyszedł z najuboższego środowiska, że to był kiedyś czeladnik ślusarski. Ale już wtedy czytał książki, które kochał gorąco. W ciągu dnia wyrabiał podkówki i gwoździe do butów, wieczorami i nocami czytał książki. Istnieje w pewnych ludziach jakiś ogień święty, jakieś spontaniczne przez nikogo niewywołane dążenie do osiągnięcia wyższego poziomu ducha. Wola duchowego bogacenia się towarzyszy takim ludziom przez całe życie. Towarzyszyła też Masarykowi od najwcześniejszej młodości. Z czeladnika ślusarskiego awansował na kowala i już doskonale robił podkowy, ale jednocześnie kształcił się z zapałem, tak że „awans" następny wyglądał inaczej: z kowala przedzierżgnął się w nauczyciela ludowego. A potem — wyższe studja, Akademja nauk orjentalnych, tytuł doktora filozofji, katedra. Wreszcie — po latach walki politycznej, najbardziej wytężonej i ofiarnej podczas wielkiej wojny — były czeladnik ślusarski staje na czele wskrzeszonego państwa.

Życiorys Tomasza Masaryka jest niezmiernie pouczający, niesie lepsze i silniejsze sugestje pedagogiczne, niż setki i tysiące opowiastek moralnych. Jest to przykład wzorowy potęgi woli jednostki, jej możliwości zdobywczych, jej ekspansji i obszaru jej wpływów.

I pod innym jeszcze względem życie i karjera Tomasza Masaryka godne są najpilniejszej uwagi. Czechosłowacja, jeden z najbardziej demokratycznych krajów świata, powołała go na najwyższe w państwie stanowisko i otacza go głębokiem uwielbieniem. Jeden to z dowodów, że demokracja potrafi należycie ocenić wartość jednostki wybitnej. Mamy dość dowodów, że fałszywy jest zarzut stawiany demokracji, jakoby stwarzała groźną dla kultury społecznej „niwelację", jakoby odsuwała od rządów jednostki najbardziej wartościowe i powoływała miernoty na naczelne w państwie stanowiska. Nie jest tak. Stanowisko i rola Tomasza Masaryka, chluby demokracji, również przeczy tym zarzutom.

WIELCY EMIGRANCI. Bolesna to rzecz dla narodu hiszpańskiego, że największa chluba Hiszpanji, Blasco Ibanez, prześladowany i wielokrotnie w swej ojczyźnie więziony, umarł na ziemi obcej, jako — po latach wygnania — dobrowolny już emigrant. Blasco Ibanez, jak i jego rodak, znakomity Miguel de Unamuno, nie chciał korzystać z łaski dyktatora, który „pozwalał" mu wrócić do ojczyzny. On to bowiem właśnie, wielki pisarz, nie dał „amnestji" dy-

ktatorowi. Testament Blasco Ibaneza zawierał zdanie: „Ani żywy ani umarły nie chcę wracać do Hiszpanji, dopóki panuje tam obecny system rządów, a to tembardziej, że przewiezienie mnie tam przysporzyłoby chwały moim wrogom“.

Blasco Ibanez był gorącym patrjotą. Z powodu swych przekonań demokratyczno-republikańskich, nie byłby nigdy prowadził walki z rządem hiszpańskim poza granicami swego kraju, choćby ten rząd reprezentował skrajnie odmienny kierunek polityczny. Tak samo, jak w dawnych latach swojej działalności politycznej, tak i później byłby Blasco Ibanez walczył w granicach ojczyzny dla zwycięstwa swego credo. Rodzą się wszelako warunki, kiedy już walka nie da się pomyśleć, chyba na terenie podziemnego spisku. Tej drogi Blasco Ibanez obrać nie chciał. Kiedy nad życiem kraju zaczyna panować terror i despotyzm, nie uznający wolności sumienia i myśli, dwie są tylko drogi walki: w podziemiach ojczystych, albo też na emigracji. Z bólem uciekają się do tej ostatniej patrjoci.

Po wszystkie czasy emigracja polityczna rodziła się tam, gdzie panowało albo obce jarzmo, albo rodzima tyranja. Tak samo opuszczali ojczyznę najwybitniejsi patrjoci w epoce Sulli i Cincinatta, jak za czasów naszych.

Mamy dziś w Europie trzy emigracje polityczne: włoską, hiszpańską i rosyjską. Więc z krajów, gdzie dyktatura nie dopuszcza do głosu swoich przeciwników, prześladuje ich, tępi, więzi, skazuje na wygna-

nie. Gdyby w Hiszpanji istniała możliwość walki legalnej, Blasco Ibanez byłby wrócił do ojczyzny.

Emigrantom politycznym, rosyjskim, włoskim i hiszpańskim nie można brać za złe, że nie chcą wracać prosto do więzienia, innego bowiem miejsca niema dla nich w ojczyźnie, dopóki nie nastąpią tam zmiany bardzo duże.

Kiedyś nastąpią. Kilka lat temu, skazany na wygnanie Miguel de Unamuno, ostatnią przed wygnaniem prelekcję uniwersytecką poświęcił analizie tekstów greckich i łacińskich o nadużyciach tyranji. Przed wzruszonem audytorjum (młodzież akademicka hiszpańska słuchała zawsze wykładów de Unamuno z entuzjazmem, co nadewszystko nie podobało się dyktatorowi) przesunęły się postacie wielkich ofiar ostracyzmu — Arystedesa, Phyrrusa, Temistoklesa, Korjolana, Marjusza, Kamillusa. Unamuno przypomniał, jak to Kamillus w rozżaleniu wielkiem, patrząc po raz ostatni na Kapitol, przeklinał Rzym, a jak, przeciwnie, szlachetny Arystydes, żegnając Ateny, prosił bogów, by za jego krzywdę nic złego nie spotkało ateńczyków. I, uśmiechając się zakończył Unamuno swój pożegnalny wykład: „Nad czem z tego miejsca zastanowimy się niebawem“...

LEW TOŁSTOJ. Może to nie będzie bez moralnego pożytku, jeżeli z powodu setnej rocznicy urodzin Lwa Tołstoja świat myślący i czujący zastanowi się ponownie nad wartością jego dzieła.

Sumienie przedwojennego świata mówiło, płakało, krzyczało najdonośniej w pismach tego mocarza słowa.

Powiedziano o nim: prorok z Jasnej Polany. Czy głosił jakieś nowe prawdy? Czy dał ludzkości nową religję? Czy ustawił nieznane przedtem drogowskazy etyczne? Nie. Ani z natchnień mistycznych, ani z myśli filozoficznej, ani z nauk moralnych nie wysnuł nowego dogmatu, by go zalecić rodzajowi ludzkiemu, jako niezawodny ratunek, światło zbawienia, prawdę ponad prawdy.

Czemu tedy przez długie lata stał w rzędzie wodzów duchowych nietylko swojego narodu? Czemu Jasna Polana stała się miejscem pielgrzymek, czemu tam szli ludzie z najdalszych krajów? Przecież nie szli do artysty, chociaż był jednym z największych. Uwielbienie, jakiem był otoczony płynęło z wdzięczności sumień, które doznawały ulgi. Jest gdzieś, żyje, przemawia potężnie człowiek wielki, a słowa jego zdają się posiadać moc liry amfjońskiej, która poruszała kamienie. Ktoś duchem ogromny protestuje, rzuca klątwę na wszystkie bezeceństwa świata, zdziera maski kłamstwa, zbrodni i łupiestwa, neguje wszystkie oficjalne nauki, udzielane maluczkim przez możnych, ukazuje prawdziwy obraz życia ludzi w świetle dziesięciorga przykazań, obraz tragiczny w kontraście pomiędzy tem, na co człowiek zdobył się w pragnieniu, a na co w rzeczywistości ludzkiej.

Z Jasnej Polany szedł głos przerażonego sumie-

nia, które szuka dróg wyjścia z dna nędzy moralnej i gotuje sąd nad wszystkiem, co ludziom niesie krzywda i niesprawiedliwość.

Gdzie to wyjście? Nadewszystko w poczuciu odpowiedzialności za to, co się dzieje, a więc nasamprzód w ekspjacji, w skrusze. Od aktów skruchy rozpoczęła się właśnie praca moralna Tołstoja nad samym sobą po latach hulaszczego życia. Jeszcze po zabawach, opuszczając Petersburg, wziął ze sobą muzyka pijaka, ale już niebawem tu, na wsi, przyszły dni przełomu i reakcji, namysłu i lęku młodzieńca, który usłyszał głos swego sumienia. A jednym z pierwszych protestów sumienia była sprawa „odpowiedzialności wobec Boga za życie siedmiuset niewolników“, którymi rozporządzał (przed zniesieniem pańszczyzny, które nastąpiło w roku 1861). Skrucha wobec uciemiężonych, upośledzonych, biednych odzywać się będzie coraz silniej w pismach i czynach Tołstoja. Wielu też bohaterów jego powieści po mękach sumienia, po rozterkach moralnych, po rozmyślaniach filozoficznych oczyszcza swoją starganą duszę przez skruchę wobec ludzi pokrzywdzonych. Tak Niechludow w „Zmartwychwstaniu“ rozdaje chłopom ziemię, porzuca swoją sferę i żeni się z prostytutką Katjuszą Masłową. Tak Olenin oddaje się marzeniom o małżeństwie z kozaczką Marjanną („Kozacy“), tak też Lewin znajduje ukojenie w obcowaniu z ludem („Anna Karenina“).

Była to epoka „schodzenia“ do ludu. Przeżywamy dziś zgoła inne czasy: nie aktów skruchy idących

od góry, ale walki zwycięskiej idącej od dołu, który zmienił się i który dyktuje swe żądania zalęknionej górze. Lecz nie zmniejsza to wartości moralnej dawnych ekspjacji. Zwłaszcza, że zawierały w sobie protest przeciw wszelkiej krzywdzie, nietylko tej, która dzieje się ludowi. W swych pismach społecznych, politycznych, religijnych, uderza Tołstoj we wszystkie instytucje państwowe, występuje przeciw sądom i więzieniom, przeciw klerowi, przeciw wojnie, przeciw państwu nawet, popadając niekiedy w anarchizm i najkrańcowszą negację, w jaką zresztą popadały największe serca ludzkie.

Źródłem sławy Tołstoja był, rzecz prosta, jego potężny talent. Ale słowo „prorok" padło z innego powodu. Nie zasłużyłby na nie mistrzowski batalista, który tak nieporównanie maluje obrazy wojenne („Wojna i pokój"), ale zasłużył wróg wojny. Nie strona artystyczna w opisach przytułków, domów noclegowych, więzień i szpitali w „Zmartwychwstaniu", ale ogrom cierpienia, krzyk zrozpaczonej duszy był legitymacją jego wielkości moralnej.

Ten prorok również nie dał sobie rady ze światem. Może to uczucie pchnęło go w ostatnich dniach życia do opuszczenia nawet najbliższych. Tołstoj idący do klasztoru, a stamtąd do „duchoborców" i umierający po drodze ostatniej wędrówki, to jeden z najbardziej dramatycznych gestów życia.

Jakby dla ironji powstała fałszywa legenda o jego nauce, o tem, że jakoby zalecał „nieprzeciwstawiać się złu". Sam prostował to kłamstwo, przypo-

minając swoje słowa o „nieprzeciwstawianiu się złu przez zło". Fałszywa legenda jeszcze krąży, lecz nie zabije prawdy o potędze jego walczącego sumienia.

TWÓRCZE BURZYCIELSTWO. Dnia 30 maja 1928 roku minęło 150 lat od śmierci Woltera.

Już się dzisiaj jego pism nie czyta, dramatów nie wystawia, może jeszcze tylko jego „Powiastki filozoficzne" ten i ów weźmie do ręki, uśmiechnie się i przy okazji przypomni sentencję Kandyda, że przecież najgłębszą mądrością i radością życia jest uprawiać swój ogródek...

Ale te właśnie „Powiastki" oraz inne publikacje Woltera, które wydają się nam dzisiaj zbiorem żartów, łagodną raczej satyrą na możnych tego świata, wówczas były... dynamitem rozsadzającym twierdze przesądów, były zwiastunem przełomu w pojęciach, zapowiedzią Wielkiej Rewolucji francuskiej.

Jeżeli dziś, czytając pisma Woltera, dziwimy się, czemu to budziły one tak straszliwy gniew jednych i taki entuzjazm innych, to w tem zdziwieniu wyraża się postęp świata: dziś tu już niejeden z bojów tytanicznych Woltera byłby niepotrzebny, pewne bowiem zasady, wówczas rewolucyjne, legły u podstaw zbiorowego życia. Naprzykład — tolerancja religijna. Uważamy tę zasadę za elementarnie słuszną, rozumną, niezbędną. Dużo krwi musiało się polać, dużo ofiar zginąć w męczarniach, dużo zmian nastąpić w umysłach, żeby ta zasada zwyciężyła. Wpraw-

dzie wolterowskie hasło „Ecrasons l'infame" nie zostało jeszcze zrealizowane w pełni, ale pewna suma zła, niesprawiedliwości, fanatyzmu i zbrodni, jest z życia usunięta. Już nie dadzą się pomyśleć procesy takie, jak Jana Calasa i kawalera de la Barre, torturowanych publicznie kilka godzin, kilka razy cuconych i wreszcie spalonych na stosie — niewinnie, jako ofiary zbrodni sądu i przesądu.

Czy protesty Woltera w takich sprawach zakładane, czy słowa jego, które wstrząsały sumieniami, budziły niepokój, ratowały człowieczeństwo pokolenia, czy ta zasługa zmalała w historji? Wielkość duchów takich, jak Wolter, żyje w skutkach ich dzieła, nie pomniejsza się nigdy, choćby ich pisma straciły t. zw. żywotność. Zresztą — jedne zbrodnie znikły, ale są, dzieją się inne, przeto ów duch buntu przeciw niesprawiedliwości, którym Wolter i jemu podobni zarazili ludzkość, nie stracił swych racji.

Jakże niepoważnem, nawet śmiesznem wydaje się to... lekceważenie, z jakiem o Wolterze pisze jeden z naszych z dzienników konserwatywnych: „Czas jest sędzią sprawiedliwym i nieubłaganym. Wyroki współczesne zostały skasowane, a Wolter został ze swego piedestału strącony i przestał być tytanem". W ocenie Woltera zapomniano tu o kryterjum perspektywy historycznej. Kto był wielki na tle swej epoki, kto był tytanem takim, jak Wolter, nie zostaje „strącony z piedestału", przeciwnie, im więcej rzeczy przezwyciężyło się w historji, tem większa zasługa tamtych, już „niepotrzebnych"...

Dlatego nie „razi" nas sąd Goethego o Wolterze, jako o „najbardziej podziwu godnym tworze natury".

Pięćdziesiąt lat temu, w setną rocznicę śmierci Woltera, mówił o nim Wiktor Hugo: „Wolter wypowiedział wojnę wszystkim sprzymierzonym ze sobą krzywdom społecznym, przyjął bitwę ze światem straszliwym i okropnym. Ale broń jego miała lekkość wiatru i siłę piorunu: bronią było pióro. Wolter prowadził wojnę wspaniałą, wojnę jednego przeciw wszystkim, wojnę myśli przeciw materji, rozsądku przeciw przesądom, prawa przeciw krzywdzie, wojnę uciemiężonych przeciw ciemięzcom, wojnę w imieniu dobroci".

Jak za życia Woltera, tak i dziś jeszcze, po stu pięćdziesięciu latach, słyszy się często ów najcięższy rzekomo ze stawianych mu zarzutów, że był tylko burzycielem, że żył negacją, że nie dał wartości pozytywnych. Sam Wolter odpowiedział na to, jak nie można lepiej: „Zabijam hydrę, która was pożera, a wy pytacie, co wam za to daję".

Zapewne, nie każde burzycielstwo jest twórcze, nie każda negacja rodzi postęp, ale są destrukcje i sprzeciwy uszlachetniające ludzkość, otwierające jej drogi lepszego, mądrzejszego jutra.

O JANIE JAKÓBIE ROUSSEAU. Minęło dnia 2 lipca 1928 roku 150 lat od zgonu Jana Jakóba Rousseau, a pamięć jego wciąż jeszcze prześladują te plotki i dowcipy, które wszystko, co napisał, uka-

zują szerokiej opinji w formie wypaczonej lub wręcz w karykaturze.

Ukochanie natury? Wezwanie do cofnięcia się z dróg, które oddalają nas od piękna przyrody? Nawrót do prostoty obyczajów i prostoty potrzeb? Duch złośliwości i karykatury odpowiedział najpierw słowami Woltera, który wielkiego Genewczyka nie lubił: „Nigdy jeszcze nikt nie zużył tyle dowcipu, aby nas zrobić zwierzętami: czytając pańską książkę, ma się ochotę biegać na czterech łapach". Z dążeń do uszlachetnienia życia — efekt teorji zalecającej powrót do stanu zwierzęcego. I po dziś dzień nie przez złośliwość świadomą, jak to czynił Wolter, lecz przez nieświadomość wspomina się o Rousseau, jako o wrogu nauki. Materjału do wypaczeń w tej mierze dostarczył Rousseau sporo w „Wyznaniach", najwięcej zaś w odpowiedzi na konkurs Akademji w Dijon: „Czy postęp nauk i sztuk przyczynia się do zepsucia czy uszlachetnienia obyczajów?" (Odpowiedź ta dała mu początek wielkiej popularności.) W jaskrawych paradoksach atakuje Rousseau wszystkie nadużycia nauki w czynach niemoralnych i przeciwstawia tym nadużyciom zacność i prostotę niewiedzy.

Wychowanie „naturalne"? Niegwałcenie indywidualności dziecka? Wszystkie myśli zawarte w dziele „Emil czyli o wychowaniu" (r. 1762) usiłowano odeprzeć również przez karykaturę i dowcip, jak, naprzykład, popularne już za życia Rousseau powiedzenie, że jego Emil, który do dwunastego roku życia nie brał lekcji i rozwijał się „naturalnie", najchętniej oddałby całą Akademję Nauk Ścisłych za jedno dobre ciastko. Wyłuskiwanie paradoksów, krańcowości, powiedzeń przesadnych z „Emila", a co za tem idzie ośmieszanie poglądów Rousseau szło na rękę tym, którzy te właśnie poglądy chcieli zgładzić w zarodku. Książkę tę spalił na stosie kat Paryża, spełniając wyrok sądu najwyższego. To samo zajęcie miał kat w Genewie. Sam autor musiał z Francji uciekać. Bowiem „Emil" podrywał wszystkie racje autorytetów ówczesnych. Dość powiedzieć, że Rousseau zalecał swobodny wybór religji po piętnastym roku życia. Albo dość przypomnieć, że w dziele tem, jak i w innych, rozwija swój pogląd na dobroć i czystość natury człowieka, która paczy się dopiero wskutek warunków społecznych, a pogląd taki nie godzi się z nauką Kościoła o grzechu pierworodnym. Ani jednak kaci paryski i genewski, ani liczne repliki w broszurach ówczesnych („Anti-Emil", „Nowy Emil", „Emil chrześcijański" i in.), ani błędy samego Rousseau — nic nie osłabiło jego ogromnego wpływu w dziejach nauki o wychowaniu.

Równość? Tu dopiero pole do wypaczeń, drwin, niedorzecznych zarzutów. „Przecież" sama natura czyni ludzi nierównymi w ich organizmie fizycznym i w ich inteligencji. Do dziś słyszy się ten „zarzut" w rozmowach o demokracji. Rousseau nie pisał o równości „naturalnej", lecz o równości wobec prawa. „Jest to — powiada — oczywiście przeciwne prawu natury — jakkolwiek je określimy — ażeby

dziecko rozkazywało starcowi, ażeby głupiec władał mędrcem". Lecz jeszcze coś — zdaniem Rousseau — przeczy „naturze": „Gdy garść ludzi dusi się w zbytkach, podczas gdy głodny tłum niema najkonieczniejszych rzeczy". Albo: „Czyż wszystkie korzyści społeczne nie są tylko dla możnych? Biedny pewny być może najsroższej kary za najbłahsze przewinienie, a możny najbłahszego wymiaru kary za najcięższą zbrodnię. Czem więcej ludzkość dłużna jest biednemu, tem więcej odmawia mu społeczeństwo". („O pochodzeniu i podstawach nierówności między ludźmi", rok 1753).

Nienaturalność społecznej nierówności dobrze odczuwał sam Rousseau, syn ubogiego zegarmistrza, terminator u rytownika, potem tułacz i włóczęga, następnie lokaj pani de Varcelis, posiadający więcej wiedzy, niż ona i wszyscy jej arystokratyczni goście razem wzięci, uczył się bowiem, czytał nieustannie, już jako dziecko znał Plutarcha, a jako terminator, pochłonął całą sąsiednią wypożyczalnię książek. Oto lokaj, nierówny w prawach ze swoimi chlebodawcami! Pisma jego o równości, jak niczyje przedtem, sugestjonowały — już po jego śmierci — lud zrewolucjonizowany, choć on sam rewolucjonistą nie był i wzdrygał się na myśl o gwałcie. Lecz rewolucja francuska znalazła w jego naukach podstawę moralną przewrotu, argument etyczny najsilniejszy: że w zmianie warunków społecznych narodzi się wolność ludzi w naturze swej dobrych, sprawiedliwych, szlachetnych, lecz dotychczas przez niedobry

ustrój deprawowanych, — że narodzi się szczęście powszechne i harmonja.

„Umowa społeczna" Rousseau (rok 1762), wielki wykład o zasadzie zwierzchnictwa narodu, o uznaniu woli większości, o udziale powszechności w akcie ustawodawczym, była niewątpliwie jedną z silniejszych podniet rewolucji. Ale już wtedy pamięć Rousseau przeklęta była w świecie arystokratycznym. Choć były czasy, kiedy arystokratki francuskie zazdrościły jego kochance, hrabinie d'Houdetot. Z uczuciem największej grozy patrzyła przerażona i zmaltretowana arystokracja na przeniesienie zwłok Jana Jakóba Rousseau z Ermenonville do Panteonu (rok 1794). Tam spoczywały w majątku margrabiego de Girardin, tu stały się własnością ludu, który walczył o sprawiedliwość i równość. Nie dziw, że o tym drugim pogrzebie, urządzonym przez jakobinów, mówiono rzeczy okropne. Plotkę historyczną o „tłumie pijanych zbirów", którzy stanowić mieli kondukt, powtarza jeszcze po 134 latach jedno z pism warszawskich, jak się można domyśleć, reakcyjnych.

Dopóki Rousseau był uważany tylko za szlachetnego marzyciela, wywoływał w liberalizującej arystokracji uznanie, nawet zachwyt, nawet entuzjazm. (Pod wpływem „Emila" wytworne panie kazały sobie przynosić do loży w operze swoje niemowlęta i tam je karmiły...). Ale potem, kiedy lud zaliczył go do swoich wodzów duchowych, a z pism jego czerpał pokarm ideowy, wszystkie na świecie

twierdze reakcji uznały go za złego ducha, za największego szkodnika.

Godzi się pamiętać, że Rousseau był gorącym przyjacielem Polski. Podczas, gdy tacy ówcześni tytani myśli, jak Wolter, Diderot, d'Alembert odnosili się do losów Polski w najlepszym razie obojętnie, wielbili zaś Katarzynę i Fryderyka, Rousseau stanął w obronie wolności gwałconego narodu, a na dowód swej przyjaźni i na życzenie posła konfederacji Barskiej w Paryżu, Michała Wielhorskiego, napisał rzecz p. t. „Uwagi o rządzie Polski", pełne gorącej troski o dobro i o byt niepodległy narodu polskiego. Znajdujemy tu rady dla dni dzisiejszych nieprzydatne, ale również wskazówki wieczyście słuszne.

BŁĄD P. DE MONZIE. Książka p. senatora de Monzie p. t. „Destins hors series" zdobyła rozgłos zarówno dzięki wybitnej roli, jaką autor gra w życiu politycznem Francji, jak i z tego powodu, że pisze z talentem. Tu poznać możemy wszystkie uroki publicystyki francuskiej, kulturę europejskiego pióra, dowcip polemiczny, rozległą wiedzę i ożywczy zapał.

W obszernym wstępie p. de Monzie wznawia dyskusję nad starem zagadnieniem: jakie znaczenie w dziejach ludzkości mają jednostki? czy jednostki tworzą bieg historji czy też są tylko jej narzędziem? Wszystko już na ten temat zostało powiedziane. Od czasów Hipolita Taine'a i jego teorji „środowiska", socjologowie jaknajdokładniej prześwietlili zagadnienia przez tę teorję wysunięte. Lecz sprawę, nie nową,

chciał p. de Monzie zilustrować przykładami z dzisiejszego, powojennego świata. Trzyma się przytem mocno tezy antytainowskiej: historję tworzą wielkie jednostki, w ich rękach spoczywają losy narodów, ich wola, ich genjusz jest motorem dziejów. W czasach zaś dzisiejszych widzi p. de Monzie „wielki rewanż indywidualizmu", odrodzenie autorytetu jednostki-wodza.

W dyskusji nad każdem zagadnieniem społecznem i historjozoficznem zarysowują się natychmiast stanowiska krańcowo rozbieżne. J. de Pierrefeu, naprzykład, w głośnej książce „Anty-Plutarch" broni tezy wręcz przeciwnej, niż p. de Monzie: potęga jednostek jest, jego zdaniem, tylko „mirażem, za którym uganiają się narody, przypisując swoim wodzom rolę nienaturalnie wielką". Pan de Pierrefeu wzywa do rehabilitacji zbiorowości, istotnej sprężyny dziejów.

Walkę tez rozbieżnych można prowadzić bez końca, a historja jest dość bogatym magazynem argumentów na wszelkie potrzeby. Ktoś całe zagadnienie zamknie w wyrazach: Aleksander Wielki albo Napoleon. Kto inny powoła się na namiętności mas, na żywioł zbiorowy. Jeden sprowadzi sens dziejów do „nosa Kleopatry", drugi jednostkom odmówi roli przeistaczającej życie narodów. Spór ten jest naogół jałowy, a prawda — pośrodku. Jednostka, nawet najpotężniejsza, nic zdziałać nie może w zupełnem oderwaniu od tła warunków społecznych, masy zaś nie działają bez wodzów.

P. de Monzie, kreśląc szereg sylwetek polityków współczesnych, zdaje się ulegać pewnemu złudzeniu: w niezwykłości losów danej jednostki widzi niezwykłość jej samej. Życie człowieka może być pełne wydarzeń niezwykłych, a on sam — kimś nienadzwyczajnym. Taką uwagę nasuwa większość sylwetek, skreślonych w książce p. de Monzie. Nie dojrzymy cech wielkości w Stambolijskim, którego „męczeńska demagogja“ miała nadzwyczajną historję. Ani w osobie Essad-paszy, który „odegrał w dwudziestym wieku wspaniałą rolę kondotjera XV stulecia“. Ani w Żabotinskim „konkwistadorze ziemi obiecanej“. Ani w Primo de Riverze z jego „uśmiechniętą karjerą“. To samo da się powiedzieć o Józefie Caillaux, o Rakowskim i innych.

P. de Monzie w zakończeniu wstępu nadmienia, że charakterystyka postaci takich, jak Mussolini, Lenin i Kemal-pasza „nie zmieściłaby się w tych rozdziałach“. O nich też nie pisze.

To są „ci najwięksi“. Niewątpliwie — bez porównania więksi, niż szereg postaci z kolekcji p. de Monzie. Z tej samej racji nie należało do niej włączać sylwetki Józefa Piłsudskiego. P. de Monzie pisze o Marszałku Piłsudskim z entuzjazmem, ale nie zdaje sobie sprawy, że już zbyt wielki czyni zaszczyt innym postaciom w tej książce opisanym, skoro uważa, że charakterystyka Marszałka Piłsudskiego tak samo, jak tamtych, da się w rozdziałach książki „zmieścić“. Marszałek Piłsudski znalazł się w źle dobranem towarzystwie. P. senator de Monzie popełnił błąd.

RÓŻNE SPRAWY

DWIE TEZY. Stare, odwieczne pytanie: czy wzrost potrzeb, a co za tem idzie, rozwój, bogacenie urozmaicanie produkcji, sprzyja zwiększaniu szczęśliwości ludzkiej? — stało się w czasach ostatnich szczególnie żywotne, proces bowiem owego wzrastania potrzeb i ich zaspakajania odbywa się w tempie, którego szybkość jest nieznana dziejom. Widzimy na świecie całym ogromne spotęgowanie się pożądań wszystkiego, co niesie udogodnienie i uprzyjemnienie życia. Coraz większe rzesze ludzkie wkraczają na drogę już nietylko walki o byt, lecz walki o użycie, o zdobycie wszystkich dóbr kultury i cywilizacji, o rozkosze zbytku. Samo zresztą pojęcie zbytku zmienia się nieustannie: to, co wczoraj uchodziło za zbytek, dziś wydaje się rzeczą niezbędnego użytku. Względność tych pojęć ilustrują warunki lokalne poszczególnych krajów. Ani robotnik amerykański, posiadający automobil, ani robotnik angielski, który ma w swojem mieszkaniu łazienkę, nie uważają tych zdobyczy za luksus.

Producent nietylko czuwa nad bezzwłocznem zaspokojeniem coraz to nowych wymagań konsumenta, ale nadto usiłuje wywołać w nim potrzeby daw-

niej nieznane. W Ameryce fabrykanci gumy do żucia potrafili przez odpowiednią reklamę wmówić w miljony ludzi, że ten produkt jest zdrowy i hygjeniczny. Amerykanin zaczął żuć gumę, przerodziło się to wkrótce w potrzebę, chociaż żucie gumy nie ma nic wspólnego ze sprawą zdrowia, a najczęściej i z hygjeną. Wywoływanie, narzucanie nowych potrzeb widzimy najlepiej w świecie mody.

Współrzędnie z zaspakajaniem wciąż nowych wymagań, rodzą się natychmiast inne pożądania. Stąd pytanie, postawione i badane przez wielu dzisiejszych myślicieli: czy nie zmniejszamy szczęśliwości naszej przez niepokój zarówno w stwarzaniu nowych potrzeb, jak i w potęgującem się uczuciu nienasycenia, czy tedy postęp cywilizacji współczesnej nie staje pod znakiem zapytania, jeśli pojęcie postępu nie może przeczyć uczuciu zadowolenia i szczęścia?

Zagadnienie to nie wkracza rzecz prosta, na teren, gdzie panuje nędza, gdzie niema minimum warunków ludzkiej egzystencji. Tam chodzi nie o użycie, lecz o byt, o walkę z głodem, chłodem i nieodłączną ich towarzyszką — chorobą. Poniżej t. zw. „Minimum-Existenz" nie istnieje kwestja, która nas interesuje. Dopiero po zaspokojeniu potrzeb elementarnych rodzi się ów pęd ku nieustannemu podnoszeniu skali życiowej.

Dążenie to przenika do wszystkich sfer społecznych. Coraz szybszy proces demokratyzacji potrzeb wywołuje nowe systemy produkcji, wyraża się w t. zw. standardyzacji, ujednostajnieniu typów przed-

miotów wytwarzanych dla tem łatwiejszego ich rozpowszechnienia, do czego przyczynia się szybkość produkcji i taniość przedmiotu „standardyzowanego". Stąd też zaznaczająca się w pewnych dziedzinach przewaga cywilizacji „ilościowej" nad „jakościową".

Wśród tych ekonomistów i socjologów, którzy nie poprzestają na badaniu zjawisk społecznych, lecz pragną wywierać wpływ na nasze pojęcia, dążenia, upodobania, na nasz sposób życia, walczą dwie tezy. Jedni nawołują do wyjścia z błędnego koła, w którem skazujemy się na klątwę nienasycenia, inni uważają, że — przeciwnie — owo nienasycenie jest twórczą podnietą rozpędu cywilizacyjnego, wznoszącego nas na coraz wyższe poziomy życia i dającego sumę zadowoleń, które kompensują nasz choćby dotkliwy niepokój w ciągłem dążeniu do nowych przyjemności i udogodnień. Pierwsi zalecają ograniczenie potrzeb materjalnych człowieka na rzecz spokoju i na korzyść spraw duchowych, potępiają „walkę o nic", która tyle pochłania energji, drudzy chwalą nienasycenie świata ludzkiego, jako źródło ambitnego i coraz bardziej twórczego postępu.

Dwa te, krańcowo odmienne światopoglądy, znalazły wyraz w licznych rozprawach pisarzy współczesnych. Mogą nas interesować te tylko publikacje, których autorzy mają na względzie dobro ogólne. Właściciel ziemski, który pragnąłby utrzymać swoją służbę folwarczną na najniższym poziomie życia, może to swoje pragnienie upiększyć argumentami

najwznioślejszego ascetyzmu, ale będzie to tylko filozofja pugilaresu, fałsz i komedja.

Nienasycenie, potrzeba rzeczy nowej, żądza odmiany we wszystkiem, wyrafinowanie w udogodnieniach życia, wszystko to pochłania ogromną sumę energji. Myśliciel niemiecki, Walter Rathenau, nazywa zużywanie energji na te cele „walką o nic". W znakomitem dziele „Von kommenden Dingen" skreślił obraz tej walki, bolejąc, że miljony ludzi pracuje w pocie czoła, by wytwarzać, rozwozić i sprzedawać rzeczy zbędne, inne miljony pracują ciężko, by je móc nabyć, a inne znów cierpią, beznadziejnie tych rzeczy pożądając. Niepodobna uwierzyć — pisał Rathenau — by mogło tak trwać wiecznie, ludzkość zmądrzeje, zmęczy się nieumiarkowaniem, zatrzyma wzrost potrzeb materjalnych, obróci energję w kierunkach wskazanych przez rozum. Rathenau zastanawia się nad społecznymi i gospodarczymi skutkami powszechnej tragedji nienasycenia i widzi tu jedną z najsilniejszych przyczyn niepokoju, gorączki, bezładu i chaosu. Sądzi, że na tej pochyłości zatrzymamy się, pod grozą rozkładu wszystkich norm moralności i kultury, wierzy, że racje rozumu mogą odnieść zwycięstwo nad irracjonalną grą żywiołów ludzkich.

Mniej zdaje się w to wierzyć głośny pisarz włoski, Gugliemo Ferrero, który w książce p. t. „Przemowa do głuchych" dużo miejsca poświęca zjawisku gorączkowego wzrostu potrzeb. Ferrero analizuje błędne koło, w jakiem znalazła się sprawa konsum-

cji i produkcji: „Jak długo normy życia będą ruchome, tak, jak dziś, a każda zdobycz będzie wywoływała nowe pożądania, świat będzie się czuł coraz biedniejszy w miarę bogacenia się". Ferrero dostrzega tragiczną dysproporcję pomiędzy zadowoleniem w zaspakajaniu potrzeb, a głodem rzeczy nowych, który zmusza nas do pracy nadmiernej, niszczy nas, dezorganizuje, odbiera spokój.

W świetle „szaleństwa nadmiaru potrzeb i nadmiaru bogactwa" stawia Ferrero dążenia socjalizmu i komunizmu. Idea komuny społecznej wymaga, z natury rzeczy, wyrzeczeń się, poskromienia żądz, umiarkowania, wymaga ducha ofiary. Nasza epoka idzie drogą całkiem inną. Socjalizm i komunizm, wbrew swojej treści istotnej, obiecują masom wszystkie dobra kapitału. Oto paradoks — woła Ferrero do „głuchych" i wyjaśnia: „Dopóki ideałem dla mas będą jedwabne stroje, pokarmy i napoje bogatych, kapitalizm będzie panem świata. Śmiechu warta jest propaganda socjalistów, którzy chcą obalić potęgę kapitału przy pomocy doktryn Karola Marxa, jednocześnie podsycając wzrost potrzeb i pożądań mas ludowych. Państwo kapitału padnie w chwili, kiedy masy ludowe nabiorą wstrętu do zbytku, do rozrzutności i rozpusty ludzi bogatych. Prawdziwym i groźnym dla kapitału rewolucyjonistą byłby św. Franciszek z Assyżu. Rewolucjoniści tego typu, co panujący dziś na Kremlu, mogą być groźni dla kapitalistów, nie dla kapitalizmu. Ten ostatni byłby zagrożony w swym bycie tylko przez wielki ruch ascetycz-

ny wśród mas. Kapitaliści zbledliby wówczas w swych salonach. Lecz niech będą spokojni. Do takiego ruchu jeszcze daleko".

Niewątpliwie: konsument ograniczający swe potrzeby, jest dla kapitalizmu groźny. „Wielki ruch ascetyczny", o którym pisze Ferrero, zubożyłby rynki zbytu, zmieniłby postać społecznego życia.

Skoro już o tem mowa, trudno nie napomknąć o innym pisarzu włoskim, który rozwija całą teorję „antywitalizmu", czyli walki z wolą życia, jeśli to pojęcie ma nadewszystko obejmować pożądania fizyczne człowieka. Silvio Pagani, autor książki „Il mondo come volonta di vita e come volonta d'antivita" głosi tryumf rozumu nad zwierzęciem ludzkiem: „Nie chcę być tylko rurą przetwarzającą pokarmy!" Pagani nawołuje do zmiany całego życia, położenia kresu wzrostowi potrzeb, a nie ma to doprowadzić do abnegacji, bezwładu, nirwanizmu, lecz przeciwnie — do wielkiej pracy rozumu, do radosnego zwycięstwa ducha nad instynktami zwierzęcia. Na drodze „antywitalizmu" widzi Pagani zbawienie świata.

Jakże inaczej oceniają życie dzisiejsze ci pisarze, którzy właśnie we wzrastaniu potrzeb widzą dobry postęp rodzaju ludzkiego. Nieustanne podnoszenie skali życiowej konsumenta to kamień węgielny tej nauki, jaką głoszą producenci w rodzaju Henryka Forda. Wypróbowali ją praktycznie, przekonali się zresztą, że jest dobrem narzędziem ich własnego interesu.

Ekonomista polski, Hipolit Gliwic, w dziele „Międzynarodowa współzależność ekonomiczna a polska polityka gospodarcza" pisze: „Postęp kojarzy się ściśle z podnoszeniem skali i indywidualnych pożądań. Postęp należy upatrywać w tem, że wiele rzeczy, co wczoraj jeszcze uchodziły za rzadkie unikaty, stają się zbytkowną własnością wybranych, a jutro przeistoczą się, być może, w chleb powszedni, dostępny dla wszystkich... Oto z jednej strony Amerykanin, twórca drapaczów nieba, gorączkowo pnący się ciągle w górę, w szalonem tempie dążący wciąż naprzód i oto żyjący garstką ryżu chiński snycerz, całe życie poświęcający bezsensownej a jakże żmudnej pracy cyzelowania kilkunastu misternych jedna w drugiej wydrążonych kul z kości słoniowej. Pierwszemu wszystkiego za mało, drugiemu nic nie trzeba. Do pierwszego należy przyszłość, drugi mógłby się nie rodzić wcale. Kurczenie potrzeb indywidualnych jest oznaką upadku, wzrost ich natomiast, ich demokratyzacja — bodźcem, dźwignią postępu".

Oto dwa światopoglądy.

Kierunki „ascetyczne" zaliczyć trzeba do sfery pragnień, którym rzeczywistość przeczy. Nie powstrzymają rozpędu cywilizacji. Nienasycenie materjalne i duchowe towarzyszy wszystkim wysiłkom genjuszu ludzkiego. „Walka o nic" jest ekscesem, nałogiem i kaprysem, ale i te objawy zgodne są z naturą człowieka i domagają się zaspokojenia.

Jak zawsze, tak i w przyszłości tylko jednostki, tylko poszczególne grupy ludzkie własnowolnie urzą-

dzać będą swoje życie w sposób mniej lub więcej ascetyczny — w drodze wyrzeczeń, abnegacji lub umartwień. Nie zbraknie również tych, którzy zdobywają się na pewien umiar w systemie życia i przez to stanowią pewien czynnik równowagi.

Nie należy wszakże zapominać, że „tragedja nienasycenia“ — jeśli tragedja — już z żadnego stanowiska nie jest tak zła, tak okrutna, jak niedola tych ogromnych rzesz ludzkich, które — w oddaleniu od wszystkiego, co niesie kultura i cywilizacja — nie mogą zaspokoić swoich potrzeb elementarnych. Dopóki na świecie istnieje nędza, na „tragedję nienasycenia“ można patrzeć bez uczucia grozy.

PRZESZŁOŚĆ. Od niepamiętnych czasów rodzaj ludzki wytwarzał sobie fałszywe obrazy przeszłości, co tak dobrze widać w różnych podaniach. Niepamięć i nierozum upiększały przeszłość, jak mogły. Tworzyły legendy o tem, że kiedyś było ludziom dobrze. Legendy takie powstawały zapewne z potrzeby wiary, że świat był kiedyś lepszy i że przeto lepszy być może. To wieczyste uczucie, że „było lepiej“ odzywa się też w ludziach dzisiejszych, a więc w tych, którzy byli przecież świadkami ustania największej zbrodni: ucisku narodu. Oczywiście każdy z nich uznaje w tej zmianie zwycięstwo dobra, ale żeby móc jednak uratować coś z pochwały przeszłości, szuka jej rzekomo dodatniejszych stron w różnych sprawach i dziedzinach życia: a to w moralności publicznej, a to w obyczajach, w gniazdach rodzinnych,

w stosunkach międzyludzkich. Wszystko to fałsz, albo błąd w uogólnieniach. Niemądre są, z ignorancji, z nieznajomości dziejów płyną wszystkie klątwy, ciskane na czasy obecne. Albo z pospolitej niepamięci. Często też — z egoizmu tych jednostek, które kiedyś miały się lepiej materjalnie.

Przeszłość przedwojennego świata była straszna we wszystkich dziedzinach społecznego życia, a tam, gdzie panowała przemoc narodu nad narodem, straszna podwójnie. Mogło być tylko lepiej tej garstce uprzywilejowanych, która nie odczuwała w swem życiu prywatnem ani potworności społecznych ustroju, ani politycznego jarzma, a dla większości cierpiących miała tylko obojętność. Całokształt wszakże życia był czemś, co dziś może tylko budzić uczucie najwyższej grozy, a zarazem zdumienia, że tak być mogło w ciągu długich, długich lat, że tak żyć mogły całe pokolenia.

NOWE DROGI. W książce ś. p. Marji Grossek-Koryckiej „Świat kobiecy“ czytamy:

„My, pokolenie burz i wichrów, na granicy dwóch światów stojący, wszystko jedno, czy współczujemy temu, co się rodzi, czy temu, co umiera, musimy do tego, co jest, nastawić zwrotnicę naszego życia. Bo to, co jest, ma tę niesłychaną nad wszystkiem innem przewagę, że jest“.

Oto wskazówka naczelna przy świadomem organizowaniu naszego życia w nowych warunkach, których wymowa wobec wszelkiego żalu czy protestu,

polega na tem, że są. Idealizowanie dnia wczorajszego, tęsknota za przeszłością, uczuciowy bojkot rzeczywistości dzisiejszej nie zmieni jej obrazu. Jest inna. Przychodzą na myśl słowa myśliciela politycznego XIX stulecia A. de Tocqueville'a w dziele p. t. „De la democratie en Amerique": „Nikt stanowczo i z całą ścisłością nie może twierdzić, że dzisiejszy porządek społeczny jest lepszy, niż dawny, ale każdy spostrzec może bez trudności, że czasy teraźniejsze są inne". Ś. p. Marja Grossek-Korycka z niezwykłą przenikliwością ogarnęła treść przełomu w życiu kobiety współczesnej. Książka „Świat kobiecy" jest rewelacyjnym dokumentem epoki. Rewelacyjnym dlatego, że odbiega od wszelkich banalnych szematów w ocenie t. zw. kwestji kobiecej i niesie bogatą wiedzę o życiu w pewnych dziedzinach, kształtujących się inaczej, niż dotychczas, niż na przestrzeni całych dziejów.

Nie rażą nas słowa znakomitej poetki i myślicielki: „Piszę tu rzeczy proste, jasne i oczywiste, jednak nie wypowiedziane przez nikogo". Nie budzi w nas zastrzeżeń zdanie: „Pierwsza zrywam welon iluzji, zahaftowany kwiatami poezji. Ja pierwsza nazwałam brutalnie rzeczy po imieniu... Odkryłam światu tragedję kobiety i uczyniłam ją wstrząsającą". Nie znamy w literaturze społecznej dzieła, któreby z taką mocą ukazało nowy rozdział tragedji ludzkiej: tragedję kobiety już wyzwolonej, już posiadającej wszystkie prawa. Trzeba było otrząsnąć się z wszelkich złudzeń, nakarmić się „goryczą prawdy", żeby

dać współczesnemu pokoleniu taką naukę o rzeczywistości.

Niema tu obrony kobiety, ani potępienia mężczyzny. Niema sądów, wyroków. Niema szukania win, lecz błędu. Jest prześwietlenie omyłki i nieporozumienia, najprzenikliwsze przewartościowanie rzeczy obumarłych, mocne postawienie krzyża na tem, co zginęło. Czy przez to samo tryumfalny okrzyk wobec wszystkiego, co nadeszło dzisiaj? Nie. I na tem polega najgłębsza wartość tej książki, że stoi jaknajdalej od frazeologji zarówno konserwatyzmu, jak i radykalizmu, jaknajdalej od doktrynerskich uproszczeń. Wszystko, co było dobre w przeszłości, znalazło tu doskonały wyraz, rzeczy zaś nowe pokazane są w świetle prawdy, raz radosnej, kiedyindziej okrutnej.

„Próżno posyłać nabożne westchnienie ku temu, co było. Nic nie powraca. Zmieniła się psychologja mężczyzny i kobiety, zmienił się układ świata". Wszelako akceptowanie nowej rzeczywistości nie prowadzi do jej apoteozy, lecz do pytania: jakimi wartościami, które stworzyć można w nowych warunkach społecznego życia, dadzą się zastąpić wartości dawne, dodatnie, a już zanikające lub nieistniejące? Na to pytanie, — jeśli chodzi o warunki życia kobiety współczesnej — ś. p. Marja Grossek-Korycka daje odpowiedź wyczerpującą, realną, przytem etycznie wzniosłą, chociaż nie płynącą ze źródeł starodawnych, tradycyjnych.

Głośna książka autorki włoskiej, Giny Lombrozo,

p. t. „Dusza kobieca“ jest gorącem, może najgorętszem w literaturze społecznej wezwaniem kobiety współczesnej do nawrotu z dróg postępu. „Reakcja — pisze ś. p. Marja Grossek-Korycka — zawsze następuje na pięty zwycięstwu. Zaledwie to, co było, odejdzie w bezpowrotność, zaledwie zacznie się organizacja nowego, już wybucha gwałtownie odwartościowanie niedawno tak namiętnie zdobywanych wartości. Realizacja, będąca, jak zwykle, obniżeniem ideału, nie omieszka zawieść oczekiwań — rozczarowanie spotyka się z niespodzianką: w nowem są nowe błędy i biedy nowe, które z niem przyszły. I zaczyna się odczuwać wartość starych dóbr, które ze starym porządkiem odeszły. Rzecz osiągnięta traci natychmiast połowę swego wdzięku“. „Dusza kobieca“ Giny Lombrozo jest głosem reakcji. To jeden wniosek. A drugi: naprzód, nieustannie naprzód! Ś. p. Marja Grossek-Korycka polemizuje z autorką włoską i argumenty jej odpiera po mistrzowsku. Jakie przytem ogarnia horyzonty przyszłości!. Z jaką piszą powagą i w jakiem natchnieniu! Tak pisać może niezwyczajny człowiek, który zeznaje o sobie: „Nie stoję po niczyjej stronie. Elipsa mego życia zamyka się—skończone są wszystkie moje zainteresowania... Żaden wzgląd osobisty igły mego sądu nie odchyla ani na prawo, ani na lewo. Ja mam jeszcze tylko jeszcze jedno, jedno jedyne zainteresowanie na świecie: „świat“.

Zostawiła testament tej myśli, którą Stefan Żeromski nazywał „czującem widzeniem“.

ICH PRZERAŻENIE. Dlaczego my, przeklęte radykały, masony, wolnomyśliciele, demoralizatorzy, śmiejemy się z klątw rzucanych na dancingi czy na krótkie suknie?

Drwimy z tych klątw nie dlatego, żeby dancing był dla nas jakąś świątynią dobrej radości, a krótkie suknie szczytem rozkoszy i największem zwycięstwem postępu. Śmiejemy się i drwimy dlatego, że ci wzburzeni kaznodzieje wybrali sobie bzdurnie mały przedmiot moralnego gniewu i śmiesznie błahą okazję do wygłaszania swych nauk budujących. Pomijają zaś wielkie obszary moralnego zła, krzywdy, niedoli, niesprawiedliwości, rzeczy okropnych, wołających o pomstę do nieba. A ich gniew skierowany jest tylko na te odcineczki, gdzie ktoś tańczy „niemoralnie“, lub ubiera się „podniecająco“. Jak się tu nie śmiać z takich moralistów, którzy na obrazie życia, pełnego cierpień, wybrali sobie tylko frywolne i błyskotliwe punkciki i w te punkciki zapatrzyli się, tu widząc największe niebezpieczeństwo dla przyszłości narodu i świata?

Kiedy się słyszy słowa groźne, dramatyczne o dancingach, krótkich sukniach czy też krótkich włosach, o zbyt wielkiej swobodzie obyczajów, o złych wpływach ulicy na młodzież i t. p., zawsze chce się zawołać: gdyby tylko to, gdyby tylko tyle! Jest niepomiernie gorzej, niż piszą i mówią nasi moraliści. Wszystko to, co ich niepokoi, jest niczem w porównaniu z rzeczywistym obrazem życia moralnego naszych czasów.

Kogoś przeraża dancing. Duszno, ciasno, obrzydliwie, niemoralnie. A czy ten przerażony pomyślał w wielu tysiącach mieszkań ludzi ubogich jest ciasno, duszno, obrzydliwie, niemoralnie? Czy pomyślał o mieszkaniach, gdzie w jednym pokoju gnieździ się cała rodzina, albo parę rodzin i co tam słyszą, co tam widzą dzieci? Gdyby tylko niemoralny dancing! Zastanawialibyśmy się wówczas nad tem, czy owa jedna tysiączna ludności bawi się dobrze, czy niedobrze, ale jeżeli o moralnem życiu społeczeństwa mowa, to raczej przychodzi na myśl położenie olbrzymiej, przytłaczającej większości, która nie bawi się ani moralnie, ani niemoralnie, tylko męczy się i wegetuje w niemoralnych, bo krzywdzących warunkach.

Ktoś gniewa się, że „nasze panie" za dużo się bawią, za dużo wydają pieniędzy, za bardzo są lekkomyślne i za mało zajmują się domem. Może, może. Ale to jeszcze nie jest „społeczeństwo". To taka sobie mieszczańska czy burżuazyjna wysepka na morzu niedoli. Jeśli gniew rzetelny może porwać, to raczej na myśl o tysiącach i tysiącach kobiet, które przez nedzę pchane są po moralnej pochyłości i z których też tysiące pada na samo dno pohańbienia. Kto się potrafi gniewać z tego powodu, już go nie stać na cierpienie, że pewne panie i panienki za dużo się bawią.

W inne uderzajcie tony. Inaczej mówcie. Rozszerzcie pole swego widzenia. Oczy otwórzcie szeroko na rzeczywistość dzisiejszą, żeby wasze nauki

były poważniejsze. Bo śmieszy nas karykaturalna niewspółmierność pomiędzy tem, co naprawdę musi budzić grozę, a tem co was przeraża.

MORALIŚCI. W pierwszym sejmie ustawodawczym, przy trzeciem czytaniu ustawy o kasach chorych zgłoszono nagle poprawkę, która matki dzieci nieślubnych pozbawia zapomóg i opieki tej instytucji. Proszę się zastanowić nad poczuciem moralnem tych 108 posłów. Urodzenie dziecka bez ślubu uważają za straszliwy grzech. Dobrze. Więc myślą, jakby takiemu przestępstwu przeciwdziałać. Wymyślili: matkę dziecka nieślubnego trzeba pozbawić ....opieki lekarskiej. Ciekawa rzecz, ilu to ludzi orzekłoby, że urodzenie dziecka nieślubnego jest większą zbrodnią, niż pozbawienie matki tego dziecka świadczeń Kasy chorych?

Bez względu na to, co sobie kto myśli o kobiecie, która ma dziecko nieślubne, środki obrane przez naszych stróżów dobrych obyczajów uzna za krańcowo niemoralne każdy, kto w sobie resztek ludzkości nie zabił na rzecz amoralnego fanatyzmu. Nie wpuszczać do Kasy chorych grzesznicy, która nie dokonała wymaganych formalności przed urodzeniem dziecka! Nie posyłać do niej lekarza Kasy chorych! Nie dużo jest w tych wyrokach chrześcijańskiej miłości bliźniego, nie dużo religji, w imię której ustawę podobną uchwalono.

I cóż pomogła? Według statystyk urzędowych

mamy corocznie mniej więcej tysiąc dzieciobójstw, popełnianych przez matki dzieci nieślubnych.

NAUKA MROZU. Zima roku 1929-go była wyjątkowo ciężka. Wskutek zamieci śnieżnych dowóz węgla był wielce utrudniony.

W mieszkaniach, gdzie nigdy nie zaznano ani głodu ani chłodu, zawitał mróz, wzbudził niepokój, przerażenie. W mieszkaniach ludzi, którzy mają pieniądze. Co to będzie? — pytano. Niech przyjdzie służba, niech zjawi się dozorca. Oto pieniądze — ma być węgiel. Skąd? Wszystko jedno. Ma być. Są przecież pieniądze. Ale nie we wszystkich wypadkach pomogły. W wielu mieszkaniach, gdzie są pieniądze, węgla nie było. Nowe całkiem emocje. Nieznane dotychczas przeżycia. Coś z troski o minimum egzystencji w gabinecie, w salonie. Drżeć z zimna w pięknym fotelu? Paradoks. Niedorzeczność. Tragikomedja: jedzenia wbród, ubrania poddostatkiem, mieszkanie doskonałe, pieniądze są — tylko zimno przejmujące. Odcinek nędzy na froncie zamożności lub bogactwa.

Na tym odcinku, w tej przykrości dotkliwej — coś pożytecznego: nauka poglądowa, jak to cierpią ludzie, którzy nie mają pieniędzy, jak cierpią zawsze, nietylko wskutek zamętu w komunikacji. Zawsze. Każdej zimy. Mróz w ładnych mieszkaniach zastąpił brak wyobraźni i odegrał rolę nauki poglądowej o cierpieniach biedaków.

Jechało dwóch pasażerów dorożką. W pewnej

chwili orjentują się, że jadą nie tam, gdzie kazali. Pasażer pociągnął dorożkarza za rękę. Dorożkarz nie reaguje. Więc go mocniej popchnięto. Spadł z kozła. Nieprzytomny, zamarznięty. A koń, bardziej wytrzymały, szedł samopas w kierunku prostym. To było w Łodzi.

W piwnicy — małżeństwo i dwoje niemowląt. Bliźnięta trzymiesięczne, chłopiec i dziewczynka. Nad ranem rodziców zdziwiła cisza przy łóżeczku niemowląt. Matka widzi, że oboje nie dają znaku życia. Usta chłopczyka pokryte skorupą zamarzniętej śliny. Umarł z mrozu. Dziewczynkę do przytomności doprowadził lekarz pogotowia. To było w Warszawie.

Opowiada jeden jegomość drugiemu, że w trzaskający mróz nie znalazł auta i musiał kawał drogi iść pieszo do „Oazy". I dodaje: „To straszna rzecz".

„Straszna rzecz"... Pieszo do „Oazy". Kiedy mówił te słowa, nie pomyślał zapewne, że naprawdę straszne rzeczy wyglądają cokolwiek inaczej. Pieszo do „Oazy" to jeszcze nie tragedja.

Kontrasty socjalne uprzytamniamy sobie lepiej, kiedy doznamy czegoś, czego nędza doznaje nieustannie. Kiedy mróz poszczypie nasze delikatne ciałka, kiedy nas chłód w mieszkaniu zdenerwuje, lepiej rozumiemy brak radości życia u biedaków, ich zdenerwowanie. I to lepsze zrozumienie ożywia akcję pomocy społecznej. Więcej też mówiono w śródmieściach, że trzeba ratować nieszczęśliwych, dać im trochę węgla i trochę jedzenia. Bo rzeczywiście, bo naprawdę widziało się na ulicach, jak obdarte dzieci

zbierają miał węglowy, który sypie się z fur, wózków i wozów. Jak w „Przedwiośniu“ Żeromskiego...

Dobroczynność! Może znowu jakiś doktryner socjalistyczny uśmiechnie się sceptycznie?

Filantropja! Może jakiś komunista zaklnie? Bo przecież „im gorzej, tem lepiej“. Bo trzeba zmienić ustrój, trzeba zrobić rewolucję. Ach, gdyby się przez jedną chwilę uwierzyło, że dziś rewolucja mogłaby zmienić położenie ludu na lepsze, toby się zawołało: a róbcież, do stu piorunów, tę rewolucję jaknajprędzej! Oni wierzą — wbrew rzeczywistości. No, ale tak czy owak, rewolucji niema. I to dziecko, któremu ślina śmiertelna zamarzła na ustach, nie doczekało się zmiany ustroju. I ten dorożkarz, który zamarzł na siodle. I tysiące, tysiące nieszczęśliwych.

Ów argument rewolucyjny, antyfilantropijny, spodobał się wielu burżujom, którzy nic nie dają na dobroczynność i też powtarzają, że to tylko „paljatyw“, więc niewarto... Doktryner socjalistyczny czy komunistyczny uspokoił sumienie takiego burżuja. Nauczył go lekceważyć dobroczynność. Nie potrzebował długo przekonywać. Burżuj nie rwał się znów tak namiętnie do wspomagania nędzy.

Żołądek nędzarza prosi o „paljatyw“. Nie trzeba lekceważyć tych worków z węglem, które rozdaje się biednym. Bo się trochę ogrzeją. Ciało drżące z zimna nie przyjmie teorji, że im gorzej, tem lepiej.

Społeczeństwo, które w nagłych potrzebach nie uznawałoby „paljatywów“, nie miałoby sumienia. Dopóki organizacja pomocy państwowej i samorządowej nie osiągnie sprawności całkowitej, „paljatywy“ będą niezbędne.

A doktryner rewolucyjny może się nie obawiać, że ci trochę nakarmieni i trochę ogrzani, zaraz popadną w entuzjazm dla dzisiejszego ustroju. Nie popadną.

NOWE CZASY. W drugim czy trzecim roku wojny grano w teatrze stołecznym komedję jednego z autorów polskich. Była tam taka scena. Siedzi w fotelu pan dziedzic i narzeka na „nowe czasy“. Na potwierdzenie jego słów wchodzi kucharz i prosi o dwutygodniowy urlop każdego roku. Pan dziedzic wybucha śmiechem, a z nim — cała widownia. Autor nie omylił się. Chciał rozśmieszyć publiczność. Udało mu się to najzupełniej. Kucharz i — urlop! Co rok — urlop! Jak jaki pan! Sala śmiała się z tak bezczelnego żądania.

A dziś? Któżby się roześmiał? To taka prosta rzecz: urlop człowieka ciężko pracującego cały rok. Prosta? Dużo musiało się stać na świecie, żeby taka sprawa stała się nareszcie — prosta. Ci sami ludzie, których owo żądanie kucharza tak serdecznie ubawiło, jużby w tem nie znaleźli powodu do śmiechu. Wtłoczyły się w naszą świadomość, coprawda z wielkim trudem, pewne nowe pojęcia o ludziach pracy fizycznej.

Zmieniliśmy się mocno. Albo raczej — nas zmieniono. Można o demokracji prawić rozmaite głupstwa, można mieć sto najmodniejszych „zastrzeżeń“,

zbierać dowody na to, że „świat idzie na prawo", ale... proszę spróbować dorożkarzowi, kelnerowi, dozorcy powiedzieć „ty" — tak, jak się mówiło zawsze. Na myśl, że nieraz tykało się starego, siwego człowieka, bo to stróż czy woźny, dziwne mamy dziś uczucie.

Przeżyliśmy dwie epoki do siebie niepodobne, a to niepodobieństwo wyraża się również w takich „drobnych" zmianach, jak ta, że mówiło się do ludzi pracy fizycznej „ty", a teraz się nie mówi...

RÓŻNICA. W Rosji przez długie lata urabiał się nastrój, który Mereżkowskij nazwał „wolą spadania" („Bolnaja Rosija, Petersburg, 1910). W poszukiwaniu odrodzeńczej, drzemiącej jakoby w ludzie rosyjskim potęgi „bogonośca", znaleźli demokraci rosyjscy zbawcę w osobie bosjaka, włóczęgi i urodzonego anarchisty. Pisarze i poeci zaczęli go apoteozować i zachęcać do „czynu". Nienawiść do klas oświeconych, do inteligencji, była kapitałem rewolucji długo przygotowywanym. Kiedy się jeszcze nie śniło o rewolucji bolszewickiej, Maksym Gorkij, piewca bosjaków, tak mówił przez usta anarchisty Gordjejewa: „Zebrałbym resztki mej zszarpanej duszy i wraz ze krwią serca splunął w pysk naszej inteligencji. Czort ją zabierz! Wiedzcie, rozszaleje burza, zmiecie, zmyje was z powierzchni ziemi, jak deszcz zmywa drzewny kurz". Tak pisał Gorkij przed wojną, współczując pożądaniom krwawego chamstwa, które też całą swą nienawiść zwróciło przeciw „białoruczkom". „Wola

spadania" znalazła wyraz w katastrofie społecznej. Stefan Żeromski pisał o twórcach tej „dewastacji moralnej", którzy „stan i tytuł pana uważali za dostateczny motyw i zasadę zepchnięcia człowieka w przepaść nędzy i głodu, w to właśnie miejsce, gdzie proletarjusz leżał do niedawna".

Demokracja europejska rozwija się nie pod znakiem „woli spadania", lecz woli wznoszenia życia zbiorowego na coraz wyższe poziomy.

KARA ŚMIERCI. Dyskusja w sprawie kary śmierci toczy się od setek lat. Rodzaj ludzki wciąż się zastanawia, czy się trzymać wskazówki udzielonej na Górze synajskiej w piątem przykazaniu, czy też w kodeksach swoich nadal temu przykazaniu przeczyć.

U nas już w roku 1520-tym pisał Piotr z Goniądza: „Sędzia nie może nikogo na śmierć skazać, bo nikt mu tej władzy nie dał. Bóg kazał żyć człowiekowi i nie dał nikomu niszczyć jego dzieła; człowiek może człowiekowi przeszkodzić źle czynić, ale nie może odebrać mu życia, które jest pod opieką, ale nie jest własnością rządu".

W jednej z polemik sprawę przesądził kilkanaście lat temu Alfons Carr okrzykiem: Que messieurs les bandits commencent les premiers". Bardzo się większości parlamentarnej francuskiej ten okrzyk spodobał, chociaż najwyraźniej stawiał bandytów i państwo na jednej płaszczyźnie moralnej, skoro od bandytów żądał, by pierwsi przestali zabijać.

Państwo w walce z przestępcą ma inne, obfitsze

sposoby działania, niż przestępca. Pojęcie „koniecznej obrony“ społeczeństwa niebardzo godzi się ze sceną, kiedy więzień już dawno po przestępstwie stoi pod słupem i czeka na strzały, lub kiedy prowadzony jest na szubienicę, a więc znajduje się w sytuacji, w której już dla nikogo nie może być groźny. Ów zaś postrach, jaki ma rzucać kara śmierci (argument najczęściej powtarzany) jest fikcją, której przeczą wszystkie statystyki kryminalne. Trafnie tę sprawę ujął Dickens, opisując jak wśród tłumu, przypatrującego się egzekucji publicznej za kradzież, grasują złodzieje kieszonkowi...

„Kiedy pomyślę, że człowiek sądzi człowieka, ogarnia mnie drżenie“ — pisał Malebranche. Cóż dopiero, jeśli pomyśleć, że sąd zabija człowieka? A cóż potworniejszego, jeśli odbiera życie niewinnemu? Ponieważ jest to zło nie do naprawienia, stanowi przeto jeden z nieodpartych argumentów przeciw karze śmierci. Historja omyłek sądowych bogaci się nieustannie i woła, żeby w walce z karą śmierci nie ustawać. I przecież kiedyś ludzkość odrzuci tę karę, która właściwie nie jest karą: nieżyjący nie cierpi, nie odbywa kary... Zadano mu tylko mękę przed zgonem, mękę rozstawania się z życiem.

WYOBRAŹNIA. Czytelników gazet zawiadomiono w komunikacie urzędowym, że „wszystkie wiadomości“, ukazujące się w prasie o rzekomem zwolnieniu kata, są nieprawdziwe, a tem samem motywy, które miały to zwolnienie spowodować, nie odpowiadają

prawdzie. Pisano bowiem w niektórych dziennikach, że kat upija się i wyprawia awantury. Prawdopodobnie kat zwrócił się do swojej władzy z prośbą, by ogłosiła sprostowanie. Miał do tego prawo: zabija on ludzi skazanych na śmierć, ale wódki nie pije, niechże więc jego władza odeprze zarzuty niesłuszne.

Po tym komunikacie nie będzie się już pisało, że obecny kat jest alkoholikiem. Odparcie jednak tego zarzutu nie poprawi opinji o kacie, jako o człowieku. Samo jego zajęcie budzi wstręt. Społeczeństwo odczuwa silną odrazę dla takiego zawodu. Już gmin średniowieczny, wiedziony zdrowem poczuciem moralnem, mówił o człowieku złym: „Sumienie gorsze, niż u kata“. W dawnej Polsce kata nazywano „małolepszym“, albo „małodobrym“. Kata zawsze unikano. Mieszkał w odosobnieniu, przeważnie za miastem.

Jeżeli przypuścić, że większość społeczeństwa uznaje karę śmierci, a zarazem odczuwa pogardę dla osoby kata, to stwierdzimy tu sprzeczność uczuć. Kto jest zwolennikiem kary śmierci, nie powinien pogardzać wykonawcą tej kary, skoro sobą samym nie pogardza. Przeciwnie, winien uważać kata za człowieka pożytecznego. Konsekwentnym zwolennikiem kary śmierci jest nadto ten tylko, kto mógłby wyrok śmierci wykonać własnemi rękami. Tak, jak ów książę meklemburski, znany w kronikach historycznych Henricus Suspensor, który zawsze woził ze sobą kilka stryczków i własnoręcznie wieszał przestępców.

Człowiek uczuciowo niezdolny do wykonania

kary śmierci, a jednak jej zwolennik, bierze moralny udział w zabijaniu skazanego, a jeżeli przytem ma spokojne sumienie, to przez brak wyobraźni. Są zwolennicy kary śmierci, którzyby nie mogli nietylko powiesić czy rozstrzelać skazanego, ale nawet asystować przy egzekucji. Nie mogą na takie rzeczy patrzeć. Nie pozwoliłyby im na to nerwy. Pewna jednak żywość wyobraźni wywołuje na myśl o scenie egzekucji uczucia podobne, jakie odczuwalibyśmy, jako świadkowie naoczni. Myśl o tej scenie, wyobrażonej możliwie dokładnie, budzi uczucie grozy, burzy sumienie, zadaje ból.

Gdyby wyobraźnia grała większą rolę w życiu moralnem dzisiejszego społeczeństwa, zasada kary śmierci nie mogłaby się utrzymać w kodeksie. W czasach dawnych egzekucje odbywały się na placach publicznych, co dziś nie wszędzie jest możliwe, ponieważ obyczaje złagodniały. Instynkt okrucieństwa jest, mimo wszystko, słabszy w zbiorowiskach ludzkich.

Czytaliśmy niedawno, że departament karny ministerstwa sprawiedliwości zdecydował, by władze więzienne przy wykonywaniu wyroku śmierci nie ustawiały stałych rusztowań szubienicznych, gdyż wywiera to niepożądane wrażenie na ludności. Szubienice mają być ustawiane jedynie do wykonania poszczególnych wyroków.

W rozporządzeniu tem znajdujemy jeden z najsilniejszych argumentów moralnych przeciw karze śmierci. Stałe rusztowania robią „niepożądane wrażenie". Czy chwilowe ustawienie szubienicy zmienia istotę rzeczy? A myśl o szubienicy, o tem, że działa? O tem, że się dusi człowieka przy pomocy całego aparatu prawa?

Przy normalnej wyobraźni i żywem poczuciu moralnem takie same w istocie wrażenie robi widok rusztowania, na którem wiesza się człowieka, jak sama już myśl o tem zajęciu. Jest mi wstrętne coś bez względu na to, czy to widzę, czy też o tem wiem.

Kształcenie wyobraźni zmniejszyłoby ilość zwolenników kary śmierci.

FOBOFOBJA. Po ukazaniu się dzieła prof. Tadeusza Zielińskiego „Hellenizm i judaizm" zaskrzypiały pióra polemiczne. Żadna z książek naukowej literatury polskiej nie wywołała takiego rwetesu. Mówię „rwetesu", większość bowiem polemistów, którzy zajęli się dziełem profesora Zielińskiego, stoi daleko od poziomu dyskusji naukowej. To raczej krzyk motłochu pod oknami uczonego.

Cóż się takiego stało? Sprawa wielce interesująca. Uczony bada zamierzchłą epokę, rzuca snop światła na pewne jej sprawy, wysnuwa z ogromnego materjału wnioski o tem, co o tych sprawach myśleli współcześni, a tu ludzie dzisiejsi z powodu owych wywodów uczonego popadają w gniew, obrażają się, stawiają mu trywjalne zarzuty.

Prof. Tadeusz Zieliński należy do tych uczonych i do tych myślicieli, którzy, aczkolwiek zapatrzeni w minione dawno czasy, dostrzegają na przestrzeni

stuleci, zagadnienia wiecznie żywotne. W dziełach swych pomagają rozumieć teraźniejszość, jako owoc przeszłości. Lecz nie wtrącają się do sporów dzisiejszych, zwłaszcza tych, które emocjonują fanatyzm wszelkich wyznań. Nie mają zamiaru ani chęci mieszać się do walk aktualnych, a już nadewszystko dbają o utrzymanie należytego dystansu pomiędzy ich światem nauki a kłopotami i zmartwieniami tych dzisiejszych manekinów duchowych, których porusza tradycja, przyzwyczajenie i nałóg myślowy, a które obawiają się, żeby światło rzucone na genezę i gatunek ich pojęć nie przeszkodziło im trwać w skostnieniu.

We wstępie do tomu I-go (str. 10 i 37) prof. Zieliński przewidział „wyjątkową drażliwość" wyznawców judaizmu. Ale zapewne nie spodziewał się, że takie wywoła wśród nich zamieszanie. I czem? Celem jego dzieła było przedstawienie judaizmu takim, jakim wydawał się lub musiał wydawać się Hellenom, do których judaizm zwracał się na drogach prozelityzmu (tom II str. 146—147). Prof. Zieliński wyjaśnia powody, dla których hellenizm po paru stuleciach współżycia z judaizmem odwrócił się od pojęć i wyobrażeń tego ostatniego. Mamy tu więc wyjaśnienie wyroku historji, który zapadł już dawno. Motywy tego wyroku wyłuszczył prof. Zieliński w „liście rozwodowym hellenizmu" (tom II str. 168—177). Że w tym „liście" wszystkie podstawowe racje hellenizmu odpowiadają również dzisiejszym pojęciom moralności, prawdy i piękna, może to gniewać po-

tomków tych, którzy przed wiekami otrzymali od Hellenów „rozwód", ale to już nie może obchodzić uczonego.

O dziele prof. Zielińskiego pisze jeden z zagniewanych: „Napisał je po to, aby przysłużyć się endecko-klerykalnej klice, rządzącej uniwersytetem warszawskim". Oto zaiste głos z motłochu. Inni polemiści z niemniejszym gniewem zarzucają profesorowi Zielińskiemu — antysemityzm.

W odczycie wygłoszonym na zebraniu Towarzystwa Historycznego w Krakowie, dał prof. Zieliński wspaniałą odpowiedź. We wstępie zwrócił uwagę na szczególnego rodzaju przeczulenie: „Mam pewne zastrzeżenia co do Oskara Wilde'a — nikt nie zaliczy mnie do anglofobów. Nie bardzo mi się podoba Piotr Loti — nikt wskutek tego nie powie, że jestem frankofobem. Nie znoszę Franka Wedekinda — najskrajniejszy hakatysta nie nazwie mnie za to germanofobem. Mam wstręt do księgi Estery — jestem antysemitą". Raz jeszcze rewidując helleńsko-judaistyczny rachunek dziejowy, mimochodem dodaje: „Nie jestem ani judofilem, ani judofobem. Jestem, jeżeli to kogo interesuje, fobofobem, ale wolę, żeby to nikogo nie interesowało".

Fobofobja — termin godny spopularyzowania wśród sfer, które jeszcze do takiego stanowiska nie dorosły.

DWA PROCESY. Jeżeli komukolwiek powiemy: za pięć, dziesięć czy piętnaście lat będziesz zabity,

albo: dom twój będzie spalony, albo: z całego twego dobytku zostaną ruiny, nie uspokoi owego kogoś myśl, że stanie się to dopiero za pięć, dziesięć czy piętnaście lat. Będzie przerażony, jeśli uwierzy, że taka możliwość grozi mu naprawdę. Tymczasem w opinji świata dzisiejszego mamy do czynienia z inną psychiką zbiorową. Świat nie wątpi, że wskutek nieprzerwanych zbrojeń wybuchnie wojna, lecz uspokaja go pewność, czy nadzieja, że jeszcze nieprędko, jeszcze nie teraz... Taką postawę wobec niebezpieczeństwa wojny tem można wytłomaczyć, że świat dzisiejszy żyje chwilą, bez planu na dalszą przyszłość i bez żywego poczucia odpowiedzialności dziejowej. Do tego stopnia żyje chwilą, że nie przeraża go myśl o tem, co może stać się za lat parę, choć nie braknie znaków aż nadto wyraźnych, że to może być zagłada cywilizacji naszej, katastrofa, jakiej nie znają dzieje, piekło na ziemi, wobec którego blednie przebieg wojny ostatniej. Mówią nam o tem nietylko teoretyczne wywody, ale i różne próby i ćwiczenia, eksperymentujące nowe wynalazki techniczne w sztuce wojennej. Naprzykład, próbny atak pięciuset aeroplanów bojowych na Londyn pozwala nam bez trudu wyobrazić sobie, czem będzie wojna aerogazowa. Aeroplan bojowy może zabrać ze sobą bomby wagi łącznej 1.500 kilogramów. Dla zrównania z ziemią wszelkich budynków na przestrzeni 50 metrów wystarczy sto kilogramów bomb. Pięć aeroplanów bojowych wystarczyłoby tedy dla całkowitego zniszczenia Warszawy. Jak ktoś słusznie napisał, działanie

gazów trujących, wydzielanych przez bomby, stanowi jeszcze niejako „gratisowy dodatek i premję". Niektórzy ową „premję" uważają za humanitarną, ponieważ ich zdaniem — tylko 2% zatrutych gazem umiera, inni zaś „tylko" ślepną lub niedołężnieją na całą resztę życia. Taką opinję wydało stowarzyszenie chemików amerykańskich „American Chemical Society" na kongresie w Los Angelos. Własny zawód podyktował im „pochlebną" ocenę gazów trujących. „Humanitarna" wojna... Trzebaby zrobić wynalazek taki, żeby armata, razem z pociskiem wyrzucała opatrunek... Już chyba uczciwszą i szczerszą jest definicja niemieckiego teoretyka wojny, gen. Clausewitza: „Wojna jest aktem gwałtu, który w swej istocie nie zna żadnych granic".

Najwybitniejsi fachowcy mówią bez ogródek, jakie zastosowanie mieć będą nowe wynalazki techniczne. Na podstawie tych fachowych informacji można stwierdzić, że świat przygotowuje zbiorowy akt samobójstwa, że niebo i ziemia objęte będą ogniem i gazem, którym się wzajemnie wyniszczymy.

Przygotowania odbywają się spółrzędnie z rozkwitem nauki i rozwojem oświaty, z postępem na wszystkich polach myśli ludzkiej, z pracą nad odbudową ruin powojennych i z procesem zbliżania się narodów, coraz silniej od siebie wzajemnie zależnych w życiu gospodarczem...

Zaiste niewiadomo, kto dziś potężniejszy: Ormuzd czy Aryman?

KU RUINOM. Żółta chmura trującego gazu płynie ulicami miasta... Padają przechodnie, duszą się, konają.

W mieszkaniach — gwałtowne omdlenia, wypadki śmierci.

Na boisku footbalowym zabawa młodzieńców zamienia się w scenę piekielną i tu bowiem przybłąkały się kłęby śmiercionośne.

I za miastem, w szczerem polu, padają ludzie, wiją się w cierpieniach.

Eksplozja trującego gazu w hamburskiej fabryce chemicznej. Największa sensacja wiosny 1928 roku. Przerażenie. Zdumienie. Jakby się stało coś nieprzewidzianego. A to tylko lekcja poglądowa o akcie zbiorowego samobójstwa, jaki sobie przygotowują wszystkie państwa świata przez zbrojenia chemiczne. Wszędzie i każdej chwili — chociaż wojny niema — może eksplodować gaz trujący i popłynąć ulicami miasta, pouczając ludzi, co robią w swem szaleństwie.

Możnaby powiedzieć banalnie, że katastrofa hamburska to tak zwane groźne memento. Czy tak? Ale przecież tysiące opisów przyszłej wojny chemicznej nie zlikwidowały ani jednej fabryki gazów trujących. Wiemy, jak będzie. Wiemy, jaką będzie praca zagłady i śmierci. Wiemy wszystko. Fachowcy broni chemicznej już nam dokładnie opisali, na co zdobędzie się genjusz zniszczenia.

Ani opisy, ani próbne ćwiczenia nie wywołały takiej grozy, którąby zrodziła czynną przeciw uzbrojeniom chemicznym reakcję. Praca na tem polu wre

w tempie szalonem. W Stanach Zjednoczonych działa specjalne ministerstwo broni chemicznej, w którem pracuje 1.800 oficerów chemików. Istnieje tam wielki arsenał broni chemicznej, całe miasto, Edge-Wood. Wynaleziono zgórą trzysta (!) gatunków gazów trujących o rozmaitem działaniu. Jedne sprowadzają zatrucie „gwałtowne“, inne „ostre“, jeszcze inne „powolne“ i t. d.

Amerykanie obliczyli, że broń chemiczna jest 16.000 razy tańsza od broni palnej. Dobry to powód do zmiany systemu wzajemnego mordowania się. Bo według obliczeń wydatków wojennych po stronie całej ententy zabicie jednego Niemca kosztowało 1.100.000 marek. Niemców też za drogo kosztował każdy wystrzał. Państwa współczesne dbają o oszczędność ...Nauczone doświadczeniami i zachęcone przez wynalazki, wydadzą mniej pieniędzy na ...obrócenie kultury i cywilizacji w jedno wielkie cmentarzysko.

Memento hamburskie? Czy memento? Skoro po wojnie wszechświatowej zbrojenia większe są, niż przed nią? A przecież, znowu według dokładnych statystyk, wytoczono z rodzaju ludzkiego podczas wojny ostatniej, mniej więcej siedemnaście i pół miljona litrów krwi. Stanowi to 1.750 cystern, z których można zestawić 58 pociągów po 30 wagonów i jeszcze 10 wagonów. Polegli w tej wojnie, ustawieni w jednym szeregu, daliby szlak śmierci długości 3.000 kilometrów.

Nie odstraszyło to świata współczesnego od dal-

szych przygotowań do wojny, która będzie stokroć straszliwsza. Nie odstraszył bezmiar cierpień ani ogrom kosztów.

Gdzie siła, gdzie potęga, któraby mogła zbrojący się świat natchnąć przytomnością i rozumem?

PRAWDA. Władze chicagowskie skonfiskowały transport egzemplarzy książki Remarque'a „Im Westen nichts neues" w pełnym przekładzie angielskim. Za legalny uznano tam przekład niepełny. Nie wiem dokładnie, jakimi przepisami kieruje się cenzor w Chicago. W książce Remarque'a niema nic takiego, coby, naprzykład, u nas mogło skłonić cenzurę do konfiskaty. Żadnego zamachu na ustrój państwowy, żadnej propagandy rewolucyjnej, żadnych idei „wywrotowych". Nawet przeciwnie — umiar artystyczny, spokój w słowach i — brak wskazówek, jak wyjść z błędnego koła uświęconych zbrodni. Ale książka ta jest, owszem, „niebezpieczna", chociaż cenzura nic tu niema do czynienia. Są takie książki.

W jakim sensie utwór Remarque'a jest „niebezpieczny"? W takim samym, jak dziesięcioro przykazań. Bo powiedziano: „Nie zabijaj!" Bez zastrzeżeń, bez wymienienia wyjątków. Nie dodano: chyba że na wojnie. Poprostu „nie zabijaj". Czyli — dziesięcioro przykazań przeciwstawia się temu, co jest czynnością, obowiązkiem, zasługą żołnierza: przeciwstawia się zabijaniu. Jeżeli więc to, co się sprzeciwia tej czynności, jest nielegalne, należałoby przedewszystkiem skonfiskować dziesięcioro przykazań. Dość, by

cenzura przyjęła tezę, że nakaz etyczny, nieopatrzony odpowiedniem zastrzeżeniem, jest przez to samo rewolucyjny. Miłość bliźniego? Jeżeli obowiązuje nietylko w stosunku do rodaka, to w pewnych momentach jest to wymaganie niebezpieczne. Moralność całkowita, konsekwentna, przeciwstawia się porządkowi świata, jest buntem. Należałoby skonfiskować moralność. Co więcej, myśl najprostsza, logiczna, prowadzi do wniosków sprzecznych z organizacją chaosu etycznego, o jaki opierają się wszystkie państwa. Cóż uczynić z tą myślą?

Takie myśli proste, najprostsze, bezwzględnie szczere i głęboko mądre, wypowiadają żołnierze w książce Remarque'a podczas rozmów o wojnie, prowadzonych zresztą bardzo rzadko. Ich zajęcia, ich sposób życia, ich warunki nie dopuszczają fałszu. Ich sądy są uczciwe. Bezwzględnie uczciwe, obalające bowiem całą naukę kłamstwa, jaką sączono im przedtem, przed udziałem ich w pierwszym ogniu huraganowym, który — jak mówi Remarque — wszystko w nich zmienia. Ta krwawa kąpiel oczyszcza ich z wszelkiej nieprawdy, z wszelkiego zakłamania, z wszelkich „kombinacji". Wprowadza w rzeczywistość wojny, absolutnie inną, niż w wyobrażeniach poprzednich, niż w propagandzie, niż w patrjotycznem kaznodziejstwie. Mają do czynienia z faktami — z niczem więcej. Widzą też przepaść, jaka dzieli rzeczywistość fizycznie wymowną od fikcji, snutych i narzucanych w agitacji. Mówią o wojnie inaczej, niż im mówiono. Zresztą mówią bardzo rzad-

ko, instynkt bowiem podpowiada im, że lepiej o tem nie myśleć.

Nawet rozumieją, że pewne otępienie umysłowe, do którego świadomie i najdotkliwszymi, niepozbawionymi okrucieństwa sposobami, są doprowadzani w koszarach przed pójściem na front, jest w takich warunkach... dobrem, że to niejednego, może nawet wielu ratuje potem od obłędu. Następuje zniweczenie osobowości, zejście niżej, do stanu mechanicznego i zwierzęcego Inne rzeczy są tu ważne, inne wartości potrzebne: „Nasza nauka wojenna trwała dziesięć tygodni i przez ten czas zostaliśmy mocniej sformowani, niż w ciągu dziesięciu lat w szkole. Uznaliśmy, że wyczyszczony guzik jest ważniejszy, niż cztery tomy Schopenhauera. Najpierw ze zdumieniem, potem z goryczą, w końcu obojętnie uznaliśmy, że decydującym czynnikiem okazał się nie duch, ale szczotka do butów, nie myśl, lecz system, nie swoboda, lecz tresura. Po trzech tygodniach już nam się nie wydawało nieprawdopodobnem, że pocztyljon z trzema naszywkami ma nad nami więcej władzy, niż nasi rodzice, nasi wychowawcy i epoki wszystkich kultur, od Platona do Goethego razem wzięte".

Cóż mówią w szkole? Czego tam uczono? Rzeczy, które tu straciły sens. Tu ma znaczenie nauka o tem, że „przy ataku na bagnety najlepiej wpakować bagnet w brzuch, nie między żebra, bo w tym drugim wypadku bagnet trudniej się wyciąga". O tem nie uczono, ani o sprawach podobnych, na wojnie ważnych.

Inna tu również klasyfikacja ludzi. Inne formacje i hierarchje władzy. Władzę zdobywają tysiące, setki tysięcy ludzi. Każda ranga nad niższą o stopień. To czyni ludzi innymi, zwłaszcza tych, tę ogromną większość, która w życiu cywilnem poczucia władzy nie zaznała. Odbywają się na tem tle piekielne, sadystyczne zmiany. Poczucie władzy „rzuca się na mózg, tem silniej, im kto przedtem mniejsze miał znaczenie".

Zmiana wszystkiego. Odwrotna strona życia normalnego, które znajduje się i trwać może na pewnym poziomie warunków kulturalnych. Tu wszystko wymaga innego nastawienia psychicznego. Wszystko, co nie jest prostotą najkrańcowszą, tu staje się karykaturą, nieznośną szarżą, jawnem kłamstwem. Dlatego żołnierz przybywający z frontu, wprost z krwi i błota, wprost ze świata najbrutalniejszej prawdy ludzkiej, nie może się dobrze porozumieć z ludźmi. Przyzwyczaił się do innego traktowania życia, również śmierci. Może żartować z trupa, chociaż serce ma czułe. W tem żartowaniu znowu ratuje się instynktownie przed utratą równowagi ducha. Wyzwolony jest z sentymentalizmu, chociaż dla towarzyszy zawsze gotów do poświęceń największych. Może czekać na buty umierającego przyjaciela i wszystkim o tem mówić, bo temu konającemu buty już są niepotrzebne, ale chodziły boso po drutach kolczastych, gdyby przyjacielowi przydały się jego buty. „Wszystkie inne kombinacje utraciły w naszych oczach sens, bo są sztuczne. Dla nas prawdziwe i ważne są tylko

fakty. A dobre buty stały się rzadkością". Są prości, twardzi i rubaszni, a stać ich na tkliwość, o jakiej ludzie z tego „innego świata" nie mają pojęcia. Wyzbyli się wstydliwości, ale zdobywają się na największą delikatność uczuć.

Zrozumieli, że są inni, przeto grozą przejmuje ich myśl, co będzie potem, jakie miejsce znajdą sobie i czy znajdą jakiekolwiek wśród tych innych ludzi. Pytanie: co będzie potem? jest jednym z lejtmotywów pamiętnika Remarque'a, na które życie odpowiedziało w sposób tak rozmaity. Ale potwierdziło ten sąd: „Parę lat strzelania i rzucania ręcznych granatów — tego przecież nie zdejmie się potem, jak pończochy z nóg".

Na wojnie ludzie są inni. Tę inność uwydatnił Remarque rewelacyjnie, genjalnie.

Powiada się teraz: ludzie nie lubią rzeczy smutnych, zwłaszcza po wojnie. A ta książka — jakże nie wesoła! — rozeszła się w miljonach egzemplarzy. W ludziach żyje nietylko potrzeba wesołości, również — potrzeba prawdy.

CHAMSTWO. W walkach społecznych widać nietylko nieprzyzwoite osoby, nietylko barbarzyńców i gburów, ale również — chamstwo ideologiczne, które może być reprezentowane przez cały polityczny obóz. Takiem chamstwem jest, naprzykład, szowinizm. Takiem chamstwem jest nienawiść dla ludzi innej narodowości, rasy czy wyznania. Nietolerancja — to chamstwo. Wyniosłość — to chamstwo. Megalomanja — to chamstwo. Im niżej kulturalnie, tem takiego barbarzyństwa więcej.

TEN SAM ŻYWIOŁ. W lipcu 1927 roku na ulicach Wiednia rozgorzała walka. O jej przebiegu czytaliśmy liczne rozważania pisarzy wiedeńskich. I oni również zadawali sobie to pytanie, jakie słychać było u nas: jak się to stać mogło, że w mieście, słynącem z pogody ducha, w tłumie łagodnym i jowjalnym rozegrały się sceny tak straszliwe? Jak się stać mogło że ulice Wiednia upodobniły się do ulic Rosji w czasie rewolucji? Przecież to dwa odmienne światy. Co sprawiło, że tłum nie chciał wypuścić nieszczęśliwych urzędników z płonącego Pałacu Sprawiedliwości, a nad tymi, którym udało się wydostać z płomieni, znęcał się potwornie? Skąd ten szał niszczycielski i krwiożerczy?

Wiedeń... piękny Wiedeń... Przy tym wyrazie słyszy się melodje Straussa, do romantycznych kołyszące marzeń... Więc zdziwienie: w naddunajskim, czarującym grodzie takie piekło?

Ale mówmy poważnie. Nic bardziej pożytecznego dla rozumu, niż kiedy się dobrze widzi rzeczywistość.

W pierwszych latach rewolucji bolszewickiej, kiedy mogło się wydawać, że stamtąd padną iskry na całą Europę i obejmą ją pożarem, mówiono sobie wszędzie i myśmy to samo powtarzali: u nas rewolucja nie byłaby tak okropna, mamy inne tradycje, lud nasz ma szlachetniejszy charakter, w naszym kraju sceny podobne do rosyjskich są nie do pomyślenia...

Tak w okresie pewnej paniki i lęku pocieszano się we wszystkich krajach Europy, mimo, że na terenie europejskim tu i ówdzie (Węgry, Bawarja) chwilowe zawieruchy rewolucyjne nie miały w sobie nic z idylli.

W sądach o rozgniewanej gromadzie zapominamy o historji i o socjologji. Historja poucza nas o różnych przewrotach, buntach, rewolucjach, pobudza do tych analogji, które pozwalają przewidzieć charakter wydarzeń w warunkach podobnych, nie mówi nam jednak, że w krwawych rozprawach inaczej zabija się po francusku, a inaczej po niemiecku czy rosyjsku i że na wyraz wzburzenia zrewoltowanej gromady inaczej wpływa Strauss, inaczej Wagner, a jeszcze inaczej Moniuszko. Socjologja wyjaśnia nam psychologję duszy kolektywnej, podlegającej tym samym zasadniczo prawom wśród rozmaitych klimatów i na różnych poziomach cywilizacyjnych. Jaźń zbiorowa w podnieceniu i gniewie działa jednakowo na wszystkich geograficznych szerokościach, tak samo dziś, jak przed wiekami.

Setki i tysiące przykładów służyło, jako materjał badań dla myślicieli społecznych i wystarczyło najzupełniej, by wiedzieć, co to jest rozbestwienie tłumu i jakie w gromadzie rodzą się rzeczy, poszczególnym jednostkom jaknajbardziej obce. Ileż to razy opisywano okrucieństwa, popełnione przez tłum, okrucieństwa takie, jakich żaden z uczestników zbrodni zbiorowej zosobna wzięty nie popełniłby nigdy. Dobrze to wyjaśnił Gustaw Le Bon w znanych swoich

studjach o psychologji tłumu, nieraz też pisał o tem u nas prof. Ludwik Krzywicki. Zjawisko to jest zresztą dokładnie zbadane przez kryminologję.

Więc i bardzo muzykalni, sympatyczni, dobroduszni wiedeńczycy, popadłszy w szał zbiorowy, poddali się krwawej psychozie, jaka zrodzić się może wśród tłumów wszystkich wyznań, narodów i ras.

Pożar jest wszędzie jednakowy, tylko straż ogniowa działa w różnych miejscach rozmaicie...

NIEPOTRZEBNY ARGUMENT. Ktoś napisał, że brawura miss Earheart, pierwszej kobiety, która przeleciała ocean (18 czerwca 1928 roku) jest jeszcze jednym argumentem, przemawiającym za równouprawnieniem kobiet. Mylny wywód. Wyjątkowe czyny jednostek nie są argumentem w walce o równe prawa. Prawo swobodnego chodzenia po ulicy, bez względu na płeć, stan majątkowy, narodowość, rasę i religję, nie wymaga dowodu, że wśród przechodniów znajdują się również jednostki wyjątkowe lub genjalne.

PARLAMENT. Źli lekarze nie kompromitują medycyny. Ta nauka ma już za sobą zbyt dużo dobrodziejstw, rodzajowi ludzkiemu szczodrze okazanych, by ten czy ów niesumienny eskulap mógł przez swe przewinienia rzucić na nią cień.

Cóż ma znachor do Pasteura?

Są również źle urządzone szpitale, gdzie niema porządnej obsługi, należytej opieki lekarskiej, po-

trzebnych narzędzi chirurgicznych, nawet lekarstw niezbędnych. Dobra to racja, by chorzy narzekali na szpital, ale dziwnieby sobie poczynali, głosząc, że to ...kryzys medycyny.

A cóżbyśmy powiedzieli o mieszkańcach brzydkiego, niezdrowego, walącego się domu, gdyby zawołali: precz z domami! Przecież stoją świetne kamienice, na mocnym wzniesione fundamencie, według planu zdolnych architektów zbudowane.

Tak samo ma się sprawa z parlamentem. Zły poseł nie kompromituje parlamentaryzmu. Niedobry poseł szkodliwą jest osobą, ale posłowanie nie jest złym pomysłem ludzkości.

Cóż ma Witos do Gladstona?

Wśród społeczeństw, których życie pełne jest niemądrości i chaosu, również parlament, tego życia wyraz, nie może być jedynie przybytkiem rozumu i ładu. Zbyt sobie upraszcza sprawę obywatel, który z posła czyni kozła ofiarnego, obarczając go wszystkimi grzechami kraju.

Cnotliwy Kato spajał niewolników, a doprowadzonych do stanu ohydnego kazał wozić po ulicach Rzymu, żeby obywatele widzieli, do czego doprowadza pijaństwo. Bismark mówił: parlamentaryzm zniszczę przez parlament, sądził bowiem, że przekona wszystkich, jak niedobrą jest ta instytucja. Historja nie świadczy, by mu się taki eksperyment udał.

Znakomity pisarz włoski, Guglielmo Ferrero, w książce „Między przeszłością a tem, co nas czeka" pisze: „Jakiekolwiek byłyby niebezpieczeństwa i słabe strony zasady reprezentacyjnej, faktem jest, że wszelkie próby, by znaleźć wyjście z pominięciem jej, gmatwają tylko zagadnienie ustroju, miast je rozwikłać". Ferrero głęboko i wszechstronnie ten wniosek uzasadnia.

Doświadczenia lat powojennych, wszystkie próby i paljatywy, reformatorskie i rewolucyjne, dowiodły, że utrwalenie despotyzmu — a tem tylko może być sposób rządzenia odrzucający zasadę przedstawicielstwa — w Europie nie nastąpi.

RÓWNOŚĆ. Wszystkich nas, katolików, marjawitów, żydów, ewangelików, prawosławnych i t. d. oraz wolnomyślicieli łączy wielkie podobieństwo: mamy uderzająco podobne szkielety. Tu, na ziemi, wymyśliliśmy sobie różne systematy wyznaniowe, niejeden z nas uważa tę a nie inną religję za lepszą, niektórzy z nas mają jeszcze ochotę do walk i krucjat religijnych, ale wszystkie różnice w usposobieniach i pojęciach w najmniejszym stopniu nie wpływają na wygląd naszych szkieletów, tak do siebie podobnych, tak nadzwyczaj podobnych. To jest ważne. To ma swoją wymowę. Pomyśleć, że p. Adam Grzymała-Siedlecki i ja, pozbawieni powłoki cielesnej, staniemy się tak podobni, że trudno nas będzie odróżnić, chociaż w tej chwili jeszcze on, warszawski Savanarola (już bez egzekutywy) ciska na mnie klątwy z powodu różnicy w naszych poglądach. Czy to ma sens wobec owego podobieństwa, które nastąpi nieuchronnie?

Przy głębszem wniknięciu w tę sprawę okazałoby się, że wobec takiego finału, wobec takiego argumentu natury, która swoją zasadę równości doprowadza tu do krańcowości ostatecznej, okazałoby się, że mądrzejszą jest spokojna miłość bliźniego i spokojna dla wszelkich koncepcji ludzkich, zarówno religijnych i jak bezwyznaniowych, tolerancja. Po co tak głośno i tak nieprzyjemnie krzyczeć, skoro tak cicho i tak jednakowo, moi drodzy przeciwnicy, skończy się nasza na tym padole wizyta? Może zamało o tem myślicie, bliźni moi, skoro chwilowe różnice pozwalają wam na taką pasję w walce.

Czy to warto z powodów religijnych i metafizycznych hypotez wzajemnie zatruwać sobie życie?

RÓŻNICE. Koń w Arabji, karmiony jęczmieniem, ma doskonały temperament. Ciepło słoneczne i codzienne skoki temperatury dają mu stałe podniecenie. Jest w miarę nerwowy i dobrze aktywny. Ten sam koń, przewieziony do Polski, do klimatu przeważnie mglistego, o długiej zimie, wymaga innego pożywienia. Żeby podtrzymać aktywność konia arabskiego w Polsce, trzeba go karmić owsem, który zawiera alkaloid, działający podniecająco na system nerwowy, jak kofeina, nikotyna i temu podobne. Jęczmień pozbawiony jest takiej właściwości.

Ktoby się uparł, żeby koniowi arabskiemu sprowadzonemu do Polski, dawać tylko jęczmień, z dzielnego rumaka zrobiłby smutną, niedołężną szkapę.

Między koniem a człowiekiem jest szereg różnic,

ale to ich upodabnia, że mają swe przyzwyczajenia, że w pewnych warunkach wymagają takich a nie innych sposobów odżywiania i wogóle sposobów życia.

Rodzaj ludzki podzielony jest na ogromną ilość gatunków, które różnią się obyczajem, moralnością, religją, kolorem skóry, językiem, rozwojem umysłowym, dążeniami, ideałami. Dobry Pan Bóg nie dopuścił do monotonji w obrazie ludzkiego świata. Im uważniej na ten obraz spojrzymy, tem większe dostrzegamy dyferencje. Kłótnia przy budowie wieży Babel wywołała karę: ludzie zaczęli mówić rozmaitymi językami. I stąd zmartwienie Homera, który zazdrościł bogom, że w przeciwieństwie do ludzi „mówią jedną mową“. Ale to jeszcze stosunkowo drobna różnica, która dzieli ludzi. Można sobie z tem dać radę, można nauczyć się języka obcego, albo użyć esperanta. Inne różnice stokroć są silniejsze. Ktoby, naprzykład, w klimacie naszym chciał naśladować sposób ubierania się mieszkańców krajów gorących, zaziębiłby się niebezpiecznie. Stąd też różne klimatyczno-moralne pojęcia o strojach.

Darjusz pytał Greków, za jaką cenę zgodziliby naśladować szczepy indyjskie, które naonczas zjadały swych zmarłych rodziców. Grecy wzdrygnęli się na samą myśl o takiej potrawie. Tak samo Indjanie gardzili niejednym obyczajem Greków.

W górach nilgeryjskich Bagadowie drwią ze świętych zwierząt ich sąsiadów Todów i dziwią się, jak można nie czcić drzew.

Plutarch opowiada, że prawodawca Thuryjczy-

ków nakazał, iżby każdy, kto chce wprowadzić nowe obyczaje, stawał przed ludem ...z postronkiem na szyji, by w razie, gdy ta nowość nie spodoba się obywatelom, mógł być natychmiast powieszony.

Co innego nauka, przykład, mądre i pożyteczne sugestje, roztropne korzystanie z cudzych doświadczeń, a co innego małpowanie. Nie czem innem, tylko małpowaniem, była u nas agitacja faszyzmu. Mamy inny klimat, inny temperament, inną historję, niż synowie Italji. Może ich uszczęśliwi państwo faszystowske i daj im Boże wszystkiego dobrego. Ale kto pragnie w nas wmówić, że naszą narodową potrawą powinien być makaron, naszym środkiem walki politycznej — olej rycynowy, a naszą władzą wykonawczą — wielka rada faszystowska, trudne ma zadanie. Byli tacy i przez niemądrość przegrali.

Skłonność do małpowania płynie z leniwego prostactwa, które chciałoby się posiłkować gotowymi wzorami. Dlatego dość duże powodzenie miały u nas sugestje dzisiejszej Italji. Niektórym zdawało się, że nawet zakasujemy reakcję faszystowską i „dorównamy“ państwom takim, jak Afganistan i Sjam, gdzie jeszcze trzymają się absolutyzm i tyranja.

WALKA Z MĄDRYMI. Jednym z powodów, dla których należy mieć litość dla rodzaju ludzkiego, jest ten, że puste głowy przypisują sobie prawo walki polemicznej z inteligencją i nauką, że przytem są osoby, całe grupy osób, całe środowiska, które potrafią owe puste głowy darzyć skupioną uwagą.

Czy kiedykolwiek w dziejach uda się wynaleźć sposób, żeby durnie nic nie mieli do gadania w prasie i wogóle — publicznie. Prywatnie — trudno — będą zawsze mówili i tej przykrości nic nie zdoła usunąć z życia społeczności ludzkiej. Ale publicznie? Trzeba wierzyć, że może kiedyś, za setki lat stanie umowa wszechświatowa, że durnie zrzekają się polemiki z mądrymi. Może zrodzi się kiedyś nowa idea cenzury, działającej pod znakiem nie takich celów jak dzisiaj, lecz pod znakiem godności intelektualnej i dla obrony praw rozumu. Trudno o wyraźne kryterja? A jednak pomiędzy mędrcem a osłem różnica jest uchwytna. Jedna z tych różnic, które godzą nas z rzeczywistością, które sprawiają, że czasem przyjemnie żyć na świecie, że myśl ludzka ma znaczenie, że nie wszystko — na Boga! — tonie w morzu głupoty.

TEN GATUNEK. Dalecy, jaknajdalsi od świata nauki, niezdolni do pracy metodycznej i do jakiegokolwiek wysiłku myśli badawczej, nieznający się na niczem, za to pełni tupetu, krzykliwi i bezczelni, dają sobie prawo zabierania głosu i prawo „rozstrzygania“ najpoważniejszych, najzawilszych zagadnień.

Mówią, wygłaszają sądy, pretendują do roli nauczycieli i przywódców narodu. Język mają wyostrzony, gęby rozkrzyczane, gesty patetyczne. A w głowach — pustka taka, że aż dziw bierze na myśl o tajemnicach retoryki, która obywa się bez jakiejkolwiek treści.

Ignorant rozpanoszył się w życiu społecznem, w życiu politycznem powodzenie swoje zawdzięczając temu, że potrafi zachwycać jeszcze głupszych od siebie. Rozpycha się i potrąca ludzi poważnych, którzy nieraz wolą usunąć się w zacisze prywatne, odejść od zgiełku politycznych jarmarków, byleby tylko nie stykać się z intelektualną hałastrą, która obraża godność rozumu. Bo doprawdy wielkiej trzeba wytrzymałości i pobłażliwości, żeby nie uciec jaknajdalej zewsząd, gdzie tylko znalazł się i rozpanoszył nieskromny ignorant. Nie można stoczyć z nim walki na jego płaszczyźnie, a na innej niczego nie zrozumie. Cierpliwości trzeba nieraz ogromnej, żeby w końcu osaczyć go przy pomocy ludzi inteligentnych i odpowiedzialnych.

Nieskromny ignorant to właściwie oszust. Znalazłszy publiczność o najniższym poziomie intelektualnym, oszukuje ją, że coś wie, że na czemś się zna, że ma moralne prawo jakieś sprawy rozstrzygać, o czemś decydować. Popełnia bezprawie, odstępując od jedynego prawa, jakiego trzymać się powinien — prawa milczenia i słuchania.

Jakże miłą, jakże dodatnią w zestawieniu z nim jest postać ignoranta skromnego, powściągliwego w sądach, ostrożnego w wygłaszaniu opinji. Mówimy o takim: nie wie dużo, lub nie wie nic, ale nie jest głupi, bo jest skromny i ostrożny.

Ignorantów nieskromnych dużo widzimy wśród polityków zawodowych. Większe ze strony takich polityków grozi niebezpieczeństwo, niż się naogół

wydaje. Urasta ono do rzędu złych potęg, które paczą i tamują kulturalny postęp demokracji. Miał rację Emil Faguet, kiedy w książce p. t. „Kult niekompetencji“ wskazywał spustoszenia, jakie ta plaga sprowadza.

Parlament nie składa się i nie może się składać wyłącznie ze znawców zagadnień politycznych. We wszystkich parlamentach świata tylko część posłów do takich znawców należy. Reszta to tylko reprezentanci takich a takich nastrojów społecznych, takich a takich dążeń. Są to tylko żywe znaki tych nastrojów i dążeń, potrzebne w postępie demokracji, tylko tłumek poselski, który iść winien za głosem znających się na rzeczy i za głosem przywódców. Przytakuje, głosuje, zgłasza w swych klubach rozmaite sprawy, dobrze, jeśli wie, czego chce, choć nie wie, jak urzeczywistnić swe pragnienia.

Owóż jeśli z tego tłumku zaczynają się wyrywać nieskromni ignoranci, by z wysokości trybuny parlamentarnej pouczać mądrzejszych i światlejszych od siebie, to trzeba im przypomnieć słowa Hamleta, który zalecał aktorom „by zasię wesołek nie grał więcej, niż dlań napisano, bo to musi martwić rozsądnych, choć się durnie śmiać będą“.

MURZYN MOŻE ODEJŚĆ... Wśród sensacji zagranicznych sporo miejsca zajmowały w prasie wiadomości o występach Józefiny Baker w Berlinie, Budapeszcie, Wiedniu i o awanturach, jakie tym występom towarzyszyły. W Wiedniu toczyła się gorąca

walka o niedopuszczenie do popisów „czarnej Wenus“. Doszło nawet do interpelacji w parlamencie, wystosowanej przez tych, którzy uważają, że taniec Józefiny Baker zagraża moralności i szkodzi zdrowiu młodzieży.

Gwiazda Józefiny Baker już zbladła, jak zresztą wszystkich tych różnokolorowych tańczących i śpiewających przybyszów, którzy napłynęli do miast powojennej Europy. Ich chwilowe, ale nadzwyczajne powodzenie, miało źródło głębsze, niż się naogół wydaje. Ich rola w Europie zasługuje na uwagę.

Historyk francuski, Ludwig Madeleine w książce p. t. „Francja Dyrektorjatu“ notuje, że po wielkiej rewolucji zjawili się w orkiestrach paryskich murzyni. Na balach w dawnym pałacu de Longueville tańczyli murzyni i murzynki przy wtórze rogów i dźwiękach różnych nieznanych przedtem we Francji instrumentów (rok 1795). Tak samo po wojnach napoleońskich, po rewolucjach 1848 roku, wreszcie — po wojnie wszechświatowej murzyni przybywali całemi gromadami do miast europejskich, do restauracji, dancingów i music-hallów, jako grajkowie i jako tancerze. W „Pamiętnikach“ Józefiny Baker, napisanych przez dziennikarza Marcelego Sauvage, czytamy: „W Paryżu jest coraz czarniej. Niedługo jeszcze, a będzie tak ciemno, że gdy się zapali zapałkę, trzeba będzie zapalić i drugą, żeby zobaczyć, czy pierwsza nie zgasła“.

Najazd czarnych wesołków w pierwszych latach powojennych ogromny, najazd powtarzający się po

każdym kataklizmie, po wojnach i po rewolucjach, zdradza pewne interesujące momenty procesu bjologicznego w życiu ras ludzkich. W okresach porewolucyjnego i powojennego osłabienia rasy białej przybywa murzyn, przedstawiciel rasy kulturalnie niższej, ale fizycznie zdrowszej i przywozi tej pierwszej pewną dawkę podniety. Przez krzyk, pisk, walenie w bęben, trzaskanie blachami, przez łypanie roziskrzonemi ślepiami, przez barbarzyński pląs. Z tych sposobów ekscytacji korzystały wielomiljonowe rzesze europejskie, zwłaszcza zmęczona nerwowo burżuazja, którą stać było na opłacenie wszystkich ekstrawagancji przywiezionych z drugiej półkuli.

I oto z nad brzegów Missisipi, z podrzędnej knajpy w Saint-Louis przybywa do Paryża „gwiazda djabelska“ operująca wszystkimi dowcipami tańczącego ciała kobiecego, postać niesłychanie zabawna, „saksofon w ruchu“, jak ją trafnie nazywa p. Sauvage: „Stroi grymasy, krzywi się, jak raniona, zezuje, nadyma policzki, przykuca i wychodzi na czworakach, na zesztywniałych nogach, wypięta z tyłu, jak młoda żyrafa“. A sama powiada: „Obracam ramieniem, jak kołem maszyny w ciele. Gram w bilard własnemi oczyma. Wydłużam wargi, gdy mi się podoba. Chodzę na piętach, gdy mi się podoba. Biegam na czterech łapach, gdy mi się podoba. Opowiadam wam, kim jestem rękami i nogami. Wiosłuję w powietrzu, pływam w powietrzu. Pocę się, skaczę — et voila“.

Zebrała miljony, zachwyciła tłumy europejskie, „przeciwstawiając instynkt duchowi cywilizacji“, jak

to pisze p. Sauvage. Lecz wszystko mija. We własnym kabarecie przy ulicy Fontaine zaczęła już tracić publiczność.

W dancingach europejskich orkiestry grają już ciszej. Nerwy Europejczyka nie potrzebują już zastrzyków egzotyzmu i podniecającego hałasu, murzyni i murzynki tracą zajęcie. Nie w przenośni, ale w sensie dosłownym — murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść...

ZMIANA PRZEKONAŃ. Zmiana przekonań — ludzka rzecz. Bicie głową o mur nie jest zajęciem inteligentnem. Upór doktrynerów i fanatyków mści się na nich srodze. Są ludzie, którzy przyzwyczajają się do swoich przekonań. Uczucie przywiązania godne jest pochwały, nie wtedy jednak, kiedy płynie z umysłowego lenistwa. Nauka, doświadczenie, rozum i odpowiedzialność nakazują rewidować naszą postawę wobec życia, nasz światopogląd, nasze wytyczne.

Oczywiście, co innego zmiana przekonań, a co innego maskarada politycznych kameleonów, o których się mówi, że zmieniają przekonania jak rękawiczki, a którzy właściwie nigdy żadnych przekonań nie mieli, za to ćwiczą się w politycznej spekulacji.

Myśl o tem, że — kto wie — możemy kiedyś zmienić nasze przekonania, nakazywałaby pewną wstrzemięźliwość w traktowaniu przeciwnika. Lepiej nie mówić, że kto myśli inaczej, ten jest łotr i wróg Ojczyzny. Bo zdarzyć się może tak właśnie, że podzielimy jego racje, a wtedy nieprzyjemnie nam będzie, żeśmy cudze, a teraz już własne mniemania w taki kwalifikowali sposób.

Żył w drugiej połowie XVIII i pierwszej XIX stulecia człowiek bardzo wybitny, nazywał się Jan Chrzciciel Juljusz Bernadotte. Zrazu — osoba skromna i nic nie znacząca, syn adwokata francuskiego w mieście Pau, zwykły sierżant w roku 1780. Potem — w tempie niezwykle szybkiem — posuwał się w karjerze wojskowej. W roku 1800 wódz naczelny Wandei, w 1804-tym już z buławą marszałka Francji, a roku następnym z tytułem księcia Pontecorvo. W roku 1810 przybyli doń deputowani szwedzcy z oznajmieniem, iż powołują go na tron szwedzki. Adoptowany przez Karola XIII wstąpił na tron jako Karol XIV. Pewnego razu zachorował na pęcherz. Lekarze doradzali puszczenie krwi. Król zaprotestował i nie chciał o tem słyszeć. Lekarz przyboczny nastawał przez szereg dni, wreszcie oświadczył królowi, że to kwestja jego życia i śmierci. Karol XIV zgodził się pod warunkiem, że operacji dokona lekarz przyboczny bez świadków. Kiedy znaleźli się sami, król zobowiązał lekarza pod przysięgą, że nie powie nikomu, co ujrzy. Rozebrał się i oto co wyszło na jaw: na lewem ramieniu król miał z czasów rewolucyjnej młodości wytatuowane dwa wyrazy: „Śmierć królom!“ Okrzyk zgoła na takiem stanowisku nieaktualny... (O całej tej sprawie dowiedziano się po śmierci Karola XIV).

Wniosek: lepiej się nie tatuować.

OKRUCIEŃSTWO „KARJEROWICZA". „Polska Liga przyjaciół zwierząt" wydaje własne czasopismo, w którem namawia ludzi, żeby mieli lepsze serce i bogatszą wyobraźnię, co poprawi dolę zwierząt.

Miesięcznik „Świat zwierzęcy" obrał motto: „Obojętnych na niedolę zwierząt i ludzka niedola nie wzruszy". Zdanie to przypomina sąd św. Jana Złotoustego, który zalecał: „Wielką wobec zwierząt ludzkość i łagodność, a to z różnych względów, zwłaszcza zaś dlatego, żebyśmy z tej racji i przy tej sposobności uczyli się współczuć i współboleć z bliźnimi" (K. Lubecki — „Kwestja zwierząt" Kraków 1909).

Naprawa serc jest rzeczą trudną. Lecz zważyć należy, że dużo dzieje się na świecie podłości nietylko z powodu niedobroci. Biega sobie dziecina po ogrodzie czy po polu i łapie motyla. Słonko grzeje, kwiaty upiększają świat i cieszą oko, a dziecina łapiąca motyle do siatki aż wzrusza, aż rozrzewnia. Mamusia patrzy z radością na ten widok, potem śliczny dziudziuś przychodzi do domu i nałapane motyle nasadza na szpilki. Przeważnie żywcem. Pewno będzie przyrodnik — mówią zadowoleni rodzice. Nie powiemy, że to dziecko jest podłe i że rodzice mają serce z kamienia. To co innego: nie zastanowili się, nie pomyśleli, że motyl cierpi.

Kiedy dzieci są grzeczne i uczą się pilnie, dobrzy rodzice w nagrodę prowadzą je do cyrku — na największą atrakcję: sztuki tresowanych zwierząt. Niech dobre, grzeczne dzieci ubawią się widokiem męczonych psów, lwów, koni. I znowu nie powiemy, że

tacy rodzice to potwory moralne, a dzieci — małe sadysiątka. Znowu — brak zastanowienia, bezmyślność.

Wniosek: dużo zła czynią ludzie o dobrem sercu, więc droga naprawy prowadzi również przez uświadomienie, przez zwrócenie uwagi. Mamusiu, nie ciesz się, kiedy dziecko przekłuwa żywego motyla. A kiedy w cyrku lew tak śmiesznie skacze, to znaczy, że był przez długie miesiące katowany przez nikczemnych ludzi, dla których ból straszliwy zwierzęcia jest rzeczą obojętną. Powiedzcie to dzieciom, nie będą się tak cieszyły na myśl o tresowanych zwierzętach.

Mówią niektórzy, że w naszych miastach psy są gorsze, niż w innych krajach. Zapewne dlatego, że się z nimi gorzej obchodzimy, niż gdziekolwiek na świecie.

Należałoby wogóle — jak już pisał Michelet — ogłosić „deklarację praw zwierzęcia" (w „La Montagne"), co ograniczy despotyzm i okrucieństwo człowieka.

Interesującą rozprawę p. t. „Okrucieństwo" napisał niedawno profesor Marjan Zdziechowski (nakł. Krakowskiej Spółki Wydawniczej. Kraków 1928). O psychologji okrucieństwa, o inkwizycji, która w ciągu trzech stuleci nasycała popędy sadystyczne sędziów i oprawców, o stosunku człowieka do zwierzęcia. Mnóstwo tam zastanawiających i wstrząsających przykładów.

Współrzędnie z namową, nauką, uświadamianiem, musi działać litera prawa, nakaz, groźba kary.

Bo są ludzie, wobec których argument moralny śmiesznym jest i bezcelowym argumentem. Mamy doskonałą ustawę o ochronie zwierząt, rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 22 marca ub. r. („Dziennik Ustaw" Nr. 36). Ustawa ta nakłada kary nietylko za bicie i przeciążanie zwierząt, ale naprzykład, wzbrania łapania motyli, męczenia ich na szpilkach i t. p. Jedno z wesolutkich zajęć naszych bachorków jest przestępstwem, za które grozi kara. Ustawa nasza ogranicza również wiwisekcje tylko do doświadczeń dla poważnych odkryć naukowych, wzbrania jej na wykładach, jak to było do niedawna. (Walczono z tem długo, Ryszard Wagner napisał całą rozprawę przeciw wiwisekcji, doradzając „medykastrom": „Zamiast okrutnie torturować i wpatrywać w rozprute wnętrzności żyjącego jeszcze zwierzęcia, niech ów kapłan nauki, który to czyni, spojrzy z odrobiną spokoju i zastanowienia się w oczy tego zwierzęcia, a może po raz pierwszy w życiu dostrzeże w nich to, co w człowieku najgodniejsze: prawość, niezdolność do kłamstwa; patrząc zaś głębiej, może tam wyczyta żałość matki-natury nad grzeszną nędzą ducha i ciemnotą, w której on przebywa, depcąc prawo litości w swoim stosunku do żywej istoty").

Opiekunką zwierząt w starożytnej Grecji była bogini Artemida. W późniejszych czasach niema już takiego symbolu. Opiekunką zwierząt może być teraz... ustawa, surowemi grożąca karami za jej przekroczenie.

Człowiek dał sobie tytuł „króla stworzenia", co mu przyznały niektóre księgi święte (Genezis I. 28), udzielając nieograniczonej władzy nad wszelkiem stworzeniem. Wszelako dużo trzeba wiedzieć o życiu, żeby dojść do wniosku, do jakiego doszedł Alfred de Vigny, który powiedział: „Ostatecznie człowiek jest to tylko zwierzę, które zrobiło karjerę"...

MOTYWY WIECZYSTE. Dzieło młodego socjologa, p. Władysława Jana Grabskiego p. t. „Karol Fourier, jego życie i doktryna". (Warszawa 1928) należy uważać za wyjątkowo pouczające właśnie w naszych czasach, chociaż poświęcone jest życiu i twórczości myśliciela społecznego z pierwszej połowy XIX stulecia. Żyjemy w epoce poszukiwań nowych form ustroju społecznego i państwowego, rewidujemy wszystkie dotychczasowe hasła i doktryny, mamy dziś do czynienia z wielką ilością planów i koncepcji, nieraz fantastycznych, kroczymy znowu pomiędzy konstrukcją realną a utopją, tworzymy chaos pojęć społecznych, nową sieć sprzeczności i nowe ...wilcze doły zbiorowego życia. Otóż wszystkie dzisiejsze zagadnienia społeczne, gospodarcze, kulturalne, obyczajowe, nie w formach, dziś odmiennych, lecz w swojej treści istotnej, znalazły już wyraz zdumiewająco plastyczny w pismach wielkiego utopisty. Możnaby powiedzieć więcej: w pismach wielkiego człowieka, którego myśl błądziła na granicy genjalności i obłędu. Pan Władysław Jan Grabski z doskonałą subtelnością przeprowadza tę

granicę. Tak, żeby widać było dobrze, co w tym tytanie ducha, w tym olbrzymim intelekcie działo się nieodpowiedzialnie i bezładnie, jakby we mgle, jakby we śnie, a co było pracą olśniewająco trzeźwą, przenikliwą, częstokroć jasnowidzącą.

Pierwszy zwiastun teorji solidaryzmu społecznego, twórca idei kooperatyzmu i ubezpieczeń społecznych, entuzjasta pracy dla wszystkich radosnej („atrakcyjnej"), reformator wychowania, żarliwy obrońca równouprawnienia kobiet, bezlitosny wróg kłamstw konwencjonalnych, cały obraz rzeczywistości swoich czasów analizował i prześwietlał nieraz genjalnie, a przyszłość widział w niejednem proroctwie. Przepowiedział rozwój komunikacji, rolę aeroplanu i telegrafu bez drutu, („Wyjechawszy rano z Marsylji, można będzie śniadać w Ljonie, a obiad jeść w Paryżu, zaś komunikacja myśli i zleceń będzie się odbywała w sposób błyskawiczny, niezrozumiały dla współczesnych"), przewidział też powstanie Ligi Narodów. W bezprzykładnem bogactwie jego pomysłów, w rzutach myśli najśmielszych, w natchnieniach artystycznych, hypotezach i teorjach, w których wyprzedzał swoją epokę, odczuwał dobrze ową, jak powiada autor, „realność fantazji i praktyczność romantyzmu". „Wszak żaden z myślicieli ekonomicznych, czy politycznych — pisze p. Grabski w zakończeniu — nie może się do dziś dnia poszczycić taką ilością trafnych, zadziwiających często przewidywań, jakie można znaleźć u Fouriera i do jakich doszedł on drogą czystej fantazji".

Głęboko zastanawiające są te rozdziały pism Fouriera, w których daje miażdżącą krytykę społeczeństwa cywilizowanego. Wydaje się chwilami, że to pisze człowiek dzisiejszy, który tak samo, jak on widzi wielką pochyłość, po której cywilizacja stoczyć się może w przepaść i tak samo, jak on woła: „C'est donc le mond a rebours!"

Każda poważna analiza czy to życia wielkiej jednostki, czy to danej epoki, ułatwia nam zrozumienie wieczystych lejtmotywów w symfonji dziejów ludzkich.

WIELKOŚĆ. Książka Emila Ludwiga „Napoleon" jest dziełem natchnienia takiego, o które prosił Monteskjusz w przedmowie do pracy „O duchu praw": „Boskie Muzy, czuję, że wy mi szeptacie nie to, co śpiewano w Tempie na fletniach, ani to co powtarzano w Delos na lirze; chcecie, bym mówił do rozumu; jest to najdoskonalszy, najszlachetniejszy i najrozkoszniejszy z naszych zmysłów".

Niepisane ani wierszem, ani t. zw. prozą poetycką, dzieło Emila Ludwiga jest owocem natchnienia artysty, który w prawdzie historycznej dojrzał największe gesty dramatyczne życia, największe arcydzieła rzeczywistości. Przeto bez dekoracji literackiej, choć słowem pięknem, bez egzaltacji, choć pełen entuzjazmu, daleki od uczucia kultu, lecz przez mądry podziw — osiąga taką siłę sugestji, jaką tylko wielcy pisarze osiągnąć potrafili. To coś z Plutarcha. Oto dzieło godne nieśmiertelnego tematu, który inspiro-

wał tylu historyków, powieściopisarzy, dramaturgów, poetów.

Emil Ludwig nie pomagał sobie wyobraźnią, bo rzeczywistość, na którą spojrzał wzrokiem psychologa, którą przeniknął intuicją artysty i objął wiedzą uczonego, była tak potężna i tak, rzecby można, artystyczna, że, zaiste bogacić ją nie jest już rzeczą człowieka. Ambicją myśli rozumnej w zetknięciu z takiem obrazem jest tylko pojąć jego treść, uchwycić sens istotny, nauczyć się prawdy dziejów. Tej prawdy, która w drodze przeznaczeń większą ma wymowę, niż dzieła Sofoklesa, a w napięciu dramatycznem prześciga Szekspira.

Cóż można nowego napisać o Napoleonie? Co dorzucić do tych tysięcy tomów literatury napoleońskiej, której nikt w ciągu całego życia przeczytać nie zdoła? A jednak można. Dowiódł tego Emil Ludwig, tworząc jedyną swego rodzaju historję wewnętrzną wielkiej duszy ludzkiej. Wewnętrzną — na podstawie materjału znakomicie opanowanego i przetrawionego, a potem — już podczas pisania — odrzuconego, żeby pióra nie krępował kronikarski balast i pedantyzm. Dlatego we Francji, gdzie bodaj każdy dzień, każda godzina życia Napoleona, jest udokumentowana, dzieło pisarza niemieckiego wzbudziło najwyższe zainteresowanie.

Pisarz ten nie upodobnił sę do tak licznych wielbicieli Napoleona, którzy ukazywali go tylko w panegirykach i apoteozie. Odczuł należycie, że postać taka w świetle sądu krytycznego nie zmaleje, bowiem

nie olbrzym, genjusz, tytan ducha, ale człowiek, tylko człowiek, ludzkie mieć musi cechy i ludzkie namiętności.

Wielbiciele powiedzieli już wszystko. Antagoniści również. I jedni i drudzy czerpali swoje sądy z ułamków jego ducha. I jedni i drudzy wysnuli stąd niejedną prawdę. W apoteozie pisarzy takich, jak Lammenais, Hugo, Lamartine, George Sand, Balzac, — wyraziło się najwyższe dla Napoleona uwielbienie. W pismach antagonistów, jak pani de Stael, Chateaubriand, Benjamin Constant — protest przeciw tym motywom zła, które grały się również w symfonji jego życia. Lecz nie było całej prawdy w tych ocenach krańcowych.

Fikcją jest „człowiek z jednej bryły". Nieocenioną wartość psychologiczną ma dzieło Emila Ludwiga przez to właśnie, że ukazuje duszę wielką, targaną sprzecznościami. To wulkan w chaosie. Działały w nim wszystkie motory ducha ludzkiego w pragnieniach i czynach — szaleńcza gra i zimny rachunek, marzycielstwo i cynizm, patos herosa ludzkości i makjawelizm, poczucie swego dziejowego posłannictwa i chwile zniechęcenia, potężne westchnienia mistycyzmu i pozytywizm trywjalny, żywiołowa bezpośredniość i demagogiczne aktorstwo, nietzscheańska „wola mocy" i widzenie znikomości wszelkiej rzeczy, żądza sławy, jako narzędzia władzy nieograniczonej i poczucie komizmu w ocenie wielu środków do władzy prowadzących. Ten olbrzym ma również cechy przeciętności, nawet cechy karła — w małostkowości,

próżności, przesądzie, zabobonie. Ale to jego mniejsze „ja", najwierniej podpatrzone, może tem lepiej uwydatnia jego ludzką wielkość —w rzutach myśli genjalnej i woli gigantycznej, w natężeniu i ekspansji twórczej duszy, które Ernest Seillière nazwał dobrze „największym imperjalizmem jednostki".

W sporze wciąż żywotnym o roli ludzi wielkich, mężów stanu, wodzów, dyktatorów, sylwetka Napoleona, tak oddana, stanowi niezwykle pouczającą ilustrację, zwłaszcza w czasach, kiedy tęsknota do przewodników i zbawców daje tak silnie znać o sobie.

SEANS MNIEJSZY I WIĘKSZY. Zmarłego w roku 1928-ym Jana Guzika widziałem nieraz przy pracy. Nie za czasów, kiedy zajmował się garbarstwem, ale później, kiedy pracował, jako zawodowe medjum. Miał pracę ciężką: czasem kilka seansów dziennie. Zwłaszcza w pierwszych latach powojennych był poprostu rozrywany. Zamawiano go parę tygodni przed seansem. Seanse odbywały się w setkach domów warszawskich, ogarniętych szałem spirytystycznym, nieco później zastąpionym przez szał tańca, co — jak się zdaje — można uważać za zmianę pożyteczną.

Po każdej wojnie odradzało się powodzenie spirytyzmu. I te emocje należą do odwiecznych reakcji powojennych. Spirytyzmem zajmowano się zawsze (najsilniej może w starożytnym Egipcie) i na całym świecie, wszelako bezpośrednio po wojnie praktyki spirytystyczne szerzą się epidemiczne, jako jeden z narkotyków, których łaknie zmęczona psychika

ludzka, szukająca wtedy podniet niezwykłych, wyjątkowych, oszałamiających.

Nie przez chęć obcowania z duchami i nie przez jakiś nerwowy niepokój, lecz pragnąc przyjrzeć się praktykom Guzika, odbyłem z nim kilkanaście seansów. Niektóre były zupełnie chybione. Guzik był „nie usposobiony". Ale na kilku seansach, „działy się" rzeczy „nadzwyczajne": błyski, światełka, różnokolorowe mgiełki, cienie i smugi biegające po ścianach, zjawy unoszące się w powietrzu, zarysy postaci przesuwające się obok nas, dotykające mej głowy, jakieś dźwięki niezrozumiałe, czasem jęki bolesne, a raz nawet przeciągły krzyk. Słowem — seanse, które się udały...

A więc, powiedzą spirytyści, widziałeś, przekonałeś się. Za pozwoleniem: żadnego nie zdobyłem przekonania. Nie stwierdziłem rzeczywistości tych zjawisk. Zdawało mi się, że je widzę i słyszę. Mam wrażenie, że nie była to tylko sugestja, lecz nie mam pod tym względem pewności. Nie udało mi się również stwierdzić, czy Guzik oszukuje czy nie, chociaż duże w tym kierunku robiłem wysiłki. Żadnych wniosków z tych seansów nie wysnułem. Żadnych.

Po paru seansach Guzik zauważył, że nawet te najświetniejsze nie robią na mnie zbyt silnego wrażenia, choć inni z obecnych byli bardzo zdenerwowani.

— Pan taki spokojny — rzekł — a przecież zjawy były dzisiaj nadzwyczajne.

— Bo widzi pan — odpowiedziałem — kiedy

w pokoju jest jasno, wtedy widzę więcej tajemnic, bo wogóle więcej widzę.

Nie zrozumiał. I tego spirytyści naogół nie rozumieją. Na każdą uwagę krytyczną, zwykli odpowiadać: „Przecież są w życiu rzeczy niepojęte". Cóż za rewelacja! Jest takich rzeczy nieporównanie, nieskończenie więcej, niż się to wydaje spirytystom, którzy swoje poczucie tajemniczości zaspakajają w specjalnych tylko warunkach, w ciemnym pokoju, z udziałem medjum. Dla nich terenem emocji jest seans w pokoju, nie zaś seans wszechświata. Zjawiskiem tajemniczem, jest dla nich jakieś latające po ścianie światełko, nie zaś wszystko, co nas otacza, co widzimy, słyszymy, odczuwamy.

Zjawiska, z którymi się umysł przeciętny oswoił, z któremi się styka stale, albo często, nie budzą w nim zdziwienia, chociaż tych zjawisk nie rozumie. Uznał je za naturalne i proste. Rzecz zaś rzadka, wyjątkowa, niespodziewana, jest już dlań przez to samo tajemnicza.

A świat pełen jest cudów. W tem znaczeniu, w jakiem rozumiał to św. Augustyn: „Cud nie stoi w sprzeczności z naturą, jeno z tem, co nam jest o naturze wiadome". („De Civitate Dei").

Naukowy stosunek do spirytyzmu i t. zw. metapsychiki określiła jak nie można lepiej Marja Curie-Skłodowska w rozmowie ogłoszonej przez dziennikarza francuskiego, p. Pawła Heuzé, który przeprowadził wśród szeregu uczonych ankietę o stanie

obecnym badań spirytystycznych i metapsychicznych. Oto urywek tej rozmowy:

— Była Pani świadkiem zjawisk metapsychicznych...

— Tak, albo raczej — być może, nie wiem. Brałam udział w seansach, widziałam objawy, które mogą być objawami sił psychicznych. Spotkałam na tych seansach Eusapję Palladino. Nie przystąpiłam jednak do badania tych zjawisk. Wówczas dopiero wyrobiłabym sobie — kto wie? — może jakieś zdanie. Lecz nasamprzód musiałabym je ująć jako fakty naukowe. Z faktem naukowym mamy do czynienia wówczas, kiedy można go badać oraz wywoływać świadomie i bez zawodu.

— A więc nie ma Pani żadnego sądu o tych zjawiskach? Czy nie są to przejawy osobowości, które żyją po opuszczeniu swych ciał?

— Nie wyznaję żadnej tego rodzaju opinji.

— Czy możliwe, żeby materja...

Tu przerwała mi p. Curie:

— Któż może wiedzieć, co to jest materja? I ja nie wiem.

— Odpowiedź Pani zatem zdaje się sprowadzać do twierdzenia, że nie będąc świadkiem bezspornych zjawisk...

— Nie. Nie tak... Widziałam różne zjawiska, ale nie wiem, czy to są fakty bezsporne".

Tak, z taką ostrożnością mówi wielka uczona. Inaczej, niż spirytyści warszawscy, którzy zachwycali się seansami z Guzikiem. Ci wszystko wiedzą na-

pewno, żadnych nie mają wątpliwości, są z duchami za pan brat.

Kamil Flammarion, który zajmował się spirytyzmem kilkadziesiąt lat, przytacza jedną ze swych rozmów z Aleksandrem Dumas: „Kiedyś powiedział mi mój przyjaciel: „Tak, tak — ziemia, niebo, gwiazdy, firmament, nieskończoność... Człowiek jest przytłoczony. Ale istnieje jeszcze nieskończoność równie zdumiewająca — nieskończoność głupoty ludzkiej". Która — dodajmy — szuka podniet i tajemnic w seansach małych, a nie widzi seansu wielkiego...

SPIS RZECZY